

441236

WŁODZIMIERZ FLĄSKOWSKI

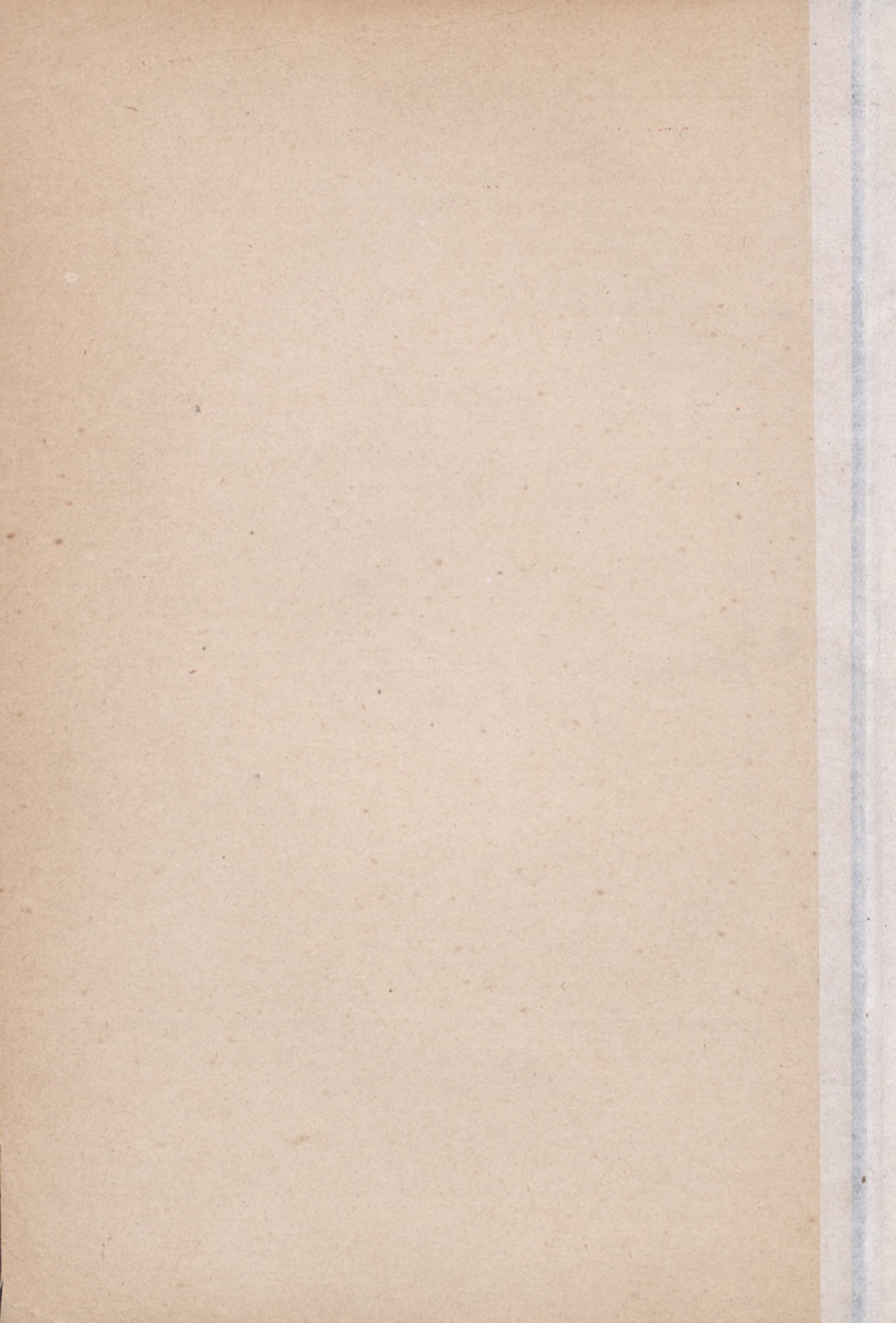
# SATYRY

WYBÓR DOKONANY PRZEZ  
WŁADYSŁAWA BUCHNERA  
I BRUNONA WINCENTEGO  
I KOROTYŃSKIEGO



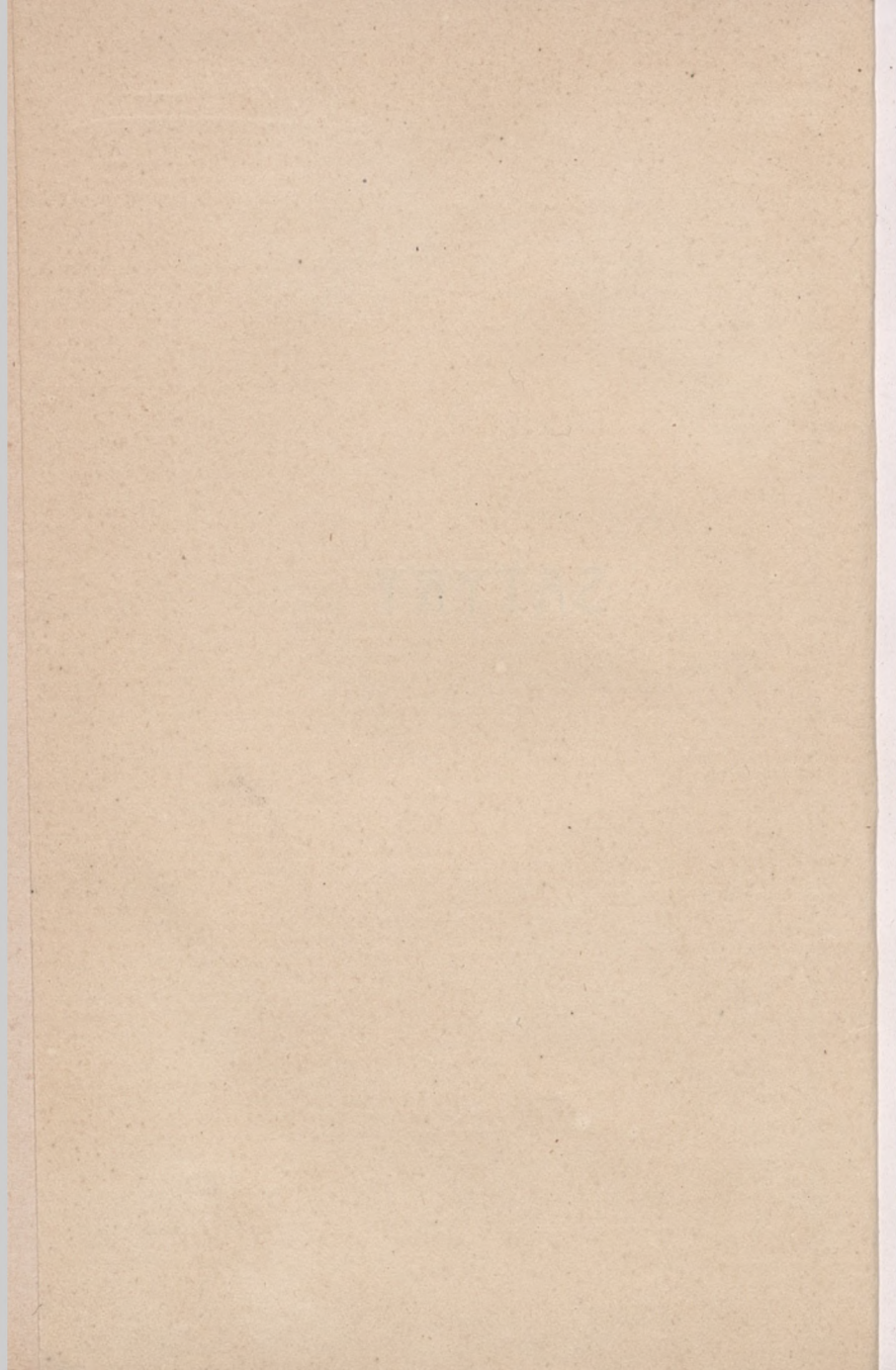
NAKŁADEM  
PRZYJACIOŁ

WARSZAWA. SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI JANA  
FISZERA NOWY ŚWIAT N° 9. 1903.



*Book*

SATYRY







Medvinien Polakowski

447236

WŁODZIMIERZ FLĄSKOWSKI

# SATYRY

WYBÓR DOKONANY PRZEZ  
WŁADYSŁAWA BUCHNERA  
I BRUNONA WINCENTEGO  
KOROTYŃSKIEGO

NAKŁADEM  
PRZYJACIÓŁ

WARSZAWA. SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI JANA  
FISZERA NOWY ŚWIAT N<sup>o</sup> 9. 1903.

Дозволено Цензурою  
Варшава, 26 Ноября 1902 г.

441 236



K. 2352/71



## WŁODZIMIERZ PŁĄSKOWSKI.

«Czyż się zna istotnie ludzi nawet najbardziej znanych, dziś zwłaszcza, kiedy talenty, sumienia i charaktery, oddane są na pastwę ciężkich łap reporterów». Od tych słów Oktawjusza Mirbeau, zaczynam wspomnienie o ś. p. Włodzimierzu Płaskowskim. W ostatnim lat dziesiątku, stosunki literackie i dziennikarskie tak się ukształtowały odrębnie a niezmiernie rażąco i jaskrawo, że tego co przywykł do innego obyczaju, ogarnia zwątpienie, niemoc i zniechęcenie. Fala najnowszych, a tak wielce pretensjonalnych uroszczeń, zmiata z dniem każdym rzeczywiste zasługi i talenta, które w swoim czasie zdobyły sobie sławę, a z pogardliwą obojętnością przechodzi do porządku dziennego nad tymi, którzy w danym sobie zakresie, dzia-

łali pożytecznie i w rzetelnem poczuciu obywatelskiego obowiązku. *Tabula rasa* — oto cała przeszłość z małym niezmiernie wyjątkiem, — dla tych niesłychanie ambitnych i niełitościwych nowatorów, bo kartę przyszłości oni sami doszczętnie zapełnią. Niech i tak będzie, jeśli inaczej w tej chwili być nie może, nie powstrzyma mnie to jednak od troski upamiętnienia uczciwej pracy dzielnego humorysty i człowieka.

Włodzimierz Płaskowski, uprawiając zagon ojczysty przy boku swego ojca, nie śnił nawet o tem, że osiadzie w Warszawie na zawsze i tu zamieni ciężki lemiesz na lekkie, cięte i barwne pióro humorysty. Przygoda, jaka się zdarza każdemu młodemu człowiekowi, zmusiła go do obejrzenia się na około, celem znalezienia odpowiedniego swemu usposobieniu zajęcia. I znalazł je odrazu. W gronie kilku przyjaciół i znajomych, zaśmiewano się do łez nad jego bystreimi, a często naiwnie cynicznemi spostrzeżeniami z rozmaitych objawów życia i rozmaitych figur, przewijających się wśród towarzystwa warszawskiego, więc mu wyrażono żal, że marnieje ten dowcip, który ujęty w formę lite-

racką, może się stać strawą bardzo poczytną i miłą dla ogółu. Usłuchał rad tych życzliwych ś. p. Włodzimierz i w Kurjerze Świątecznym, rozpoczął guerylasówkę od epigramatów, djałogów prozą i wierszem, zapytań i odpowiedzi dwóch gapiów warszawskich, aż w kilka już miesięcy po zaczęciu, pismo rzeczone zaczęło zwracać na siebie uwagę, a co za tem idzie, zaczęło rość w czytelników. Zwolna, po miesiącach i po latach, stał się on wyłącznym redaktorem pisma, wyłącznym zwłaszcza w tem!znaczeniu, że prawie sam redagował je od początku do końca. Materiału dostarczało mu życie bieżące, rozwijające się wówczas bujnie dziennikarstwo i literatura, rozwijający się przemysł, rozliczne zabawy wielkiego miasta, charakterystyczne szczegóły różnych figur, szukających rozgłosu za jakąbądź cenę, chociażby swej osobistej godności. Czyżto mało pola dla urodzonego humorysty? Kółko życzliwych, gromadzące się co niedzielę w mieszkaniu Płaskowskiego, gawędką tryskającą wesolością, opowiadaniem różnych wypadków, dostarczało również tego materiału, którego i tak obserwującemu bacznie, nie zabrakłoby nigdy.

Wnet też Kurjer Świąteczny stał się ulubionem pismem warszawian, wszyscy szukali w niem i znajdowali przedmiot szczerzej rozrywki, ale nigdy satyry niesprawiedliwej, a tembardziej brudnego paszkwilu, gotowego dla zadośćuczynienia prywatnej osobistej złości, albo dla samego tylko konceptu, rzucić plamę na kogoś, zbrudzić go i zohydzić choćby na taki przeciąg czasu, jakiego trzeba było na jego przeczytanie. I w tem widzę najważniejszą i najszlachetniejszą zaletę talentu i charakteru Płaskowskiego «Il ne cherchait pas la bestiole» to jest nie szukał drobnej, intryganckiej, plotkarskiej przyczyny we wszystkim, lecz chłostał szkodliwy cel, ukrytą, bo dobrze osłonioną a brzydką intencję, karciał nasze narodowe wady, a jeżeli stworzył czasem karykaturę, to była ona taką, jaką być powinna, to jest przesadą *logiczną* jakiegoś rysu naturalnego człowieka. I wogóle, posiadał on ten dar bawienia, który nie obraca wszystkiego w drwinę, ale pobudzając do śmiechu, pobudza i do zastanowienia, do zbadania pobudek czynu, który wywołał ten żart karzący.

Każdy przyznać musi, że taka działalność w kierunku zasady, którą i komedja obrała sobie za hasło: to jest *ridendo castigare mores*, powinna służyć za przykład i drogowskaz wszystkim pismom humorystycznym. Była ona w całym znaczeniu tego słowa czystą i obywatelską. Przez kilkanaście lat redaktorstwa Płaskowskiego, nikt nigdy nie podniósł głosu przeciw jego pismu, jego dowcipom i jego ciętej satyrze, bo nigdy one nie obnażały człowieka z czci, nigdy nie odsłaniały prywatnego jego życia, biczowały tylko to, co rzetelnie bicz się domagało. Zapewne, że dzisiaj, gdy zelźenie człowieka należy do rozrywek każdogodzinnych, nie wydaje się to bynajmniej zasługą, przeciwnie może: brakiem energii i ślamazarnością, dla wszystkich jednak współczesnych Płaskowskiemu i dla tych dzisiejszych — a przecież chyba jest ich jeszcze większość — którzy patrzą głębiej i człowieka sądzą z czynów całego jego życia, zasługa była i jest wielką i godną największego uznania. Pismo wreszcie, które żyje nieustannym paszkwilem, ciąglem przedrzeźnianiem i cynicznym ośmieszaniem tego co bynajmniej na ośmieszenie nie zasługuje,

traci bardzo szybko wiarę, a ostrze, które miało za zadanie ranić śmiertelnie i druzgotać, obraca się przeciw niemu samemu; i wręcz przeciwnie, pismo, które tak jak było prowadzone przez Płaskowskiego, nie wykroczało nigdy z granic sprawiedliwości, każdą swoją trafną satyrą wywierało wrażenie silne i stawało się istotnym postrachem na tych, w których godziło.

Najlepszym dowodem, że pisarska jego działalność była w najzupełniejszej zgodzie z życiem prywatnem, był szacunek powszechny i sympatja, jakimi go otaczano do samej śmierci. Prawdziwy jego dowcip nie zużywał się, mimo wielu kłesk, do których los go zmusił, kłesk materialnych—gdyż pozbawiony wyłącznego prawa redagowania Kurjera Świątecznego, nie chciał już przy zmienionych warunkach, mieć z nim do czynienia — i niestety najstraszniejszej, bo, długoletniej choroby. Prawda, że z licznej gromady przyjaciół i życzliwych, zostaje się zawsze w groźnych i strasznych chwilach, czasami dwóch zaledwo, albo jeden, ale niechże i to idzie na pochwałę ludzkiej natury, że ten jeden czy dwóch, opiekują się wtedy

macierzyńsko, biednym, samotnym rozbitkiem. Bo takim był Płaskowski, wytrwawszy w starokawalerstwie i pozbawiony wszelkiej rodziny.

Dzięki przeto trudom i staraniom przyjaciół, wydana została książka niniejsza, mająca utrwalić pamięć przedwcześnie zmarłego. Wyboru z siedemnastu roczników «Kurjera Świątecznego» i pięciu «Muchy» dokonali: Władysław Buchner i Brunon Wincenty i Korotyński. Zawiera ona zaledwo dziesiątą część licznych i wszędzie porozrzucanych utworów Płaskowskiego, a ma tę zaletę, że mimo upływu czasu, który dla obserwacyj satyrycznej, czerpiącej zwykle z chwili bieżącej, bywa nielitościwy, nie zestarzała się bynajmniej i nie wyda się obcą współczesnym. Taki wiersz jak: «Byle nie wpośród swoich», «Grzech śmiertelny», «Nasi prorocy» albo ten nieoszacowany p. t. «Na boku», z którego dosyć przytoczyć tę zwrotkę:

«Porządnym każdy pragnie być od frontu,

Można to spotkać co kroku,

Z wierzchu jest czysty, lecz gdy zrobi głupstwo

Albo maleńkie z sumieniem przekupstwo--

Czyni to zwykle — na boku!»

czyż nie charakteryzują dosadnie jędrnej,

pełnej prostoty, a w sedno trafiającej i zdrowej satyry?

Albo «Kiernozia nie Warszawa», «Gdyby to dało zrobić się krzykiem», «Nasi jurgeltnicy» i wiele, wiele innych i wszystkie, które przeczyta się przyjemnie i które z wielu względów przeczytać warto.

Nie — ta książka, na której wydanie zdobyło się serce przyjaciół, jest nawet czemś więcej aniżeli aktem przyjaźni, jest bowiem świadectwem, że bądźco bądź, tworzymy społeczno-narodową rodzinę, która nie o samych wielkich tylko swych synach pamięta, lecz i o mniejszej potęgi i mniejszego znaczenia, ale wiernych, zacnych i wytrwałych w pracy, zapomnieć nie chce.

*Edward Lubowski.*





## POWINSZOWANIE.

7

Kacprzy, Melchiory i Baltazary!  
Wszystkim, co imię trzech króli macie,  
Jak to wymaga obyczaj stary,  
Sklądam życzenia w dzisiejszej dacie.  
A że znam właśnie Kacpra, Melchiora  
I Baltazara, co w trójce chodzi;  
Więc gdy się trafia przyjazna pora,  
Pomówić o nich nic nie zaszkodzi.  
Otóż ty, Kacprze! stary i siwy,  
Co masz potomstwa jak gwiazd na niebie,  
Powiedz, czy w duszy jesteś szczęśliwy?  
I czy twe dzieci miłują ciebie?  
Że jesteś ojcem, każdy w to wierzy,  
Lecz czyś był ojcem, jak Bóg przykazał?  
Czyś dbał o dzieci, jak dbać należy?  
I czyś im drogę szczęścia pokazał?  
O to cię pytam, Kacprze mój miły!?  
Uderz się w piersi, nie żałuj pięści,

Popraw się jeszcze póki masz siły,  
A wtenczas powiem, — niech Bóg ci szczęści.  
Ty Baltazarze! coś pojął żonę,  
A z nią bogactwo i liczne włości;  
Czy twe majątki dobrze rządzone?  
Chciałbym to wiedzieć od jegomości?  
Coś nic nie mówisz, oj Baltazarku!  
Pamiętaj o tem, że wielkie pany,  
To nie szlachetka w nędznym folwarku,  
I że rachunek musi być zdany.  
Bądź zatem mężem i dobrym panem,  
Nie zmykaj do wód, gdy przyjdzie lato,  
Nie kładź się w łóżko ledwie nad ranem,  
A ja ci powiem — Bóg zapłać za to.  
Ty znów Melchiorze! masz matkę starą,  
Co swej miłości dowiodła czynem,  
Karmiąc cię zawsze nadzieją, wiara,  
Czy byłeś dla niej prawdziwym synem?  
Milczysz Melchiorku, aż mnie strach bierze,  
I ty masz także w sercu grzech wielki!  
Przyznaj się lepiej i powiedz szczerze,  
Że nie wart jesteś swej rodzicielki.  
Popraw się, radzę, wyrodne dziecko,  
Kochać swą matkę, to rzecz jest święta,  
Bez tej miłości, źle na tym świecie,  
O dobrym synu Pan Bóg pamięta.  
Wstyd mi doprawdy za Baltazara,  
Kacpra, Melchiora, i za ich czyny;  
Jednak w mem sercu nie gaśnie wiara,  
Że się z nich każdy pozbędzie winy.

A gdy się miłość cnoty w nich wzbudzi,  
Mam ja nadziei aż nadto wiele,  
Że z nieszczególnych na teraz ludzi,  
Zrobią się zacni obywatele.



### WYMYŚLAJMY SOBIE!!!



Hej moraliści! wy pastuchy cnoty!  
Czy wam się zdaje, że jesteście bogi?  
A reszta ludzi, to szajka hołoty,  
Którą wytępić warto co do nogi?  
Kto tylko chwyci do swej ręki pióro,  
Wnet apostoła wielkiego udaje,  
I na świat cały patrząc się ponuro,  
Jakby na mękach, sam nie wie, co baje.  
Každy wymyśla — taka teraz moda,  
A ten, kto głośniej na papierze krzyczy,  
Lub sporo pieprzu do swych kazań doda,  
Ten dziś najwięcej zwolenników liczy.  
Ha, nic to złego, że chciwie czytają,  
Owe przemądre po pismach rozprawy,  
I że kontenci gdy im wymyślają;  
Widać nadeszła szczerą chęć poprawy.  
Aha! mów mu tam, czytać wprawdzie czyta,  
Nawet go bawi pismaków kazanie,  
Lecz gdy przeczyta, już z morałów kwita,  
I myśl poprawy w głowie nie powstanie.

Łatwo bo wrzeszczeć i przeklinać ludzi,  
Temu co nici ma w pustej kieszeni;  
Bo kto bez grosza, tego wszystko nudzi  
I nic dziwnego, że świata nie ceni.  
Otóż niestety! ci na których krzyczą,  
Kpią sobie w duszy z moralistów zdania,  
I choć ich ostro różgą prawdy ćwiczą,  
Puszczają w trąbę przemądre kazania.  
Ba! wszystko dobre, ale czem u licha?  
Zapełnić szpalty tylu pism na czasie,  
Niechże więc głupstwo, lenistwo i pycha,  
Dają materiał perjodycznej prasie.  
Czy co pomoże? — wątpi kościół Boży,  
Gdy jednak pisać o czemś gwałtem trzeba,  
A tu jak grzybów, nowych pism się mnoży,  
Więc wymyślają dla kawałka chleba.  
Dalej więc wrzeszczmy na wszystko i wszędzie,  
Ty mnie wymyślasz, ja wymyślam tobie,  
Bawmy się w krzyki, co będzie, to będzie?  
I jedni drugim, *wymyślajmy sobie!!!*



#### NIE KŁADŹ PALCA MIĘDZY DRZWI.



Jeśli chcesz być wesół, żwawy,  
Niechaj serce w tobie śpi;  
Nie wdawaj się w cudze sprawy,  
Nie kładź palca między drzwi.

Gdy się żona z mężem kłóci,  
I z małżeńskiej wiary drwi,  
Niech to ciebie nic nie smuci,  
Nie kładź palca między drzwi.

Żony z mężem pojednanie,  
Wnet nastąpi, wierzaj mi,  
Tobie z reszty się dostanie,  
Nie kładź palca między drzwi.

Gdy jelonka zbyt zuchwale,  
Oszukują ludzie źli,  
Udaj, że nie widzisz wcale,  
Nie kładź palca między drzwi.

Miłość własna zadrasnięta,  
Brak rozumu — srogo mści,  
Jeleń długo popamięta,  
Żeś kładł palec między drzwi.

Kiedy swój pogryzie swego  
I porani go do krwi,  
Ty nie wtrącaj się do tego,  
Nie kładź palca między drzwi.

Zamiast zawrzeć miłą zgodę,  
I za nią dziękować ci;  
Kurtę skroją, zmyją brodę,  
Żeś kładł palec między drzwi.

Gdy pieczeniarsz przy kieliszku,  
Z amfitrjona swego kpi,  
Cicho w kącie siedź, braciszku,  
Nie kładź palca między drzwi.

Pan bez błazna nic nie znaczy,  
Bo przy błaznie blaskiem lśni,

Więc ci tego nie wybaczy,  
Żeś kładł palec między drzwi.  
Koniec końcem miej zasadę,  
Wśród niedługich życia dni;  
Chować w kieszeń dobrą radę.  
Nie kładź palca między drzwi.



KAŻDY RUBLE WYWOZI, A NIKT ICH NIE  
PRZYWOZI.



Kupcy! rolnicy! panowie bankierzy!  
Chciejcie posłuchać, niech się nikt nie śmieje,  
I niech ratuje, kto z was w Boga wierzy,  
Bo w naszym kraju źle się jakoś dzieje.  
Dzisiaj dla kupca to największa sława,  
Gdy w pismach głosi szanownej publice,  
I gdy się dowie zdumiona Warszawa,  
Że kapitały wywiózł za granicę,  
I że objeżdża ponadmorskie porty,  
W których szalone ceny go nie straszą  
I że niebawem nadeszłe transporty  
Na nasz użytek i pociechę naszą.  
Rolnika, także byle figiel nęci,  
Więc z zagranicy machinę sprowadza,  
Która mu w kółko trochę się pokręci,  
Później gdzieś w kącie leży i zawadza,

A choć mu płacą talary za zboże,  
To w porównaniu z groszem co wychodzi,  
Jestto jak kropla, kiedy wpadnie w morze,  
Gdzie ani parzy, ani też nie chłodzi.

Co tydzień prawie jakiś magik nowy,  
Za to, że niby w czapce lody mrozi,  
I że zawraca łatwowieczne głowy,  
Setkami ruble w obcy kraj wywozi.  
Słowem, kto tylko groszy potrzebuje,  
Gdy do nas zajrzy, dobrze mu się dzieje,  
Obję, opije, wyeksploatuje

I na dobitkę jeszcze nas wyśmieje.  
Niechno z nas który za granicę ruszy,  
Tam, gdzie pieniędzy podostatkiem mają,  
Pewno swą kieszeń, aż do dna wysuszy,  
Bo tam za darmo nic a nic nie dają.  
Otóż panowie! zacni myśliciele!  
Pomyślcie nad tem jak zatrzymać grosze,  
Ogłoście sposób na przyszłą niedzielę,  
Oto was dzisiaj uniżenie proszę.



GDZIE SĄ I KTÓRE SĄ NAJPIĘKNIEJSZE KOBIETY?..



Dziwne pytanie, to nie sekret przecie,  
Że takich kobiet jak w naszej Syrenie,  
Choćby kto szukał z latarnią po świecie,  
Nie znajdzie nigdzie, — nawet na nasienie.

Skoczne francuzki i niemki zaspane,  
Choć głowy suszą by wymyślać mody,  
I suknie stroją w dziwy niewidziane,  
Nie warte nosić Warszawiance wody.

Tak warszawianki! piękne z was stworzenia,  
Ale nie wszystkie, — przyznaję niestety;  
To też w tej sprawie trzeba wyjaśnienia,  
Które prawdziwie piękne są kobiety?

Nie ta jest piękną, która brwi maluje  
I *veloutinę* nosi na swej buzi.

Takich piękności nigdzie nie brakuje,  
Mają ich niemcy, mają i francuzi.

Nie ta jest piękną, co chodzi jak fryga,  
I nie wiadomo skąd na stroje bierze.  
I na te włosy, co na głowie dźwiga?

Od takich kobiet niech nas Pan Bóg strzeże.

I nie ta piękna, która mając krocie,  
Kosztownym strojem popisać się rada,  
I błyszczą cała w jedwabiach i złocie,  
A nawet za grosz gustu nie posiada.

Czy wy myślicie, córki pani Ewy,  
Że my tak dbamy o te wasze fioki? —

Oho! aniołki, złapać nas na plewy,  
Nie złapią pewnie, ni misterne loki,

Ni też bufiaste, olbrzymie turniury

Ani brwi czarne malowane w łuki?

Wiemy albowiem co są sztuczne góry,

I znamy trochę tajemnice sztuki.

Trzewiczek zgrabny, choć wcale nie ciasny,  
Świeży buziaczek, jak wiosny poranek,



Warkocz nie wielki, ale za to własny,  
To dla nas powab i wzór warszawianek.  
Tylko w Warszawie takie są pieszczotki,  
Po cóż więc szpecić to co jest zaletą.  
Po co małpować francuskie kokotki?  
Gdy się bez tego, piękną jest kobietą.



SKĄD POWSTAŁY AKCJE I RÓŻNE TOWARZYSTWA  
AKCYJNE.



Siedział goły raz na ławie,  
I tak dumał sobie:  
Ciężkie czasy dziś w Warszawie!  
Co ja biedny zrobię?  
Nie mam za co kupić chleba,  
Pracować nie myślę,  
I jak widzę, — chyba trzeba,  
Utopić się w Wiśle.  
Gdy tak sobie ciężko biada,  
Łamiąc próżno głowę;  
Przyszedł drugi — obok siada,  
I dalej w rozmowę.  
Wiesz co bracie? — przyznaj szczerze,  
Żeśmy obaj w nędzy,  
Chcesz mnie słuchać w dobrej wierze,  
Przyjdziem do pieniędzy.

Ot, potrzeba mi wspólnika,  
Chodźmy jak stojemy,  
Do rejenta lub prawnika,  
I kontrakt zrobimy.  
Później anons dwułokciowy,  
W Kurjerach podamy,  
Że interes milionowy,  
Wspólnie posiadamy;  
I że z całą szlachetnością,  
Owe góry złote,  
Chcemy dzielić z publicznością,  
Jeśli ma ochotę.  
Lecz kto o tem myśli szczerze,  
Niech czasu nie traci,  
Niech czempredzej akcje bierze  
Pewnie się z bogaci.  
O milionach gdy posłyszają,  
Czując zysk nie mały,  
Wnet wspólnicy się zapiszą,  
Znosząc kapitały.  
Ot i mamy grosz gotowy,  
A co będzie z tego?  
Niechaj drudzy suszą głowy,  
To nam nic do tego.  
.....  
Tak się tworzą, jak tu głoszę,  
Współki karotników;  
Więc się strzeżcie, bardzo proszę,  
Współek i wspólników.

## NIE CHCĄ SIĘ DZIŚ ŻENIĆ.



Nie wiem dla czego?

Aż mnie doprawdy biorą zimne dreszcze,  
I nie wiem jakiej przypisać przyczynie,  
Że gdy tak potrwa ze dwa wieki jeszcze,  
Ród ludzki zginie!!!

Dziś tyle kobiet dźwiga stan pańństwa!  
Wstyďte się chłopcy! — żeńcie się do licha!  
Co to za moda, każdy od małżeństwa,  
Jak djabeł czmycha.

Chyba nie wiecie, jaka rozkosz czeka,  
Tego co serce poświęcił kobiecie;  
Wszak to jedyny cel życia człowieka!  
A wy nie chcecie?

Jak to przyjemnie mieć swą własną żonę!  
Jakież to szczęście, gdy się do dom wraca,  
Zastać oczęta, za sobą stęsknione,  
To panie, caca!

Żona to anioł, co nad tobą czuwa,  
W domu oszczędność, aż miło porządek,  
Ileż to zmartwień żona nam usuwa  
Gdy ma rozsądek.

Najgorszy łobuz może się odmienić,  
Gdy posmakuje szczęścia małżeńskiego;  
Tymczasem chłopcy nie chcą się dziś żenić,  
Nie wiem dla czego???

Oj! wiem dla czego!!!

Żonkę mieć łatwo, to nie wielka sztuka,  
Na to czekają nasze piękne panie,  
Lecz czy się czasem człowiek nie oszuka,  
Wielkie pytanie?

Niech stu żonkosiów dobrze kto wybada,  
Zaledwie jeden szczęśliwym być może,  
A cała reszta żoneczki posiada,  
Pożal się Boże.

Panna co posag mężowi przynosi,  
Myśli, że życie to tylko zabawa,  
Więc się wciąż stroi, mizdrzy i kokosi,  
To brzydka sprawa.

Póki jest pieniądz, to jeszcze pół biedy,  
Lecz gdy się posag na stroje wyszasta  
Kłótnie i kwasy wnet się znajdą wtedy  
I będzie basta!

Są dziś mężowie bez majątku prawie,  
A jednak żonki mają świetne pierze,  
Szyku zadają po całej Warszawie,  
Skąd się to bierze?

Ileż to kobiet co nie umią cenić,  
Cichego szczęścia, kółka rodzinnego;  
Że więc mężczyźni nie chcą się dziś żenić,  
Oj! wiem dla czego!!!



## GDZIE SIĘ PODZIAŁA ŚREDNIA KLASA LUDZI?



Najprzód się przejdźmy trochę po mieście,  
Zlustrujmy klasę, co wyższą zowią;  
Choćby ze setkę na próbę weźcie,  
Wszyscy niezmienną jedność stanowią.  
Bankier, urzędnik, pisarczyk, hrabia,  
Dziedzic, dzierżawca każdy bez zmiany,  
Nie bacząc na to ile zarabia,  
Podług ostatniej mody ubrany.

A teraz chodźmy do Stępkowskiego,  
Znów kubek w kubek też same żądze,  
Nikt nie chce gorszym być od drugiego,  
I trudno poznać kto ma pieniądze.  
Prezes szampanem gasi pragnienie;  
I kancelista — kazał dać *Klika*.  
Bankier zamorskie zmiata pieczenie;  
I agent z giełdy toż samo łyka.

Niech no czerwony afisz zapowie,  
Że nowa sztuka w teatrze będzie,  
Każdy ma tylko jedną myśl w głowie,  
By dostał bilet w najdroższym rzędzie.  
A gdy mu kasjer lub kasjerowa  
Swej protektorskiej odmówi łaski,  
Wtenczas w ogródku w kącik się chowa,  
I ze zmartwienia ćwiczy kiełbaski.

Dosyć, że teraz w całej Warszawie,  
Tylko dwie klasy tu się znajdują,

Jedna z nich myśli wciąż o zabawie,  
A w drugiej ciężko na chleb pracują.  
Gdy więc już niema pośredniej klasy,  
Przychodzi na myśl wielkie pytanie,  
Czy nie za długo nie przyjdą czasy,  
W których za ledwie jedna zostanie?



### MY, CZY ONI?



Ważną kwestję dziś podnoszę,  
*My, czy oni?* — pytam *was*,  
Wytłomaczcie mi to proszę,  
Niech stanowczo wiem już raz.

W nasze święta lub niedziele,  
Handel w całym mieście wre,  
Byle grosza było wiele,  
Można kupić co kto chce.

Szmule, Moški niby pszczoły,  
Co zbierają z kwiatów plon,  
Podkasawszy długie poły,  
Szybko biegną ze wszech stron.

Nic ich wcale nie obchodzi,  
Że to nasz świąteczny dzień,  
Szmul lub Mosiek oknem wchodzi,  
Gdy nie wpuścisz go przez sień.

Lecz niech tylko Jomkipury,  
Albo Kuczki zjawia się,

To zobaczysz, czy z nich który  
Nawet mówić z tobą chce.

I Warszawa pełna wrzawy  
Jak w letargu, ani rusz,  
Nie załatwisz żadnej sprawy  
Próżno głowy swej nie susz.

Przemysł, handel, nawet sztukę,  
Zagarnęli wszystko nam,  
Choćbyś wielką miał naukę,  
Nic nie wskórasz bez nich sam.

Hardość wcale nie pomoże,  
Kto się kłócić z nimi chce,  
Ten przepadnie, żal się Boże  
Nawet kiedy — ani wie.

.....  
Tak się dzieje, lecz dla czego?  
Skąd pochodzi wyższość ta?  
Nie ma w tem nic tak dziwnego,  
Każdy z nich rachunek zna.

U nich ręka, rękę myje,  
I w majątek nikt nie dmie,  
U nas każdy sobie żyje,  
I rachować nie chce się.



## TOLEROWANI ŻŁODZIEJE.



Gdy złodziej jawnie cudzą własność sprząta,  
Biorą go za kark — pakują do kąta;

Z tej więc przyczyny, ci co w kozie siedzą,  
Że kraść nie wolno, dobrze o tem wiedzą.  
Ba! kraść nie wolno — wielkie to pytanie!  
O którym często różne bywa zdanie,  
Boć przecież u nas tacy są złodzieje,  
Do których każdy uprzejmie się śmieje,  
Podaje rękę, wspólnie z nimi chodzi  
I choć wciąż kradną, nic im to nie szkodzi.  
Naprzykład taki, który grając w karty,  
Bawi się w jakieś tak nazwane *żarty*,  
Zawsze na krześle wyprężony siada,  
I wszystkie karty widzi u sąsiada.  
Gdy gra się skończy — nie pomogą nieba,  
Takiemu panu wszak zapłacić trzeba,  
Jednak złodziejem nikt go nie nazywa,  
Chociaż kradzionym sposobem wygrywa.  
A jakże nazwać owego figlarza,  
Który, gdy tylko sposobność się zdarza,  
Siada bez grosza, o cenę nie pyta,  
Gdy wygra, bierze, — a gdy przegra — kwita.  
To także złodziej — chociaż nikt nie zgadnie  
Siadając do gry — że ten panicz kradnie.  
Sens więc moralnie z tego się wywodzi,  
Że taki złodziej co swobodnie chodzi,  
I nikt go nawet nie ma w podejrzeniu,  
Gorszy jest od tych, co siedzą w więzieniu.





## GOSPODARSTWO LEŚNE.



Bierze się przestrzeń dziewiczego lasu,  
I przy pomocy faktora nauki,  
Rąbie się sosny od czasu do czasu,  
Aż się wyrąbie co do jednej sztuki  
I nie zostanie nawet nic do siewu;  
To się nazywa: *trzebież starodrzewu*.  
Za tak z łatwością zebrane pieniądze,  
Stawia się pałac, gdzie stał skromny dworek,  
Sprawia się meble, bronzы i mosiądże,  
Resztę pieniędzy pakuje się w worek  
I wzięwszy pasport, za granicę rusza,  
Gdzie przy rulecie, kieszeń się wysusza.  
Gdy się powróci gołym co się zowie,  
I dochód z ziemi nie wystarcza wcale,  
Wnet się zjawiają usłudźni żydkowie  
I nie ustaną w szachrajskim zapale,  
Aż kawał lasu pochwycą w swe zęby;  
To się nazywa: *sprzedaż na poręby*.  
Gdy znów w kieszeni ruble się poczuje,  
Bierze się w mieście zimowe mieszkanie,  
Jeździ się dryndą, co wciąż galopuje,  
Chodzi się codzień na smaczne śniadanie  
I póty siedzi na warszawskim bruku,  
Aż pan komornik we drzwi: stuku, puku;  
Wtenczas się z nosem spuszczoneym na kwintę  
Wraca do domu zakląwszy djabłami,



Idzie do lasu, biorąc w rękę flintę,  
I w tajemnicy przed Judejczykami,  
Rąbie się niby na naprawę mostu;  
To się nazywa: *przysporzenie wzrostu*.  
I znów stryjasek\*) stary pocziwina,  
Dostarczył groszy na różne wybryki,  
Więc się kupuje węgierskiego wina,  
Zaprasza gości, rozstawia stoliki  
I póty szumi, ale już w powiecie,  
Aż znów, niestety! pustki są w kalecie.  
A że się wszystko skończyć raz już musi,  
Bo na tym świecie Fortuna się toczy,  
Więc gdy wierzyciel subhastacją dusi,  
I szlachcic widzi, że z wioski wyskoczy,  
Wtenczas niemcowi sprzedaje korzenie,  
To się nazywa: *leśne urządzenie*.



#### NAJNOWSZA PROPORCJA MATEMATYCZNA.

Tak się ma żona do męża, jak mąż do X.



Moi mili dobrodzieje!  
Co raz bardziej źle się dzieje  
Zróbmy obrachunek!  
To co mówię nie są kpiny,  
Warto by więc dojsć przyczyny,  
Skąd ciągły frasunek?

---

\*) U braci szlachty techniczne nazwanie lasu.

Rzemieślnicy, bankierowie,  
Literaci i sędziowie,  
Jakby namówieni,  
    Jedną piosnkę, wciąż śpiewają  
    I aż brzydko narzekają,  
    Że pustki w kieszeni.  
Otóż jeśli wiedzieć chcecie,  
To wam powiem dziś w sekrecie,  
By zaradzić złemu;  
    Że w tej kwestji niebrzęczącej,  
    Naszą kieszeń dotyczącej,  
    X winne wszystkiemu.  
Cóż to znowu za litera,  
Co tak wielki wpływ wywiera,  
Może mnie kto spyta?  
    Odpowiedzieć trudno na to,  
    A więc krótko, węzłowato,  
    Jest to X i kwita.  
X do pracy nie ma chęci  
Więc was wdziękiem swoim nęci  
I gotówkę trawi.  
    A choć nieraz żonki wasze  
    Jedzą w domu tylko kaszę,  
    X się ciągle bawi.  
Co tam żonka? — chleb powszedni,  
Niech go sobie jedzą biedni,  
A że djabeł kusi,  
    Więc nastała taka moda,  
    Że choć żona ładna, młoda,  
    Każdy, — X mieć musi.

Ztąd proporcja ta się rodzi,  
Że X panom mężom szkodzi  
I dla tego bieda.

Więc nie gardźcie radą szczerą  
Nie bawcie się tą literą,  
Bo X chleba nie da.



## CZTERY FAZY MAŁŻEŃSTWA PANA PROTA.



### I. Żona się cieszy.

Niedawno temu, bo ledwie rok cały,  
Z młodą panienką ożenił się Prot.  
Ach! jakże mu się oczy wtenczas śmiały,  
Gdy z domu mamy — porwał żonkę w lot!  
„Klnę się na wszystko! drogi mój aniele!”  
Rzekł Prot do żony, wierząc w słowa swe,  
„Że teraz niczem dla mnie przyjaciele,  
„Bo tylko z tobą spędzę życia dnie.”  
I żonka była bardzo ucieszona  
Z tego, że młody, kochający mąż,  
Jak dobry rolnik, gdy strzeże zagona,  
Wróciwszy z biura siedział w domu wciąż.

### II. Żona płacze.

Po trzech miesiącach gorącej miłości  
Prot przy herbatce, — rzekł do żony raz:

„Czy wiesz, że do mnie świat pretensje rości,  
O to, że w domu siedzę, wciąż jak głaz“  
A że stosunki potrzebne są w świecie,  
Jako do chleba — potrzebny jest nóż,  
Więc Prot choć wzdychał, że go smutek gniecie,  
Wyszedł na miasto, lecz bez żonki już.  
I żonka była mocno zapłakana  
Jak na subhastę wystawiona wieś,  
Bo mąż powrócił, aż o czwartej z rana,  
Tak go stosunki zatrzymały gdzieś.

### III. Żonie wszystko jedno.

Najtrudniej zacząć — powiada przysłowie,  
Które na Procie sprawdziło się wnet,  
Bo mąż poczciwy — został co się zowie  
Mężem niewiernym od *a* aż do *zet*.  
Co dzień już z domu wychodził wieczorem,  
By w gronie sylfid mógł uprawiać szał,  
Albo też w karty grał z takim ferworem,  
Jakby się gwałtem na śmierć zagrać chciał.  
I żonka patrząc na to, co się święci,  
I zaniedbania nie mogąc już znieść,  
Gorącą miłość wyгнаła z pamięci  
I rzekła sobie: „pal cię mężu sześć!“

### IV. Żona znów się cieszy.

Przy końcu roku, gdy tak w każdej dobie,  
Zdała od żony bujał w mieście Prot,  
Żonka zaczęła myśleć też o sobie,  
Bo przecież trudno nudzić się jak kot!

Zjawił się kuzyn po ciotecznej cioci,  
Stryjecznej siostry, z drugiej matki brat,  
I jak to kuzyn, co gdy może psoci,  
Jął pielegnować opuszczony kwiat.  
Mąż o tem nie wie — wśród wesolej rzeszy,  
Na myśl o żonie robi dziwny giest,  
I żonka teraz znów się z tego cieszy,  
Że mąż tak często nieobecny jest.



#### W OBRONIE NASZEJ PUNKTUALNOŚCI.



Ciągle ganić — to nie sztuka!  
Każdy ganić umie,  
Bo dziś każdy pilnie szuka  
Wad ukrytych w tłumie.  
Gdy więc jaki fakt się zdarzy,  
Co godzien uznania,  
Człowiek uśmiech ma na twarzy,  
Radość go pochłania!  
I czempredzej pióro bierze,  
Mając humor złoty,  
By wygłosić na papierze  
Hymn dla naszej cnoty.

.....  
„Punktualność jak wiadomo  
„Jest u nas nieznaną.“  
Tak niejeden krzyczy *homo*  
Wieczorem i rano.

Oh! to bajka co na szkodę  
Naszą, słowa trwoni,  
Ja wam zaraz tu dowiodę  
Jasno jak na dłoni.

. . . . .  
Tydzień temu ledwie będzie,  
Osób aż trzydzieści!  
Zawezwano przez orędzie  
Bardzo zwięzłej treści.  
Punkt o szóstej bez zawodu  
Ubiegłej niedzieli,  
W domu, co ma front od przodu,  
Wszyscy zejść się mieli.  
Cel zebrania choć chwilowo  
Zachowam w sekrecie,  
Ale o nim daję słowo  
Później się dowiecie.  
No! — myślałem — państwo moi!  
Czy też będzie w stanie  
Choć raz jeden, jak przystoi  
Odbyć się zebranie?  
Eh! połowa nie dopisze,  
Tak mówiłem rano,  
Bo chociaż to nie hołysze  
Ci, których wezwano,  
Choć przyrzekli w istnym szale  
Pamiętać wciąż o tem,  
Punktualność jednak wcale  
Nie jest ich przymiotem.

Cóż powiecie? — punkt na szóstej  
Gdy wskazówki stały,  
Wielki salon — zwykle pusty  
Wypełnił się cały.  
Przyszedeł Edward, co z natchnienia  
Gotów pójść do Łodzi,  
Lecz na wszelkie posiedzenia  
Nigdy nie przychodzi.  
Wpadł Władysław, jak przebojem,  
Dystrakt co się zowie,  
Bo się nigdy w życiu swoim  
Nie stawił na słowie.  
Przyszedeł Alfons — istna męka  
O zbolałej duszy,  
Zwykle bowiem trzy dni stęka,  
Nim się z domu ruszy.  
Przyszedeł Juljan — wzór ofiary  
Poświęceń w Warszawie,  
Przyszedeł nawet pan Hilary,  
Co ma sto lat prawie,  
Słowem — chociaż było wielu  
Pomęczonych srogo,  
Gdy wezwano do apelu,  
Nie brakło nikogo,  
I wnet wszyscy punktualni  
Jak w zegarach dzwony,  
Przeszli hurmem do... jadalni  
Na obiad proszony.





## PAN AMBITNICKI.



Aż miło patrzeć na tego pana  
Taki systemat chodzący!  
Co dzień się myje i goli z rana,  
Słowa nie powie niechcący.  
Wszyscy się w niego patrzą jak w tęczę  
I przed nim chylą swe czoła,  
Bo że ma miljon, za to ja ręczę,  
I nie zawiodę się zgoła.

W młodości swojej ten człowiek wielki  
Był pochołędem ubogiem  
I jako władca jedynej szelki  
Zasypiał nie raz pod progiem.  
Dziś jednak, gdy się pozbył kłopotów  
I już odcina kupony,  
Słowo honoru zawsze dać gotów,  
Że jest w pałacu zrodzony.

Gdy chodząc do szkół, miał boscę piętę  
I ręce z zimna ponsowe,  
Jakiś filantrop litością zdjęty,  
Płacił za niego wpisowe.  
Dziś w każdej chwili przysiędz jest w stanie  
I wszystkich bierze na kawał,  
Że ojciec jego na wychowanie  
Bajońskie sumy wydawał.

Będąc studentem bez pomieszkania,  
Mieszkał w łazience dni wiele,

Była to bardzo siedziba tania,  
Bo ciotka miała kąpiele.  
Dziś, wspominając życie studenta,  
Mówi, że mieszkał wspaniale,  
I do tej pory jeszcze pamięta  
Dawne swe piękne lokale.  
Gdy aplikantem został nareszcie!  
Aby pokrzepić swe członki,  
Mając półrocznie złotych aż dwieście,  
Jadał na kredyt u Bronki.  
Dziś, gdy wspomina o aplikacji,  
Klnie się jak dryndziarz nad ranem,  
Że nie szedł nigdy spać bez kolacji  
Oblanej suto szampanem.  
I tak przy każdej takiej powieści,  
Gdzie słów jest więcej niż wątku,  
Swe własne uszy piosneczką pieści  
O swym rodowym majątku.  
Człowiek ten bowiem, co ma miliony,  
O których marzą próźniacy,  
Nie chce na chwilę być posądzony,  
Że wszystko winien swej pracy.



## DZICY LUDZIE.



Jeżeli człeku żyłeś dawniej świetnie,  
A widząc, że cię lichwa z nóg wnet zetnie,

Postanowiłeś skromnym być w potrzebie,  
To mi żal ciebie.

Bo wszyscy twoi dawni przyjaciele,  
Wszyscy ci, którzy kochali cię wiele,  
Na różne tony czynić będą krzyki:

To człowiek dziki.

Jeśli się zjawił *pan* pomiędzy nami,  
Co społeczeństwo karmi obiadami,  
A ty nie chodzisz na obiady owe,

Toś stracił głowę.

Wszyscy znajomi, ilu ich masz, bracie,  
Z politowaniem patrząc ciągle na cię,  
Rzekną o tobie bez zmrużenia powiek:

To dziki człowiek!

Jeśli dwie panny mając do wyboru,  
Jedną bogatą — drugą bez waloru,  
Zamiast z bogatą, ożenisz się z biedną,

Toś chybił w sedno.

I w tym wypadku, mój chłopczyku młody,  
Chociaż ci miłość wyprawiła gody,  
Ludzie poczciwi osądzą wrzekomo:

Żeś dzikie homo.

Lecz tych wypadków jest na świecie siła,  
A że być dzikim rzecz bardzo niemiła  
Więc podam sposób uniknąć najprościej

Owej dzikości.

Choćbyś miał wkrótce zginać w ciężkiej biedzie,  
Niech ci to wcale do głowy nie jedzie  
I póki możesz od samego rana

Udawaj pana.

Gdy cię pan Szwindel prosi na obiady,  
Ty nie bądź, bracie, z oburzenia blady,  
I razem z całą pieczeniary zgrają

Jedz — póki dają.

A i ty także, mój chłopczyku miły,  
Zamiast rachować na swe młode siły,  
Gdy znajdziesz pannę, co ma wór pieniędzy,  
Bierz ją czempredzėj!

Tak postępując, jeden — drugi — trzeci,  
Możesz być pewnym, że nawet wśród dzieci,  
Nigdy o tobie nie powstaną krzyki:

To człowiek dziki!



## MYŚL I FORMA.



Pewnemu, który czuł w sercu zapał,  
Przyszła myśl świetna do głowy,  
Więc bez namysłu za pióro złapał  
I spłodził wierszyk łokciowy.

Z tą swoją pracą idzie przed sędzie  
I rzecze do nich: „Panowie!  
„Chciejcie powiedzieć co ze mnie będzie  
„I co też o mnie świat powie?“

Sędziowie zbrojni w miny surowe  
Obsiedli wielki stół w sali,

I przeczytawszy wierszy połowę,  
Następny wyrok wydali:

„Myśl, trzeba przyznać, jest czystej wody  
„I pełna wielkiej zalety,  
„Lecz w twojej pracy, człowieku młody,  
„Brakuje formy, niestety!“

Ha! — rzekł do siebie, westchnąwszy skrycie  
Pójdę za radą najściślej  
I chętnie całe poświęcę życie,  
By znaleźć formę do myśli.

I dążąc ciągle do swego celu,  
Przechodził różne zakręty,  
Aż wreszcie formę, po latach wielu,  
Znalazł, ów człowiek zawzięty.

Z tą piękną formą, biegnie przed sędzie  
I rzecze do nich: „Ach! proszę!  
„Powiedzcie teraz, co ze mnie będzie,  
„Gdy piękną formę przynoszę?“

Sędziowie zbrojni w miny surowe,  
Obsiedli wielki stół w sali  
I przeczytawszy wierszy połowę,  
Następny wyrok wydali:

„Forma wspaniała! — nikt nie zaprzeczy,  
Wziąwszy twe wiersze na szale,  
Lecz cała praca jest nie do rzeczy,  
Bo myśli niema w niej wcale.“



## ICUS I HENRYCZEK.



— Powiedz Icusiu, pytał się Henryczek,  
Czy ty cukierki jadasz przy obiedzie?  
— Oj... oj... jak tata z jarmarku przyjedzie,  
To mi da za grosz z cytwarem pierniczek,  
A nawet jeśli ma dużą gotówkę,  
To da pierniczek i śledziową główkę...  
— Fe, rzekł Henryczek, kwaśne robiąc minki,  
Ja mam cukierki zawsze i pralinki,  
Różne pomadki, a ojciec nie liczy,  
Ile mi daje codziennie słodczy...

. . . . .  
Przeszły lata, boć przecie czas szybko umyka,  
Icuś wyrósł na Icka, Henryś na Henryka.  
Icek liczy tysiące, handluje lasami,  
A Henryś na posadce już robi bokami...  
Wytartemi łokciami biedaczysko świeci,  
I nie ma na pierniczki z cytwarem dla dzieci.



## „JAKŻE ZDROWIE.“



— „Jakże zdrowie?“ — pyta dziada, ugrzeczniony  
[dziad,  
Myśląc w duchu jednocześnie: żebyś djabła zjadł...]

— „Jakże zdrowie?“ pyta dłużnik grzecznie wie-  
[rzyciela,  
Myśląc: czemuż w niego piorun dotychczas nie  
[strzela.

— „Jakże zdrowie?“ — pyta czule, kupiec co ma  
[sklep,  
Myśląc — czemuż ci się cegła nie zwali na łeb..  
Czemu nędzny konkurencie wciąż mi życie tru-  
[jesz,  
I tym samym artykułem, co i ja handlujesz...

— „Jakże zdrowie?“ — rzecze malarz do malarza  
[znów,  
Myśląc: żebyś pacykarzu wpadł w otwarty rów!  
Płoty tobie wapnem mazać, o marny bazgrało,  
Dałeś obraz na wystawę... tego brakowało...

— „Jakże zdrowie?“ cny krytyku, tak literat  
[rzekł..  
A pomyślał — żebyś bestjo co prędzej się wściekł.  
Ty coś żółte zęby stępił na mych książek grzbie-  
[cie,  
Że cię jeszcze święta ziemia nie pożarła przecie...

— „Jakże zdrowie?“ — Jakże zdrowie? — brzmi roz-  
[mowa pań,  
Coby chciały swoje serca złożyć komuś w dań..  
I całują się, a w duchu jedna drugą pragnie  
Utopić jeśli nie w morzu, to choć w plotek ba-  
[gnie.

— „Jakże zdrowie? — Jakże zdrowie? pyta ten  
[i ów,  
Choć go to nic nie obchodzi, czy pytany zdrów?  
Czy go jutro z recept mocy i konsyljów skutku,  
Zapakują na karawan, wśród rodziny smutku.

— „Jakże zdrowie?“ — Jakże zdrowie? Ej panowie  
[dość,  
Po co w takim czułem słowie, wylewać swą  
[złość,  
Czyż nie lepiej ot zwyczajnie, grzecznie rzec  
[i cicho:  
— No, kiedyż tam pana wreszcie porwie ciężkie  
[lichy?

Albo... słuchaj no jegomość, kiedyż powiesz *pas*?  
I przestaniesz swą facjatą dalej trapić nas...  
Kiedyż lekarz, twój nadworny, pasport ci pod-  
[pisze,  
Kiedy wreszcie panegiryk po tobie usłyszę?

Tak witając się przyjaźnie, to by była rzecz,  
Nie potrzebne ceremonje w kąt by poszły precz.  
Lecz... dziś przecie najzawziętsi, zażarci wrogo-  
[wie

Zapytują się nawzajem:

— Jak szacowne zdrowie?...





## JUŻ TEGO WIĘCEJ NIE ZROBIĘ.



Poszedł Janek na śniadanie,  
Zasiedział się do północy,  
Żona krzyczy: — Wstydź się, Janie!  
Djabeł trzyma cię w swej mocy.  
Ja kłopoty różne znoszę,  
W domu bieda, — dzieci troje,  
A ty w handlach tracisz grosze  
I rujnujesz zdrowie swoje.  
Janek, słysząc te wyrzuty,  
Załamuje ręce obie  
I przysięga mocno struty:  
*Już tego więcej nie zrobię!*

Wdał się Karol w romansidło  
Z damą, która z mężem żyje,  
Wnet mu życie strasznie zbrzydło,  
Takie z tego były chryje.  
Oj, napocił się Karolek  
Jak wsadzony chleb do pieca,  
I aż w sercu dostał kolek,  
Gdy wydała się ta heca,  
Więc wyszedłszy ledwie cało  
Wciąż powtarzał Karol sobie,  
Oh! to na nic się nie zdało:  
*Już tego więcej nie zrobię!*

Zgrał się w karty Józio młody,  
(Bo nie mogło być inaczej)

I chciał rzucić się do wody  
W takiej biedak był rozpaczy.  
Jakaś jejmość z siwą głową  
Ocaliła malkontenta,  
Mówiąc: Józiu, daj mi słowo,  
Że nie będziesz grał w karciecia.  
Józio, który przed godziną  
Chciał się gwałtem znaleźć w grobie,  
Z jaknajlepszą przyrzekł miną:

*Już tego więcej nie zrobię!*

Brawo Józiu! — brawo Janiel!  
Brawo i ty, mój Karolu!  
Widać macie piękne zdanie,  
Co wart człowiek bez parolu.  
O tak! moi chłopcy mili,  
Wszak ozdobą jest człowieka,  
Zawsze w każdej życia chwili  
Dotrzymywać, co przyrzeka.  
Boć to nawet jest kryminał,  
Gdy ktoś dzisiaj hula sobie,  
Jeśli wczoraj się zaklinał:

*Już tego więcej nie zrobię!*

Ach! niestety, — to marzenie,  
Które znikło wnet jak raca:  
Jan znów zwilża podniebienie  
I do domu w nocy wraca;  
Karol także z meżatkami  
Znów wyprawia różne chryje,  
Nawet, mówiąc między nami,  
Znalazł męża, który bije;

Józio w karty gra na nowo,  
Bo przy pełnym stanął żłobie,  
I w kąć poszło dane słowo:

*Już tego więcej nie zrobię!*

Ha! cóż robić, trudna rada!  
Taka widać nasza dola,  
Że się u nas ludność składa,  
Z Jana, Józia i Karola,  
Wszystko to są *dobrze chłopcy*,  
Temu pewnie nikt nie przeczy,  
Honor także im nie obcy,  
Wychowani są do rzeczy,  
Tylko im się to nie chwali,  
Że wciąż życie trują sobie,  
Choć niedawno przysięgali:  
*Już tego więcej nie zrobię!*



INACZEJ SIĘ MÓWI—INACZEJ SIĘ PISZE.



— Tak, tak, mój Wacławie — rzekł do mnie An-  
[toni,  
Prowadząc pod rękę na spacer w Aleje, —  
Tak zwana opinja wiatr po świecie goni,  
Dla tego też u nas źle się dzisiaj dzieje.  
Pierwszy lepszy nicpoń drwi sobie ze świata  
I byle mu miljon wyglądał z kieszeni,

Z uczciwym człowiekiem, jak z równym się brata,  
Bo go każdy kocha, szanuje, i ceni.

— Ależ, mój Anteczku, wstrzymaj się w zapale,  
Rzekłem widząc Antka, jak jest rozogniony,  
Ja twojej teorji nie potępiam wcale,  
Lecz każdy medaljon zwykle ma dwie strony,  
Więc chociaż kto z łotrem, gdy mu w drodze  
[stanie,

Wita się ochoczo, jak jedwabnik z morwą,  
Każdy jednak pewno, o takim waćpanie,  
Mówi sobie w duszy: — niech go djabli porwą!  
— Ba! to właśnie hańba, że nie idzie dalej! —  
Krzyknął mój Antoni, jak Jupiter grzmiący, —  
Bo w ten sposób każdy łajdak się zuchwali,  
A my aprobatę dajemy nie chcący. —  
Ot! naprzykład Igrek! — wszyscy o tem wiedzą,  
Skąd ma te miljony, któremi się szczyci, —  
Przecież to się działo u nas, nie za miedzą,  
Dojść za tem do kłębka łatwo jest po nici,  
Wszyscy jednak wszędzie chętnie go przyjmują,  
Gdy wyciągnie rękę — każdy aż podskoczy,  
I nikt mu nie powie, że jest wielkim szuja,  
Który nie powinien włazić ludziom w oczy.

.....  
Gdy Antoni ciągle na ten ton narzeka  
I wciąż nad upadkiem moralności kwili.  
Akurat, przed nami spostrzegłem Igreka,  
Który jak z pod ziemi wyrósł w jednej chwili,  
No! to będzie szopka — pomyślałem w duszy,  
To coś ciekawszego niż śpiew Arambury,

Pewnie się w Anteczku wszystka żółć poruszy,  
A ja będę świadkiem grubej awantury.

.....

Gwałtu! co ja widzę? — mój groźny Antoni,  
Zamiast się odwrócić, jak to mówią, pięta,  
Niby kot do sadła, do Igreka dłoni  
Biegnie kurc-galopem, z twarzą uśmiechniętą  
I nie bacząc wcale, że to w oczy kole,  
Poszedł z tym, którego tak potępiał srodze,  
A mnie, chociaż ze mną kolegował w szkole,  
Jak stare pomiotło, porzucił na drodze.



## PAN KOCHANY I PAN NIEKOCHANY.

Powieść arabska.



Było dwóch panów w pewnem wielkiem mieście,  
Jeden i drugi był bardzo bogaty;  
Kilka miljonów i domów ze dwieście  
Dawały panom książęce intraty,  
Lecz jeden skąpił, jak biedny konował,  
A drugi sobie nigdy nie żałował.

Skąpy sam zawsze prowadził rachunki,  
Dowodząc, że to wcale go nie nudzi,  
Hojny zaś na bok rzucił te frasunki,  
We wszystkim zawsze spuszczał się na ludzi

I w każdym czynie chciał dowieść przed miastem,  
Że jest skąpego, prawdziwym kontrastem.

Oj dobrze się też dobrze ludziom działo  
Przy tym wspaniałym, co jak istny książę,  
Co dzień na mieście wydawał nie mało,  
Nie bacząc, czy się koniec z końcem zwiąże  
I czy w ten sposób jak kapłona — kuny,  
Djabli nie porwą olbrzymiej fortuny?

Ale go *za to* kochali ludziska,  
„To pan kochany“ — tak mówiono wszędzie,  
„Co to za werwa z jego oczów tryska,  
„Jaką szlachetność zawsze ma na względzie,  
„Jak on nikomu nie żałuje chleba,  
O! takich panów, — to dziś szukać trzeba.“

Tego drugiego, wcale nie kochano, —  
„To brzydki skąpiec! — każdy mówił w mieście,  
Bo on gdy zrobi co dobrego rano,  
To chce wieczorem zebrać za sto dwieście. —  
Nie! z takich panów, jak ze śniegu w maju,  
Nigdy nie będzie pociechy dla kraju.

Tak upłynęło lat parę dziesiątek,  
Bieda zaczęła dręczyć ludzi srodze,  
I pan kochany stracił swój majątek,  
Bo ciężkie czasy stanęły mu w drodze,  
A niekochany mienia swego zasób,  
Mimo złych czasów, powiększył w czwórnasób.

„E! to szalapat — ten nasz pan kochany“  
Krzyknęło miasto — „Niech go porwą kaci!  
„Takie kosztowne wciąż wyprawiał tany,  
„A teraz nawet długów swych nie płaci,  
„Od takich panów zachowaj nas Boże!  
„Bo jeden taki, kraj nasz zgubić może.“

„Ten drugi, skąpy — to perła prawdziwa!  
„Niechaj zarabia co dzień za sto dwieście,  
„On kraj wzbogaca, choć sam nie używa,  
„Takich nam więcej.“ — Tak mówili w mieście  
Ci, którzy dawniej w jaknajlepszej wierze,  
Tego hojnego tak kochali szczerze.



Co kraj, to zwyczaj — przysłowie powiada  
I tak, we Francji, gdzie Francuzów sporo, —  
gdy im nie grozi wojna od sąsiada, zaraz się sa-  
mi dzielnie za łby biorą. Choć się już jednak  
nie raz poczuli, i krew się lała w rozbestwie-  
niu dzikiem zawsze ze sobą, w każdej życia chwi-  
li, mówią swym własnym francuskim językiem  
W Anglii anglicy — mają zwyczaj taki (o czem  
już doniósł nasz znany reporter), że na śniadanie  
jedzą morskie raki i po rostbefie zwykle piją  
porter. Choć jednak usta przy angielskiej mo-  
wie, krzywią się strasznie, jak po gorzkim ziel-  
sku — anglicy, za co, daj im Boże zdrowie! —  
zawsze ze sobą mówią po angielsku.

U niemców, zwyczaj z tego dawno słynie, że śpią w pierzynach jak w kokonach — liszki, a gdy się zbudzą o każdej godzinie, mają apetyt na grochowe kiszki. — Rzecz to jednakże powszechnie jest znana i najmniejszemu to wiadomo dziecku, że każdy Niemiec, od samego rana, rozmawia z Niemcem, tylko po niemiecku.

My także mamy zwyczaj bardzo stary, — bo niech kto sobie, co chce o nas baje, — niech rozpuszczają plotki nie do wiary, — my szanujemy nasze obyczaje.

Więc gdy się u nas zejdą dwaj panowie, których nie łączy żadna wspólna listwa i jeden nie wie, jak się drugi zowie, — lecz się zważali, że są z *towarzystwa* — oho! — już zaraz ci panowie muszą, gardząc *narzeczem* dla nich jeszcze dzikiem, jak *monsieur Flacon* z *mademoiselle Tire-Bouchon*, mówić do siebie — francuzkim językiem.

To jest nasz zwyczaj, czysto narodowy! — po nim pan pana pozna w jednej chwili, — nie trzeba nad tem suszyć sobie głowy i nikt w tej kwestji nigdy się nie zmyli.

Niech sobie za tem inni na tym świecie, tak robią jak im najlepiej się zdaje, — my naśladować nie będziemy ich przecie, — bo my też mamy swe własne obyczaje.





P A N.



„Pan,“ to był wielki — pamiętam go dobrze,  
Gdy dla rozrywki grał winta ze szrubą  
I pił szampana po przegranym robrze,  
Chociaż różnica była nie raz grubą!

    Zkąd brał pieniądze, nikt o to nie pytał:

    Jedni mówili, że zbiera pszenicę,

    Drudzy, że w banku posiada kapitał,

    A ci, że miny złote ma w Afryce.

Słowem, wciąż nowe odkrywano źródła,  
Z których „pan“ można swe dochody czerpie,  
A jemu kieszeń tymczasem nie chudła  
I swą płodnością wstydziła Prozerpję.

    Co na dnie piekła, jak wiadomo, siedzi

    I djabłom na świat wysłanym w potrzebie

    Kuje dukaty z najpodlejszej miedzi,

    Aby głoszone o skarbach w Erebie.

Ale też zbytki trzymały się „pana!“

Wszak w jednym roku, o czym nic nie wiecie,

Kanarzyć jajka znoszono mu z rana,

Ażeby kuchmistrz dawał je w omlecie.

    Dryndziarzom za kurs płacił zwykle dyche,

    A gdy mu dryndziarz podziękował za to,

    Dawał trzy ruble, mówiąc: — „szkapy liche,

    Lecz musisz wiedzieć, kogoś wiózł, sałato.

Koni nie puszczał, utrzymywał bowiem,

Starą madereę przegryzając tortem:

Że to co dzisiaj wyścigami zowiem,  
Jest tylko zyskiem, a nie żadnym sportem.

A „pan“ prawdziwy, choć mówiąc w nawiasie,  
Panów prawdziwych, mamy już nie wielu,  
Mimo, że pieniądz nie jednemu zda się,  
Nie może nigdy zysków mieć na celu...

Totalizator, oto pomysł głowy!

A chociaż prasa krzyczy, że to pletnia,  
Która wytrzebi dobrobyt krajowy,  
Ja w to nie wierzę, bo gra uszlachetnia!

W grze się wyrabia hart oraz odwaga,  
Która, wiadomo dziś polega na czem,  
Bo gra jak wojna zimnej krwi wymaga  
I tchórz nie będzie nigdy dzielnym graczem.“

Tak przez lat dziesięć z miną wciąż wyniosłą,  
Głosząc swe własne poglądy ciekawe,  
Traktował „pan“ grę nie jako rzemiosło,  
Lecz jako piękną rycerską zabawę.

Naraz „pan“ wielki zniknął z horyzontu,  
Jak ta kamfora, gdy jej nikt nie pieprzy,  
Wszyscy znajomi mówią: — ależ on tu  
Znów się pokaże, pewnie klimat lepszy

Ztąd go wywabił, kiedy nawet na tor  
Mając dwie róże przypięte nad dziurką,  
Mimo że działa już totalizator,

„Pan“ nie przyjeżdża swoją dzielną czwórką.

„A może złoto odbiera w Afryce,  
Napomknął jeden, drugi na to: — E, nie,  
Z pewnością w dobrach sprzedaje pszenicę  
Która obecnie podskoczyła w cenie!

„Co wy tam wiecie, odezwał się trzeci,  
To panie taki amator buziaków,  
Że za buziakiem piechotą poleci,  
Chociażby nawet do Lwowa przez Kraków!

I jak to wtenczas było wciąż na dobie:  
Gdzie kasa pańska, nisko czy wysoko,  
Tak znowu teraz łby łamano sobie,  
Gdzie się „pan“ podział, że go ani oko?

Wkrótce jednakże niby w dużym młynie,  
Gdzie plotki nowe wciąż do kosza sypią,  
Pamięć o „panu“ zginęła lub zginie,  
Jak ongi zginął afrykański Scipio!

. . . . .

Od tego czasu, minął rok w kłopotcie,  
Którego wszędzie jest jak w zimie lodu,  
A chcąc odetchnąć po „Saskim“ szwargocie,  
Aż do „Kraśnińskich“ poszedłem ogrodu.

I rzecz szczególna, choć rozmowy płynne  
Dolatywały z pod konarów cienia,  
Szwargot nie drażnił, gdy wpadłem pod rynnę,  
Bo już wiedziałem z kim mam do czynienia.

Zaledwem usiadł, a to co u licha!  
Toż to „pan“ dawny siedzi z lewej strony,  
Figurka skromna, nawet bardzo cicha,  
Mimo to wcale nie jest uniżony.

„Panie szanowny, co się z panem działo?  
Krzyknąłem, mocno ściskając mu ręce,  
—A cóż,— „pan“ odrzekł,—przeszedłem nie mało  
I znów, jak widzisz, po świecie się kręcę.

Dziesięć lat z rządu Fortuna służyła,  
Czegom się dotknął, wygrywałem wszędzie,  
Aż w przeszłym roku, ta kobietka miła,  
Straciła pamięć o swym dla mnie względzie.

Przez jeden miesiąc zgrałem się do nitki,  
Więc nie chcąc robić, jak robią próżniacy,  
Co żebrzą ruble w sposób bardzo brzydki,  
Po cichuteńku wzięłem się do pracy.

Początek wprawdzie, nie był zbyt dodatni  
Lecz, że rąk nigdy opuszczać nie trzeba,  
Jakoś wybrnąłem z tej zawilej matni  
I dziś nie grając, mam kawałek chleba.

.....  
Na tem rozmowa skończyła się nasza,  
A kto ją czyta, z pewnością to powie,  
Gdy go nie szpeci przewrotność Judasza,  
Bodaj tak wszyscy wybrnęli „panowie.“



## GRUBOSKÓRNI.



Chociaż fizyka stanowczo dowodzi,  
Że z grubej skóry można zrobić cienką,  
A cenniejszą nawet alchemicy młodzi,  
Dla których posąg jest śliczną panią,  
Grubej nie robią, gdy im o to chodzi,  
Bo to by tylko było próżną męką,

„Mucha“ w dowody mając łapki zbrojne,  
Fizyce dzisiaj wypowiada wojnę...

Nazwisk wymienić nie mamy ochoty,  
Po pierwsze bowiem jakoś nie wypada,  
A zresztą z tego mogą być kłopoty,  
Bo gdy o Iksie napisać, że władza  
Głową przydatną tylko do pozłoty,  
W tej chwili Iksów zgłosi się gromada,  
I każdy będzie miał pretensję o to:  
Że głowę jego pokryli pozłotą!

Czyż więc nie lepiej panie i panowie,  
Na chybił trafił wyciągnąć z mrowiska,  
Które się wszędzie społeczeństwem zowie,  
Kogoś co wprawdzie nic na tem nie zyska,  
Gdy nam wyznanie wiary swe opowie,  
Lecz go poznamy za to wszyscy zblizka;  
A nuż ten właśnie wyciągnięty z urny  
Będzie, jak obszył, *człowiek gruboskórny?*

Ot, — jest egzemplarz — jakoś się powiodło:  
Gdyśmy mu grzecznie krzesło przystawili,  
Usiadł jak dżokiej, gdy siada na siodło, —  
Wziął nieproszony cygareto w tej chwili,  
A gdy nas trochę, to *sansfaçon* bodło,  
Na elegancję natychmiast się sili,  
Bo nas po plecach, poklepał łaskawie,  
Jak dziedzic, gdy jest z włodarzem w swem prawie.

Wszystko przeglądał — a czy mu pozwolę?  
Nawet się o to bynajmniej nie pytał,  
Wciąż wyłupiając oczy swe bawole,  
Byłe karteczkę dokładnie przeczytał  
I w portmonetce, leżącej na stole,  
Musiał koniecznie obliczyć kapitał,  
Słowem, choć pierwszy raz tu przyszedł do mnie,  
Szastał się ciągle — zamiast siedzieć skromnie.

— Ależ to chamuś — zapewne krzykniecie:  
To człowiek, który nie ma wychowania,  
Cóż więc dziwnego, że jak głupie dziecię  
Ciekawym wzrokiem wszystko wciąż pochłania  
I gdy co złapie natychmiast pogniecie,  
Widząc, że nikt mu bawić się nie wzbrania,  
Lecz takim ludziom wszystko się wybacza,  
Gdyż to natura musi być prostacza.

Za pozwoleniem! — nie prostacza wcale —  
To człowiek nawet w salonach obyty,  
Lecz wie niestety — gdzie może zuchwale  
Mieć podług niego, ton nieprzyzwoity. —  
Ten sam jegomość niech wejdzie na salę  
Do milionera, gdzie są aksamity,  
Ręczę wam będzie pokorny i cichy,  
Tak onieśmielą go wielkie przepychy!

To bowiem główna *gruboskórnych* cecha,  
Że każdy taki pan o grubej skórze

Do bogatszego słodko się uśmiecha,  
Mówiąc mu: — Paniel ja ci chętnie służę, —  
Słówko tve każde na podobę echa  
Całemu światu natychmiast powtórzę,  
A biedniejszego, jak walczyka mazur,  
*Pan Gruboskórny*, ma wciąż za psi pazur...



## NASZE WNUKI.



Ziarno rzucone do żyznej ziemi,  
A mianowicie — pszenica,  
Gdy przyjdą żniwa plonami swemi  
Zwykle rolnika zachwyca!  
Dziś więc, gdy rolnik pociechy szuka  
W swoim obfitym dość zbiorze,  
Warto wymłócić „*naszego wnuka*,“  
Który już dojrzał jak zboże.  
Na pozór chłopiec śliczny zaiste,  
Z ojca ma jasne kędziory,  
A z matki wielkie oczy ogniste,  
No, i co prawda... nos spory.  
Buzia u niego także szeroka,  
Mówi nią zwykle powoli,  
Lecz po francuzku *za to* jak sroka  
Ciągłe przez gardło rzempoli.  
Ubrany zawsze podług żurnala,  
Z przodu rajtroczek ma ścięty,

Gdyż mu majątek na to pozwala,  
By śledził mody zakręty.

. . . . .

Z takim to właśnie wczoraj okazem,  
Chcąc się rozerwać w mym smutku,  
Przy kolacyjce siedziałem razem  
W pewnym scenicznym ogródku.  
Ja, ma się wiedzieć, samotnie w ciszy  
Jadłem pekefleisz lecz z chrzanem,  
A „wnuk nasz“ grono swych towarzyszy  
Poił najdroższym szampanem.  
Biesiada była nadzwyczaj żywa:  
Szampan w kieliszkach się pieni,  
A w koło ledwie kufelek piwa  
Zjawił się obok pieczeni,  
Cóż więc dziwnego, że nasz wnuk młody,  
Choć go świat dawno ośmiela,  
Pomimo niby wielkiej swobody  
Urznął się prędko jak Bela!  
A gdy się urznął — włosy wstawały  
Nawet na łysej czuprynie,  
Słyszac jak głośno „wnuczek“ zuchwały  
Łatki przypinał rodzinie:  
Ojca własnego nazwał próżniakiem,  
Co wierzył tylko w gotówkę  
I gardząc w życiu zajęciem jakiem,  
Pojął za żonę żydówkę! —  
A co o dziadku, ojcu swej matki  
Mówiło zacne pacholę



Choćbym Rodocia miał wierszyk gładki  
Zamilczeć lepiej tu wolę;  
Tembardziej, że już rozumne żydki,  
Których herb słabo zachwyca  
Wyśmiały w sposób niezmiernie brzydki  
Biednego teścia — szlachcica!

.....  
Lecz dosyć tego, — schowajmy cepy, —  
Ziarno się przecie nie zmienia:  
Niech więc osądzi kto nie jest ślepy,  
Jaki plon mamy z nasienia?  
Zasianą była pszenica marna,  
Nieoczyszczona powoli,  
Nic więc dziwnego, że zamiast ziarna  
Chwast się urodził na roli —  
I że nie jeden „nasz zieć“ już znany  
Z tego, że dawniej żył z hukiem,  
Zniweczył teścia ambitne plany,  
Darząc go takim dziś wnukiem.



### GŁOWĄ... KUZYNÓW NIE PRZEBIJE.

Odpowiedź na list, podpisany przez trzech oficjalistów  
cukrowni X.



Żądacie rady od życzliwej „Muchy!“  
Więc rozważywszy list wasz, smutnej treści,

Nie mogąc w serca wasze wlać otuchy,  
Życzliwa rada w tych słowach się mieści.

. . . . .

Na bok panowie! odstepcie od chleba,  
Kuzyni bowiem idą wielką zgrają,  
Przez grzeczność zatem usunąć się trzeba,  
Gdyż oni na chleb nigdy nie czekają.  
Zresztą, jak chcecie, przyjmijcie los srogi,  
Lecz chociaż wam się nie podoba tu co;  
Radzimy grzecznie usunąć się z drogi,  
Bo was niegrzecznie wnet za kark wyrzucą!  
To trudna rada! — moi mili chłopcy,  
Tak było dawniej, tak będzie *ad finem*,  
Że kuzyn bliższy, niż tam jakiś obcy,  
*Który prezesa nie zowie kuzynem...*  
Nie źle wam było w tej waszej cukrowni,  
Gdzie z kredką w rękę, bez pomocy Jojny,  
Jak powiadacie, panowie szanowni,  
Wiodło się żywot skromny, lecz spokojny.  
Trzeba nieszczęścia, że, jak list donosi  
Siostra prezesa, baba z intryg znana,  
Złowiła męża dla swej córki Zosi  
I wnet w cukrowni nastąpiła zmiana!  
Naprzód mężulek pięknej siostrzenicy,  
Wkręcił się cicho, jak potulne dziecko, —  
„Eh, — cóż to szkodzi?” — rzekli pracownicy, —  
„Nikogo z miejsca nie rugują przecie! —  
„Niech chłopiec z pracą pozna się po trochu,  
„Zresztą nie groźny wcale ten Wiktorek,

„Z pewnością bowiem nie wymyśli prochu,  
„Gdyż dotąd przez *f* pisze ciągle *wtorek*.“

. . . . .

To była właśnie wasza wielka wada,  
Żeście z początku, moi chłopcy mili,  
Z małego pieska, co się cicho skrada,  
Nic a nic sobie, wszyscy nie robili. —  
A nos od czego?! — wszak w życia operze,  
Jak mówi węgier, ten instrument to sem  
Nad cymbałami nawet prym dziś bierzel  
Więc trzeba było zwąchać pismo nosem.  
I zamiast szczyć się swej pracy siłą,  
Która nie zawsze dochód dziś stanowi,  
Bez porównania lepiej dla was było.  
Od razu bakę świecić kuzynowi.  
Nie, — wyście sobie ciągle z głupca drwili,  
Robiąc mu nawet niegrzeczności grube,  
Aż wziął na ambit i zwabił w tej chwili  
Naprzód jednego kuzynka na próbę,  
Następnie dwóch, trzech, czterech i tak dalej  
Między *dawnymi* spustoszenie czyni,  
Aż dziś w cukrowni i wielcy i mali,  
Na wszystkich miejscach są sami... kuzyni!  
Co prawda baba, a prezesa siostra,  
Na pozór bardzo kobiecina mała,  
Ale w języku nadzwyczajnie ostra,  
Zięciowi swemu na gwałt pomagała.  
Lecz koniec końców skończyło się na tem,  
Jak zwykle kończy się podobna sztuka,

Że ten kto nie jest choć ciotecznym bratem,  
Niechaj gdzieindziej miejsca sobie szuka,  
Albo też wzięwszy w rękę kij żebraczy,  
Niech od sardynek z puszką w rogu stanie,  
Może kto nad nim zmiłować się raczy  
I na chleb kilka miedziaków dostanie,  
Bo jak na raka kiedy człowiek chory  
Widzi przed sobą już skutki złowieszcze,  
Tak na *nepołyżem* do obecnej pory,  
Skutecznej rady nikt nie znalazł jeszcze.  
Nie mogąc zatem podać także środka,  
Który skutkuje jak senes z jalapą,  
Wybaczenie, że choć dola wam nie słodka  
Musimy piosnkę powtórzyć *da capo*:  
Na bok panowie! — odstańcie od chleba,  
Kuzyni bowiem idą wielką zgrają,  
Przez grzeczność zatem usunąć się trzeba,  
Gdyż oni na chleb nigdy nie czekają!  
etc. i t. d.



## BONBONIERKI.



„Żenić się nie chcą” — krzyczą wciąż panny  
„Choć mamy przecie piękne zalety,  
„Ledwie tam czasem *Kurjer Poranny*,  
„Wymieni ślubne gdzie toalety,

„A zresztą w mieście płacz nieustanny,  
„Bó żaden chłopiec dzisiaj, niestety!  
„Gdy swe dochody dobrze obliczy,  
„Małżeńskiej zaznać nie chce słodczy...”

„Przecież my także posagi mamy:  
„Każda z pewnością kilka tysięcy  
„Od swego papy, lub też od mamy  
„Dostanie. — Czegóż więc chcecie więcéj!  
„Miljonów trzeba — tych wam nie damy,  
„Choć byśmy chciały mieć jak najwięcéj!  
„Lecz miljonerki nie chcą froterów,  
„Tylko wychodzą za miljonerów.”

Tak mówią panny! — Cóż chłopcy na to?  
Trzeba i drugiej wysłuchać strony,  
Jak w swym kodeksie powiada Kato,  
Który szczególnie był oburzony,  
Słyszac panienkę niezbyt bogatą,  
Gdy chłopcom prawi same androny,  
Na sposób niby czysto francuski,  
A nie wie jak się gotują kluski?

Właśnie tu głównie o kluski chodzi!  
Bo pannę, gdy ma trochę pieniędzy,  
Mama i zacny papa dobrodziej,  
By mogła męża złapać czempredziej,  
Zapominając, że nic nie szkodzi  
Wspomnieć jej także trochę o nędzy,

Tak wychowują, jak gdyby ona,  
Na *Bonbonierkę* była stworzona...

— Józiu — ach nie bierz w rączki kapusty,  
Nie będziesz mogła pozbyć się woni,  
— Zmiłuj się Józiu! ten obrus tłusty  
Niech twa sukienka od niego stronił  
— Czemu zamykasz drzwi na dwa spusty?  
Sforsujesz sobie żyłki na dłoni. —  
I tak, jak mogą, wciąż Józnię bronią,  
Aby nie przeszła kuchenną wonią!

No, — Eureka! — wyszła nareszcie,  
Złowiwszy chłopca na białe rączki,  
I wnet rozeszła się wieść po mieście,  
Że zamiast sześciu ma trzy tysiączki,  
Gdy papa krzyknął:

— Życie mi weźcie!

Patrzcie! dostałem zimnej gorączki,  
Więc nie dam więcej, na moją duszę,  
Bo i sam także żyć jeszcze muszę.

Tu się dopiero szopka zaczyna:  
Pani z rozpaczą na rączki zerka,  
I do wszystkiego sługa jedyna  
Musi od kuchni biedz do kuferka,  
By wyprostować fałd co się zgina,  
Gdy chce na miasto wyjść *Bonbonierka*,  
A tu tymczasem rosół na blasze  
Wyleciał z garnka, jak z gniazda ptaszę.

Mąż wraca z biura:

— Daj obiad, żonko!

Woła na progu jak wilk zgłodniały.

— Może mężulku zjesz śledzia dzwonko?

— A gdzie jest obiad!?

— Spalił się cały.

Biegnie do kuchni:

— Cóż to, Weronko!

Od czegoż tutaj siedzisz dzień cały?

— A czy ja winna temu choć troszki?

Ja cerowałam pani pończoszki...

Stąd niesmak w domu i ciągle kłótnie,

Które się zwykle w ten sposób zatną,

Że żona martwi się wciąż okrutnie,

Iż do niczego nie jest przydatną,

A mąż z rozpaczy nieraz się utnie,

Że *Bonbonierkę* tak delikatną

Zamiast słodyczą — częstować trzeba

Suchym kawałkiem czarnego chleba.



## HANDLARZE NAD HANDLARZAMI!



Wracam wam honor „nasi zięciowie!”

Handel, co dotąd wam plaży,

Istną parodją dzisiaj się zowie

Wobec sprytniejszych handlarzy!

Lecz nic dziwnego, — handel na świecie  
Z postępem naprzód wciąż idzie,  
Więc i nazwisko powinno przecie  
Służyć handlowej egidzie.  
„Nasz zieć“ — co prawda, służy jej wiernie,  
Lecz gdy odwróci się karta, —  
Gdy piękna róża pokaże ciernie,  
Skórka wyprawki nie warta.  
Młodość albowiem ma to do siebie,  
Iż nawet wielcy próżniacy,  
Gdy są w gwałtownej chleba potrzebie,  
Jeszcze się biorą do pracy.  
I nieraz „nasz zieć,“ gdy go już znudzi,  
Teść kuzynostwem *dalekiem*,  
Wraca i mówi do zwykłych ludzi:  
„Ja chcę być także człowiekiem!“  
Dajmy więc pokój owej drużynie  
W lecie, jesieni i zimie,  
Bo choć im słodko życie dziś płynie,  
Nemezys nie śpi, lecz drzymie...

. . . . .  
Inni są dzisiaj — lepsi handlarze  
Swego własnego nazwiska,  
Niech więc opinja lekko ich skarze,  
Może świat na tem co zyska?  
Po większej części, stare to graty,  
Co zmarnowały swe życie  
I choć z nich żaden nie jest bogaty,  
Każdy chce czerpać obficie.



Grat taki nie chce znać, co to bieda  
I konfraternia z hołotą,  
Więc z wielką chęcią nazwisko sprzeda,  
Żeniąc się z mozną kokotą, —  
Tu się dopiero handel odbywa!  
Niczem jest Grzybów i Praga,  
Gdzie chłop rzeźnika przy kuflu piwa  
O wyższą cenę wciąż błaga.  
Tak samo jespan, choć upadł nizko  
Nie mając rubla w kieszeni,  
Gdy ma kokocie oddać nazwisko,  
Jeszcze wysoko się ceni!  
Wszelkie wybryki pięknej jejmości  
Oszacowane są grubo,  
Szczególniej jeśli i służebności  
Mąż bierze razem z swą lubą...  
No! — ślub nareszcie połączył parę,  
A że ich mienie jest sporem,  
Więc jego znowu nazwisko stare  
Błyszczcy swym dawnym splendorem!  
Ludzie albowiem cenią zalety  
Idących prostą wciąż drogą,  
Ale golizny ludziom niestety,  
Nigdy przebaczyć nie mogą! —  
Czyż więc nie przyzna ten, kto jest szczerzy  
I „naszych zięciów“ wciąż praży,  
Że to są tylko wielkie fuszery  
Wobec tych oto handlarzy!...



## ZDOBYWCY SERC ZDOBYTYCH.



Panowie, jak to zwykle panowie!  
Rzucając na wiatr rubelki,  
Pragną panami być, co się zowie,  
Honor to bowiem jest wielki:  
Dryndziarz zdaleka uchyła czapki,  
Poślaniec wzrok ma sokoła,  
A garson wspina się aż na łapki,  
Gdy go pan palcem przywoła.  
Nie można więc mieć pretensji o to,  
Że gdy świat cały się kłania,  
Półświatek także pragnie z ochotą  
Tego samego być zdania,  
I tym sposobem kamelji serca,  
Twardziejsze nieraz od... cegły  
Choć się z ich hartu śmieje oszczerca,  
Złotej pokusie uległy.

.....  
Pan też prawdziwym nie był by panem  
I wstyd by czynił swej delji,  
Gdyby w ustroniu (powszechnie znanem)  
Nie miał rasowej kamelji.  
Strach! Co pan na ten kwiatek wydaje:  
W zimie go karmi perłami,  
A w lecie jeździ z nim w obce kraje,  
By nie zaśniedział tu z nami.

Na wszystko co się kamelji zachce,  
Czego pieniędzy da siła,  
Namówi łatwo swego łaskawcę,  
Byle mu wierną wciąż była.

.....

Oj, joj!... ta wierność,—w tem właśnie sztuka  
Że ta kamelja wielbiona,  
Byle okazji po świecie szuka,  
By mogła zdradzić... patrona.  
Gdzie plewy sypią, tam całą zgrają,  
Niby na jarmark w Łęczycy,  
Szare śmieciuszki wnet się zbiegają  
Szukając w plewach pszenicy.  
I co dzień inny, — nie wiedząc o tem,  
Serc już zdobytych — zdobywca,  
Łapie się łatwo — zwabiony złotem,  
Jak szczupak żarłok na żywca.  
Pan, ma się wiedzieć, ani przypuszcza,  
Wierząc w swe marki i franki,  
Że wielbicieli kręci się tłuszczą  
Obok tej jego wybranki. —  
A najśmieszniejszym jest to zaiste,  
Iż każdy na tym *raucie*  
Myśli, że tylko dla niego czyste  
Kamelja żywi uczucie.  
I tak spokojnie *fregata* owa  
Płynie przez morskie wciąż szlaki,  
Choć w jej tułowiu ogień się chowa;  
A sens moralny jest taki:

Że pan, jak chłopak, — rzecz oczywista  
Dla mędrszych jabłka otrząsa,  
A ten, co z pańskich rubli korzysta,  
Ma piękne imię... *Alfonsa.*



## NERWOWI.



Kowal zawinił, jak to się zdarza,  
A powiesili ludzie ślusarza. —  
Tak opowiada stare przysłowie,  
Które mądrością ludów się zowie,  
Ztąd też powstało, że ci i owi  
Są dzisiaj ludzie bardzo *nerwowi*.  
Aby dokładnie dowieść tej prawdy,  
Którą nad wszystko cenimy zawdy,  
Owych *nerwowych* z pomiędzy setek,  
Damy na próbę kilka sylwetek.

### I.

Babci pieszczoszek w szkołach się kręci,  
Nie mając żadnych do nauk chęci,  
Tylko mu w głowie fuzyjka siedzi,  
Lub czuły liścik do jakiej Edzi  
I przepędziwszy młodość wesołą,  
Zostaje wreszcie nędzną jemiołą,  
Co zamiast własnym swym sokiem, woli  
Żywić się sokiem pięknej topoli,

A że już trochę pić dziś zaczyna,  
To nie jest wcale biedaka wina,  
Bo jak bibljoman białego kruka,  
Tak on lekarstwa *na nerwy szuka*.

## II.

Chciwy na ruble, jak wilk na mięso,  
Więc mu z chciwości ręce się trzęsą.  
Dzisiaj majątek ma już krociowy,  
Wprawdzie nie z łaski rozumnej głowy,  
Lecz dzięki temu, że przez czas długi  
Nie było nigdy takiej usługi,  
Której by dzienną, lub nocną porą  
Nie spełnił chętnie za rubli sporo.  
Chciwość jednakże jeszcze w nim taka,  
Że, gdy przy wincie przegra miedziaka,  
To go na wszystkie ogląda strony,  
Czy nie jest czasem bardzo zniszczony?  
A gdy współgracze, widząc te dziwy  
Śmieją się z niego, że taki chciwy,  
On im piosneczkę śpiewa bez przerwy:  
— To nie ja winien, — to moje nerwy.

## III.

Choć zdrow i młody i nie jest baba,  
A więc nie może zostać pcią słabą,  
Język mu biega jak kołowrotek,  
Bo go nie darmo zwą królem plotek!

Skłócić przyjaciół, lub męża z żoną.  
To dlań radością jest nieskończoną!  
A gdy językiem piwa nawarzy  
I rękawiczka spocznie na twarzy:  
On, patrząc słodko, z miłym uśmiechem,  
Choć *ten wypadek* jeszcze brzmi echem,  
Mówi jak zawsze niewinna Ewa,  
To pan dobrodziej na mnie się gniewa?  
Ja, choć pan *trochę prędki* w zapale,  
Żalu do pana nie żywię wcale  
I gotów jestem przeprosić pana,  
Gdyż *dobroć serca* mego jest znana,  
A że językiem czasem co zbroję,  
To nie ja winien, lecz *nerwy moje!*



## CHODZĄCE RUINY.



Co waścka bajesz! — w swym *muszym* zapale,  
Powie, kto służy pod rozumu wodzą, —  
Przecież ruiny nóg nie mają wcale,  
Skądże więc nonsens, że ruiny chodzą?

. . . . .  
Dobrze, już dobrze! — moi państwo mili, —  
„Mucha“ wam brzęczyć bynajmniej nie będzie,  
Lecz swoją drogą, dowiedzie w tej chwili,  
Że są chodzące dziś ruiny wszędzie.  
Oto, naprzykład pani Igrekowa;  
Lat temu wiele, bo blisko trzydzieści,

Wtenczas gdy była piękna, ani słowa,  
Choć różne o niej wciąż chodziły wieści  
(A czy prawdziwe? — djabli o tem wiedzą  
Choć rzecz się działa, blisko, bo za miedzą)  
Taki swym wdziękiem obudzała zapał,  
Że kto ją ujrzał, zaraz się *zaczłapał!*  
Podobno nawet jakiś *brygant* włoski,  
(Jak przyjaciółkom przyznała się szczerze)  
W nocy burzliwej, spalił aż trzy wioski,  
By jej oświecić drogę na spacerze, —  
A zimny Niemiec, ujrzawszy ją w Coppot  
Gdy była w ciasny kostjum przyodziana,  
Wszystkim kąpiącym sprawił straszny kłopot,  
Gdyż płonąć ogniem — zmienił się w bałwana.

. . . . .  
Dziś Igrekowa lat już kopę liczy,  
Pozbyć się jednak nie może wspomnienia  
I ciągle jeszcze szukając zdobyczy,  
Ruina stara modne suknie zmienia.  
Lada dzień, mówią, zostanie prababką,  
Bo wnuczka zdatna już jest do wesela,  
A tu choć baba dotknięta jest sapką,  
Jeszcze na mężczyzn wciąż ślepiami strzela.

. . . . .  
Czyż więc dziś „Mucha“ nie ma słusznej racji,  
Że są ruiny i to bardzo blisko,  
Które nie budząc w nikim admiracji,  
Same ze siebie czynią pośmiewisko?



KORESPONDENCJA PRYWATNA NIEPODEJRZANEJ  
WCALE TREŚCI.



On do Niej.

Cała przyroda, po rozkosznem lecie,  
Okryta już jest żalobą, jak wdowa,  
Puste są drzewa, wiatr nie długo zmiecie  
Ostatek liści i pod śnieg je schowa.  
Rezon dziś traci najsprytniejszy człowiek,  
A dusza w ciele ledwie się kołace,  
Bo senność gwałtem ciśnie się do powiek  
I każdy klnie wciąż życie to tułaczce.  
Adam z pewnością, gdyby żył na ziemi,  
Także by stracił na swej sławnej werwie,  
Widząc, że zima, przykrościami swemi,  
Ogólną radość na czas długi przerwie.  
Jestem, bo byłem, Hamlet mówił pono,  
Strach jednak zimy duszę mą przenika,  
Tak jak szulera gdy go osądzono,  
Aby dnie pędził zdala od stolika.  
Radość w mem sercu jednakże się budzi,  
Ujrzawszy nieraz bladą słońca banie,  
Świat bowiem znowu na pociechę ludzi,  
Za sześć miesięcy uroczym się stanie.  
Ejże więc nie skarż się, biedny liryku,  
Kiedy nikt nie chce słuchać twego krzyku!



Ona do niego.

Przestań narzekać, biedny mój poeto,  
Okropna zima niechaj cię nie straszy,  
To wszystko jeszcze w porównaniu nie to,  
Wobec kłopotów tureckiego baszy.  
On więcej strachu doznaje od ciebie,  
Rezon mu pewnie już dziś uciekł w pięty  
I własny turban zastawi w potrzebie,  
Djabłom chcąc oddać angielskie wykręty.  
Z nim się porównać nie możesz, liryku,  
Iego naprawdę przepowiednie straszą,  
Egipt przykrości mu sprawia bez liku!  
Dziękuj więc, dziękuj, że nie jesteś baszą,  
Zresztą, co ja ci biedna pomódz mogę,  
Iestem jesienią również przygnębiona,  
Słońce i dla mnie skraca swoją drogę,  
Noc już o piątej chwyta w swe ramiona,  
A jednak także nadziei nie tracę  
Wiosny czekając, jak winciarze szlema  
I ukończywszy mą codzienną pracę,  
Nudzę się nieraz, gdy mężulka niema.  
Trzeba więc czekać cierpliwie do wiosny  
A świat znów będzie dla wszystkich radosny.



ZIELSKO W KWIATACH.



Świetny jest bukiet pięknych dam w teatrze!  
Kto go raz widział w całej pełni sił, —

Wspomnienia tego w sobie już nie zatrze,  
Chociażby nawet aż do śmierci żył.  
Lecz przedewszystkiem trzeba ogrodnika,  
Co sam ze siebie dobrze o tem wie,  
Że gust z bogactwem nie zawsze się styka,  
Choć bogacz każdy gustem chwali się.  
Przejrzyjmy zatem, chociażby pobieżnie,  
Cudowne kwiaty w bukietiku tym  
I wałąc tłuczkiem, jak Maryśka w kierznię  
Ubijmy z tego częstochowski — rym.

.....  
A jakaż śliczna ta wspaniała róża,  
A przy niej jeszcze nie rozwity pąk,  
Wszystkich w około wonią swą odurza,  
Jak siano świeżo przywiezione z łąk!  
Podobnych do niej mnóstwo jest w bukietcie,  
Różni ją jednak szlachetniejszy styl,  
Powszechnie bowiem różę tę zowiecie  
Mianem wojaka: „*Maréchal de Niel*.“  
A co tu lilji i skromnych stokrotek,  
Nawet piwonja w tym bukietcie tkwi,  
Wielka piwonja! — ta dewiza plotek,  
Co cyfrę jeden wciąż mnoży przez trzy.

.....  
Lecz cóż to! — chyba to *fata morgana*?  
Kolczate zielsko siedzi w jednej z łóż,  
Jejmość powszechnie w całym mieście znana  
Z tego, że młodość swą straciła już!  
Lecz doświadczenia nabrawszy dziś wiele,  
Tak miljonerów umie łapać w sieć,

Że wszystkie do niej podobne *mamzelle*  
Chciałyby równe powodzenie mieć.  
Ubrana wprowadzie jak z wystawy lala:  
Złoto, brylanty, perły kapią tam!  
*Majątek* bowiem jej na to pozwala,  
By stary obraz lśnił przepychem ram.  
Modni panicze chyląc kornie czoła,  
Znoszą jej cukry z rozmaitych stron,  
To też *panienka* bardzo jest wesoła,  
A głos przedęty, jak pęknięty dzwon,  
Lub jak krzyk gęsi ongi w Kapitolu,  
Tak wciąż górować w całej sali chce,  
Że aż na scenie tenor Apostolu  
Nieraz wstrzymuje swe wysokie C!

. . . . .

Czyż więc nie racja, — powiedzcie bogaci,  
I wy, badacze gdzie z komina dym?  
Że piękny bukiet cały efekt traci  
Gdy marne zielsko zapłącze się w nim?



## I BĄDŹ TU MĄDRYM!..

(Niedokończony fragment).



W przeszłym tygodniu jeszcze, w pogawędce  
[z Fredziem,  
Po wypiciu wódeczki, przetrąconej śledziem,

Mieliśmy o Anzelma sprzeczkę dosyć żwawą,  
W której ja szedłem w lewo, a Fredzio na prawo;  
Fredzio bowiem dowodził, że to stanowisko  
Jakie Anzelm zajmuje już dwa lata blisko,  
Jest jakby naumyślnie dla niego stworzone,  
A ja mówiłem, widząc zawsze słabą stronę,  
Że Anzelm rzeczywiście ma wielkie zalety,  
Lecz zwać się nieomylnym nie może, niestety!  
— Co ty mówisz człowieku! — w uniesieniu dzi-  
[kiem

Krzyknął Fredzio, — wszak Anzelm jest dziel-  
[nym technikiem,  
W jego sztuce wyrównać nikt mu nie potrafi,  
(I tu znów wypił duszkiem kieliszek ratafji)  
A co to za charakter! — co za prawość straszna!  
Takich ludzi w Warszawie, z pewnością dziś  
[masz na

Stu, zaledwie jednego, i to wątpię nieco,  
Czy go natychmiast znajdziesz, szukając ze świecą.  
— Ależ, Fredziu, przesadzasz, — ja cenię An-  
[zelma,

Bo na oczach bynajmniej jeszcze nie mam bielma,  
Lecz chociaż takich ludzi nie wyrzuca Etna,  
Choć to natura prawa, a nawet szlachetna,  
Słabostek on jednakże ma sporo w zapasie,  
Na których nawet dziecko z łatwością pozna się,  
Gdyż każdy z nas ułomnym jest tylko człowie-  
[kiem,

A nie czemś doskonałem i od wad dalekiem.

. . . . .

Słyszac te słowa Fredzio, rozgniewał się srodze,  
Tak, że nawet zapomniat zapłacić po drodze  
I zmierzwszy mnie wzrokiem, który milczeć każe,  
Rzekł, że na ludziach znam się, jak wilk na gi-  
[tarze

.....  
Po czterech dniach zaledwie znów spotykam Fre  
[dzia,

Który mię wnet zaprasza na wódkę i śledzia!  
Ja się wypraszam, jak dziad od mazura Kachnie,  
Gdyż z doświadczenia wiem już czem ta funda  
[pachnie.

Więc jako ludzie obaj w funduszach mizerni,  
Poszliśmy na herbatkę do blizkiej cukierni.

— No, rzekł Fredzio, — nareszcie już go djabli  
[wzięli!

— Kogo?

— Jakto, — nic nie wiesz? — ależ od  
[niedzieli

Anzelmek, który myślał, że wlażł na piedestał,  
Naszą fabryką przecie już zarządzać przestał.

— Żarty...

— Wcale nie żarty, tylko prawda szczera,  
Żeśmy się już pozbyli takiego blagiera!

— Ależ, Fredziu, co mówisz, wszak na rogu  
[Chmielnej

Dowodziłeś niedawno, że to technik dzielny!

— Ech — przesadzasz mój drogi, jak mi życie  
[miłem,

Z pewnością tego wtenczas wcale nie mówiłem,

A zresztą, dodał Fredzio, jedząc papatacza,  
Tobie taka omyłka łatwo się wybacza,  
Bo choć twą miłość własną może być obrażę,  
Ty tak się znasz na ludziach, jak wilk na gi-  
[tarze!

.....



## DWIE POCIECHY.



Jaśnie panicz, gdy był młody,  
Płatał żydom różne psoty:  
To im woskiem lepił brody,  
To znów, gdy miał humor złoty,  
Chociaż nędzy na chleb twardy,  
Nigdy grosza on nie dałby,  
Ruble rzucał w dowód wzgardy,  
Żydom, by się darli za łby.  
I wesoło paniczowi  
Upływały młode lata,  
Gdy się żydzi, dość nerwowi,  
Bali figłów, jakie płata,  
A szczególnie Katz Dawidek,  
Ponurego żyd oblicza,  
Ale sławny z cienkich łydek,  
Ulubieńcem był panicza.  
Ile figłów tych zaciszę  
Wiejskie z Katzem tam widziało,

Tego pewnie nikt nie spisze,  
Choćby księgę pisał całą.  
Katz choć bał się, lecz w pokorze,  
Gdyż polityk to był wielki,  
Z ujmą nawet na honorze,  
Znosił pańskie, psie figielki.  
To też panicz gdy go *trudy*  
Wypędziły z jego włości,  
Nieraz mówi: — ten Katz rudy  
*Był pociechą mej młodości!*  
Cóż się stało z owym Katzem,  
Który w zimie, czy w jesieni,  
Już na milę przed pałacem,  
Chował mykę do kieszeni.  
Wszak ten żydek chudy, ryży,  
Nie handlował wcale lasem,  
Więc dziś pewnie, co najwyżej,  
Siedzi w karczmie za szynkwasem?  
O nie, wcale, — Katz pokorny,  
Miał faktorstwo na swej głowie.  
Gdy jak ongi hrabia Morny,  
Panicz hulał, co się zowie!  
On mu stręczył kapitały,  
Na posyłki ciągle machał,  
W danym razie nawet cały  
Do panicza spędzał kahał,  
Aż powoli faktorzyna,  
Na gotówkę wciąż łakomy,  
O chałacie zapomina  
I dziś ma trzy wielkie domy!

Panicz *za to* ledwie dycha  
    Zadłużony aż po uszy.  
I gdy zmiłkła dawna pycha,  
    Suchy chlebek często kruszy,  
A Katz o nim mówi zawdy  
    Przy herbatce do swych gości:  
— Ach ten panicz, — on doprawdy  
    *Jest pociechą mej starości.*



## WARSZAWSKI JANUS.



### W domu.

W domu, w szlafroku, o nim można rzec,  
Że zapędzony to w lata starzec,  
    Który od życia nie pragnie nic!  
Nie pomnąc bowiem, że młodość to sen,  
Gdy z najpiękniejszych korzystał wiosen  
    Za często sobie pozwalał hyc!  
Dziś więc, gdy żonka do niego mruknie:  
— Włóż-że mężulku czempredzej suknie,  
    Pójdziemy razem na spacer gdzieś!  
On odpowiada: — A daj mi spokój,  
Albo mię naprzód na ostro okuj,  
    Gdyż niezawodnie przewrócę się.  
Człowiek nogami ledwie powłóczy,  
I tylko myślę, na wsi lub tu czy  
    Na Brudnie sobie zamówić grób, —



A ty, choć głowa moja już łyśa,  
Chcesz, abym rolę grał Adonisa,  
    Więc zę mnie małpy — proszę — nie róbi!  
Tak się wywija, do kłamstw przywykły,  
Jak figlarz zając do smacznej ćwikły,  
    Ten niby stary już bardzo mąż,  
Więc cóż dziwnego, że opuszczona  
Jejmość, jak może, na *syngeltona*  
    Szuka i szuka pociechy wciąż.

#### Na mieście.

Ten sam przy żonie staruszek niby,  
Zdatny już chyba tylko na grzyby,  
    Na mieście zdrowym furfantem jest.  
I gdy kapelusz włoży na bakier,  
Już nie powiada, że z niego kwakier,  
    Któremu skromny przystoi gest.  
A gdy nań spojrzy jaka podwika,  
Już reumatyzm w nogach nie strzyka,  
    Bo w górę zdziera łyśinę swą.  
I tak wygląda, jak istny młodzik,  
Wszyscy wnet o nim mówią, że to dzik,  
    Którego w lesie odyńcem zwa.  
Niech go kto wtenczas nazwie staruszkciem,  
Gdy różne zdrowia wychyla duszkciem,  
    I z Dzidzią śpiewa: *Tara ra bum!*  
Z pewnością starzec spróchniały w domu,  
Nie zechce miejsca oddać nikomu  
    I czoło stawi młodzieńcom dwóm!

Czyż to więc nie jest Janus nie rzymski,  
Ale warszawski pan Mocnodymski,  
    Który w zapasie ma twarzy dwie:  
I jedną w domu z młodości szydzi,  
A w gabinecie drugą przy Dzidzi,  
    Jak praszczur *Janus* młodym być chce!



?

Znak zapytania stawiamy ci, pani,  
Nad wyraz piękna i wabna Herminjo:  
Czy, gdy ci hołdy składają wciąż w dani,  
Wolno ci jawnie pogardzać opinją?  
Gdzie tylko ludek ciekawy się tłoczy,  
Ty, wielce dumna stanowiskiem swoim,  
By wciąż na siebie zwracać wszystkich oczy,  
Myślisz, że weźmiesz cały świat przebojem  
I przyłożywszy do swych zdrowych ślepek,  
Na wielkim kiju kosztowną lornetę,  
Jak gmach z marmuru na gliniany zlepek,  
Patrzysz z pogardą na... zwykłą kobietę.  
Tobie flirtować z różnymi gachami  
Wolno, chociażby nawet w obec świata,  
Bo przywoitość nigdy cię nie mami,  
Gdy Chochlik figle w twem serduszku płata.  
Wielka historia, że świat mówić będzie,  
Iż naśladujesz uliczne dziewczyny, —

Co cię obchodzi opinja w tym względzie,  
Tyś przecież z innej ulepiona gliny —  
I choćbyś nawet *quand-même*, piękna pani,  
Chciała unurzać w błocie swe nazwisko,  
Wszyscy ci hołdy składać będą w dani,  
Bo ty, wszak upaść nie możesz tak nizko?  
Najniepotrzebniej stawiamy ci zatem,  
Znak zapytania, prześliczna Herminjo:  
Czy wyjątkowo wolno ci przed światem  
Igrać jak z ogniem, z publiczną opinją?  
Ty jesteś wyższą nad gawędy tłumu,  
A zresztą ciągle czas idzie swą drogą,  
Więc i ty wkrótce przyjdiesz do rozumu,  
Gdy wszelkie maście — nic już nie pomogą.  
Wtenczas przycichną złośliwe języki,  
A ty, już słusznie, powszechnie cenioną,  
Chociaż się czasem odezwie zgrzyt dziki,  
Będiesz czcigodną i zacną matroną  
I nawet przez myśl nie przejdzie ci, pani,  
Nad wyraz piękna i wabna Herminjo,  
Że ktoś pytanie dziś ci złożył w dani:  
Czy wolno igrać kobiecie z opinją?



FIN DE SIÉCLEOWE MOTYLE.



„Z róży na różę motyl przelata!  
Gruszek nie zaśpi, — wszędzie mu źle,

„Gdyż od początku stworzenia świata,  
Motyl wciąż zmienia uczucia swe.“  
Tak rzekli u nas pewni panowie,  
Czując w kieszeniach swych mnóstwo szczerb,  
I wnet na handel w czynie i w mowie  
Každy z nich puścił tarczę i herb!  
Niech tylko Feinmutz dla swojej chwały,  
Zrobiwszy milion giełdową grą,  
Zechce urządzić obiad wspaniały,  
Oni u niego już wszyscy są!  
Každy ambicję na bok odrzuca  
I przy obiedzie zaklina się:  
Że gotów chętnie dać za Feinmutza  
Chociażby honor i życie swe.  
Takiej albowiem zacnej osoby  
Nie znajdzie dzisiaj na świecie już,  
Wszyscy więc winni robić tak, oby  
Spoczywał w życiu na wieńcach z róż.  
I Feinmutzowi nasze motyle  
Byłyby wierne do śmierci swej,  
Gdyby nazajutrz wdzięcząc się mile,  
Grosfas nie krzyknął: — chodźcie tu hej!  
Ja wam dam obiad, bo Fritz mój kucharz  
Kaplony z serem przyrządza tak,  
Że rękę, gdy się każdy obuchasz,  
Wnet do Feinmutza utracisz smak.  
Na takie *dictum*, cóż było robić?  
Grosfas milionów liczy coś z pięć,  
A w salach jego z kosztownych obić,  
Złoto na ziemię spływać ma chęć.

Dalej więc fru-fru motylki nasze  
Z róży na różę siadają znów  
I z marcepanów łykając kaszę  
Na cześć Grosfasa nie mają słów.  
Zakład trzymamy jednak o futro,  
Że Klops, co liczy miljonów sześć  
Niech ich zaprosi na obiad jutro,  
Oni do niego znów pójda jeść.  
I gdy ich lepiej pan Klops ugości,  
Kłać się znów będzie: Jaś, Cześ i Zdziś,  
Że takiej zacnej osobistości  
Drugiej na świecie nie znajdzie dziś.



## BYLE NIE W POŚRÓD SWOICH!



Z ludźmi żyć trzeba! — to rzecz jest znana,  
Której zaprzeczać nie może nikt,  
Choćby miał tytuł jasnego pana,  
Wszelkie wygody i pyszny wikt.  
Ludzie się zatem garną do siebie,  
Jak mrówki w lesie lub pszczołek rój,  
By swoim nieraz w ciężkiej potrzebie,  
Mógł przedewszystkiem pomagać swój.  
Są jednak tacy, którym jak Kachnie,  
Obrzydła wioska, gdy w mieście jest,  
Tak i im także swój już nie pachnie,  
Bo ma za szorstki w salonach gest,

Dalej więc owi *delikatnisie*,  
Głupią ambicję wzięwszy za ster,  
Na wszelki sposób próbują czy się  
Nie można dostać do wyższych sfer!  
Mniejsza tam o to, że nimi gardzą  
Nawet lokaje przybrani w szych  
I że panowie za ba i bardzo,  
Wciąż uważają intruzów tych,  
Oni dla tego pod wodę płyną,  
By mógł nareszcie powiedzieć świat,  
Że z panem hrabią, albo hrabiną,  
Zawsze i wszędzie są za pan brat!  
Toż to dopiero cześć niesłychana,  
Gdy taki *łyczek*, mieszczański wnuk,  
W cyrku, w zastępstwie samego pana,  
Z panią flirtuje, jak z wroną kruk  
Pękać ze śmiechu — co on wyrabia,  
Jaki ma pyszny a śmieszny gest,  
By ludek myślał, że to też hrabia,  
Albo co najmniej pan baron jest.  
A gdy go spotka dawny kolega  
I szczerze z nim się przywitać chce,  
On, mrużąc ślepie go nie dostrzega,  
Bo wszak nie można poniżyć się,  
I tak *powoli*, *wlazłszy* w te sfery,  
Swoich od siebie usuwa on,  
Bo go już znudził dawny świat szczerzy,  
W którym panuje prostaczy ton.

. . . . .

Na czem się skończy ten szyk przybrany,  
Można by płacić jeden za sto,  
Że gdy się znudzą nim jaśnie pany,  
Te wyższe sfery wypędzą go!  
Ale czy wtenczas sfera wzgardzona,  
Za jej prostaczy w salonach gest,  
Przyjmie go chętnie w swoje ramiona,  
To bardzo wielkie pytanie jest?



## LOGIKA GOŁYCH.



„Bieda dokucza“ stęka wciąż Onufry, —  
„Krawcy zamknęli na trzy spusty kufry,  
„Szewc nawet butów przymierzyć nie da ci  
„Mówiąc: niech z góry jegomość zapłaci!  
„Słowem, dziś kredyt to nieznanne dziwo  
„I tylko pannę, co podaje piwo,  
„Chociaż i ta już bardzo jest ostrożna,  
„Czasem na kredyt jeszcze złapać można,  
„A tu, do pracy, choć masz chęci szczerę,  
„Wszędzie przed nosem spotykasz barjerę,  
„Nie! — nie ma rady“ — rzekł Onufry sobie, —  
„Pójdę grać w karty, — może co zarobię.“

. . . . .  
Takich Onufrych jest u nas tysiące,  
Którzy, jak znane obrazy niktne,

Gdy im przez miesiąc ciągle szczęście służy,  
Wydają, jakby mieli dochód duży,  
A gdy fortuna kołem się obróci,  
Chodzą po mieście nieraz z czci wyzuci,  
I wyciągając dłonie swe żebracze,  
Nie jeden w kącie, jak bóbr, rzewnie płacze.

.....  
No, ale przecież nie wszyscy są zgrani?  
Zapytasz pewnie *kameljowa pani*,  
Ty która bierzesz największy dział z gierki,  
Gdy wygrywają głupie Onuferki.  
— O tak, — od razu, wszyscy zgrani nie są:  
Dziś jeden brzęczy swą wypchaną kiesą,  
Jutro ją drugi pierwszemu odbiera,  
Następnie trzeci udaje bankiera,  
Lecz w rezultacie, gdy rok gry się kończy,  
Každy, zziązany, niby piesek gończy,  
Do przekonania dochodzi powoli,  
Że wszyscy gracze są haniebnie... goli.

.....  
Gdzież się więc podział *fundusz obrotowy*,  
Zdobyty nieraz z takim trudem głowy?  
— Gdzież się miał podziac? mój naiwny panie, —  
Kluby go wzięły na swe utrzymanie;  
A to za karty, a to za szampana, —  
A to znów służba, co czuwa do rana, —  
To kary nocne, — o których pan też wie,  
Że rosną prędzej, niż kwiaty na mierzwie.  
A że wciąż jedni grają i ci sami,  
Więc póty ruble biegą za rublami:



Jednemu prędej, drugiemu powoli,  
Aż zostanieie jak bizuny goli!  
Warszawa bowiem, choć na *hazard chora*,  
To nie Monaco, owa głośna nora,  
Gdzie, jak na jarmark, ludzie biegną zgrają  
I co dzień inni głupcy się zgrywają.  
A sens moralny, -- widzi pan dobrodziej,  
Z tego paplania taki tu wychodzi:  
Że ryba rybą może żyć w jeziorze,  
Lecz goły gołym żywić się nie może.



## POSKROMIONY SERWITUCIARZ.

(Plotka brukowa).



Ma Iks milioner zalotną żonę,  
Którą choć dręczą nudy szalone!  
Z rozkoszą jednak wzrok swój wyteża  
Na pieczeniarza własnego męża.  
I dobrze było pieczeniarzowi,  
Służebność bowiem taka stanowi  
Bardzo wygodny kawałek chleba,  
Przy którym pracy wielkiej nie trzeba.  
Wszystko jednakże skończyć się musi.  
Więc Iks dostrzegłszy w żonce, Anusi,  
Skłonność za wielką do pieczeniarza,  
Który go na śmiech ludzki naraża,

Krzyknął: — Za często waszeć tu gości,  
Cofam ci u mnie twe służebności!  
— Panie! — pieczeniarsz odrzekł z rozpaczą,  
Miej litość nad mą dolą tułaczą,  
Wszak w służebnościach, to rzecz wiadoma,  
Bo sam słyshałem od ekonoma,  
*Wrąb dla dziedzica jest główną stratą,*  
Cofnij go zatem, zgadzam się na to,  
Ale ponieważ zima już blisko,  
Zostaw mi chociaż *wolne pastwisko.*



## JEDNO Z DWOJGA.



Tak! — jedno z dwojga trzeba dziś wybrać!  
I to koniecznie, panowie moi  
Musicie zrobić, — źle bowiem gdy brać  
Widzi, że wam się wciąż we łbach dwoi.  
A bracia wasi są rachunkowi,  
Więc gdy zobaczą dwoistość waszą,  
Z wszelką pewnością i ci i owi,  
Jako szaleństwem nią się przestraszają.

.....  
Macie miljony, — tak mówią o tem,  
A że miljony to wielka siła,  
Więc nie jednemu, gdy kapie złotem,  
Dziś arogancja jest bardzo miła.

Ha! — wolno panu, — pal go tam kacil  
Mówią ci, *którzy bogactwem gardzą;*  
Taki, co dobrze za wszystko płaci,  
Może mieć golców za ba i bardzo.  
Ba, — właśnie w tem sęk, jak kamień twardy,  
Że pan arogant o pół kopiejki,  
Gotów nie kopje, ale oskardy  
Kruszyć, jak Timur dla swej Zulejki.  
On zbytek lubi, jak sam powiada, —  
Bo co ja winien, proszę ja kogo,  
Żem odziedziczył z dziada pradziada  
Pasję, bym płacił za wszystko drogo,  
Ale gdy sięgnąć ma już do kasy  
Po ruble, niby dla niego błahe,  
Jęcząc okrutnie na ciężkie czasy,  
Mówi do siebie: — *a szajne sache!*  
On nawet bardzo lubi obrazy,  
Jako sztuk pięknych wielki dobrodziej,  
Lecz malarzowi po dziesięć razy  
Każe przychodzić, za nim co zgodzi.  
Słowem, wciąż ruble mając na względzie,  
Choć mu bogactwo, jak mówi zbrzydło,  
Przy arogancji znanej już wszędzie,  
Skąpstwo wychodzi, jak z worka szydło.  
Wobec więc tego, — przejmij się pan tem,  
Walczący z rublem, mój matadorze,  
Że gdy kto pragnie być arogantem  
Ten Harpagonem być już nie może.

✱

JEDEN Z WIELU, CZYLI SYN BOGATEGO PANA.



Był sobie panicz przystojny i młody:  
Rubli miał zawsze, aż po same uszy,  
Bo w morzu nigdy nie zabraknie wody  
I nawet słońce jej tam nie wysuszy.  
Panicz ten wielką miał ambicję niby,  
Więc chciał koniecznie zostać czemś na świecie,  
By nie mówiono, że zdatny na grzyby,  
Jak stara baba, z której się śmiejecie.  
Może prawnikiem? — myślał w pierwszej chwili, —  
Ech! — prawnik każdy za pieniądze gada, —  
Tego przodkowie moi nie robili  
I mnie więc także czynić nie wypada.  
To może stawiać wjadukty i mosty,  
Gdy wiedzę kochać mam uczuciem szczerem?  
Ba! — i to także interes nie prosty, —  
Żaden z mych przodków nie był inżynierem.  
Lekarzem także zostać nie wypada,  
Gdyż na wspomnienie strach mnie już przenika,  
Jakby mnie, moich kuzynów gromada  
Wciąż wyśmiewała, jako cyrulika...

.....  
Tak marzył panicz, skończywszy z mozołem  
Tak zwane średnie wykształcenie swoje.  
Na szczęście, życie u nas jest wesołem  
Tym, którym obce są troski i znoje,  
Więc te marzenia, jak sen się rozwiały  
I panicz krzyknął z wesołem obliczem:

Po co mi w pracy poszukiwać chwały?  
Wszak mam pieniądze, — więc zostanę... *niczem!*



## REĘCE PRZY SOBIE.



Stara nauczka, — lecz zawsze na czasie,  
Jak jest na czasie koniom owies w żłobie,  
Więc niejednemu przypomnieć dziś zda się:  
„Reęce przy sobie!“

Patrzcie naprzykład na tego magnata, —  
Chłopię to młode, ale że już hrabia,  
Więc gdy z *pospółstwem* łaskawie się brata,  
Strach co wyrabia!

Starca, co zdobył wszędzie poważanie,  
Bo nigdy nawet żartami nie kłamie,  
Ponieważ nie jest w nader możnym stanie,  
On klepie w ramię!

Czyż to więc nie jest za wiele swobody  
I czy nauczka ta dziś nie na dobie?  
Żeś winien trzymać, mój paniczku młody,  
„Reęce przy sobie!“

A cóż dopiero mówić o tych panach,  
O których, chociaż mają góry złota,  
Dotychczas milczy zawzięcie „Almanach“  
Zwany „de Gotha.“

To boki zrywać! — co ci Goldmacherzy  
Myśląc, że złoto wszędzie wszystkich mamy  
I że do złota każdy ząbki szczerzy,  
Robią z rękami?

Jeden z nich, gdy go z kim zapoznawają,  
Łapska swe wielkie jak łapy olbrzyma,  
By się nie splamić liczną golców zgrają,  
W kieszeniach trzyma!

Drugi by olśnić plonem swego zysku,  
Gdy jest prezesem gdzie na jakiej radzie,  
Ręce w pierścieniach — niby na półmisku,  
Na stole kładzie.

Trzeci, co sam się wielkim panem zowie  
I wciąż na wszystko odpowiada „aha!“  
Każdemu palcem przy każdej rozmowie,  
Pod nosem macha!

Słowem te ręce, — ozdoba człowieka,  
Ręce, co uczuć bywają ogniwiem,  
Winny być zawsze z blizka, czy z daleka,  
W miejscu właściwem.

Czyż więc nauczka ta nie jest na czasie,  
Jak jest na czasie koniom owies w żłobie,  
Że nie jednemu przypomnieć dziś zda się:  
„Ręce przy sobie!“



## Z OSTATNIEJ CHWILI.

(Korespondencja poufna, — ma się rozumieć, jak każda u nas sprawa poufna, — czempredzej podana do publicznej wiadomości).



Toś nas ładnie urządziła „Mucho!“  
Dotąd kłótnie na giełdowym rynku  
Kończyły się przykładowie, na sucho  
I nikt nigdy nie chciał pojedynku,  
A dziś, przez twe niefortunne żarty,  
O trzech ptaszkach na giełdowej sali,  
Wszczął się u nas taki spór zażarty,  
Że z pewnością będą się strzelali..

.....  
Poszło o to: Pan Puf, zwany Szaja,  
Choć ma synka, szykownego Jasia,  
Rzekł: że w ptaszkach, co pięknie śpiewają,  
Zapomnieli zamieścić *karasia*.  
— Co! — *karasia?* — krzyknął Bomber na to  
Co pan mówisz! — karaś to jest ryba.  
— Jaka ryba? — z miną marsowatą  
Odrzekł pan Puf, — pan się nie znasz chyba?  
I od słowa, jak mówią, do słowa,  
Taka kłótnia powstała zażarta,  
Że pan Bomber, który w sobie chowa  
Krew gorącą dzikiego lamparta,  
Sekundantów posłał już do Pufa!  
Puf, miast stchórzyć, jak to przypuszczano,  
W swą odwagę także wielce ufa  
I strzelać się będą jutro rano,

Tam gdzie zakład pod zielonym daszkiem,  
Gdzie z Piaseczna biegnie kolej szybka,  
Gdyż Puf mówi, że *karas* jest ptaszkiem,  
A pan Bomber powiada: to rybka.



## TRJUMFATOROWIE.

Głośny i cichy.



Młodzi to jeszcze żonkosie są,  
Kilka lat temu żonki pojęli,  
Lecz już przekląwszy zależność swą,  
Każdy ucieka od Petroneli.  
I nowych zwycięstw szukając wciąż,  
Jak ów kłusownik za kozą dziką,  
Każdy na mieście podobny mąż,  
Goni za pierwszą, lepszą podwiką.

.....

Gonitwa często udaje się,  
A chociaż nemrod przedłuża ryjek  
I sam przed sobą przyznać nie chce,  
Że swą siekierkę zmienił na kijek,  
Gdy oblężeniem chciał twierdzę zmódcz,  
Wszędzie jednakże głośno się szczyci,  
Że niby Cezar, rzymianów wódcz,  
Zaledwie *veni*, natychmiast *vici!*



„Gdy żonka z nudów poziewa wciąż,  
„Zwłaszcza nie mogąc bawić się dziatwą,  
„Niechaj się strzeże niebaczny mąż,  
„Gdyż pocieszyciel znajdzie się łatwo.“  
Tak rzekł Konfucjusz, nie głupi chłop,  
W którego żonce djablik był na dnie,  
A jednak chodząc za nią trop w trop!  
Żyli do śmierci, bardzo przykładnie.

. . . . .

Tu pocieszyciel znalazł się też,  
Gdy mąż za domem trjumfy zbierał:  
Żonka z początku kłuła jak jeź,  
Lecz gdy nie zjawiał się mąż liberał,  
Wróg musiał twierdzą nareszcie zmódz  
I dziś po cichu także się szczyci,  
Że nie jak Cezar, rzymianów wódz,  
Lecz jak Tezeusz podstępem *vici!*



## DO NIEJEDNEGO.



Dumny dziś jesteś! — wciąż zadzierasz nosa,  
Jak ów Fryderyk, sławny Barbarossa,  
Lecz nie pamiętasz, zajądając pstrągi,  
Coś przyrzekł ongi?  
Nie myśl jednakże w naiwności ducha,  
Który, jak pudel twych rozkazów słucha,

By świat, chociaż mu dziś potrząsasz złotem,  
Zapomniał o tem?

Wszak temu pewnie lat dwadzieścia będzie,  
Jak wszystkim było to wiadomem wszędzie,  
Żeś, żyjąc życiem niby nazbyt sutem,  
Został bankrutem!

Różnie mówiono o bankructwie twojem,  
A ci, co grosze uzbierali znojem,  
Przez wzgląd na twoją firmę bardzo stara,  
Padli ofiarą.

Tys się ułożył, bo cóż było robić?  
Dobre jest wapuo, tam gdzie nie ma obić, —  
Więc dałeś, chociaż burzyło się miasto,  
Aż dziesięć za sto!

Przyrzekłeś jednak, z rumieńcem na twarzy,  
Że gdy cię kiedy los szczęściem obdarzy  
I gdy zostaniesz jak Krezus bogaty,  
Nagrodzisz straty.

Dziś masz miljony, a ludzie skrzywdzeni  
Mizdrzą się wdzięcznie do twojej kieszeni,  
Lecz ty im na to odpowiadasz żwawo:

Za mną jest prawo!  
„Mucha“ więc prośby dziś do ciebie niesie,  
Byś nie był głuchym, jak martwy pień w lesie  
I byś pamiętał, zajadając pstrągi,  
Coś przyrzekł ongi?



## POWINSZOWANIE NA PRÓBĘ.



Od lat już wielu i to bez wytchnienia,  
Podług zwyczaju, w dzień Nowego Roku,  
Składam wam wszystkim serdeczne życzenia,  
(Ma się rozumieć zawsze ze łzą w oku).  
Com ja *nażyczył* kręcąc się wciąż w koło,  
Ile wierszydeł ciąży na mem piórze  
I jak mi nieraz spociło się czoło?  
Tego nie spisze na wołowej skórze.

Dziś więc po latach, jak się rzekło, wielu  
Gdy wziąłem pióro znów z przyzwyczajenia,  
Przyszło mi na myśl: — czy choć raz do celu  
Trafiły kiedy te moje życzenia?  
Nie, jakoś dotąd, pomimo mej woli,  
Ci, którym co rok życzyłem pieniędzy,  
Jak byli goli, tak są jeszcze goli  
I kto wie nawet czy nie umrą w nędzy?  
Ci, którym szczęście miał dać los łaskawy,  
Szczęściem się wcale pochwalić nie mogą,  
A ci dla których życzyłem poprawy,  
Jak szli, tak ciągle idą krzywą drogą,  
Słowem, widocznie mam takiego *pecha*,  
Że komu złożę najszczęśliwsze życzenia,  
Tego już żadna nie spotka pociecha  
I nawet słodycz w gorycz się zamienia.

Na wszystko jednak, sposób jest na świecie,  
Więc doświadczeniem smutnem nauczony,  
Dziś, gdy koniecznie szczerych życzeń chcecie,  
Spróbuję szczęścia zażyć z innej strony.  
Wszak oprócz takich, co Wam dobrze życzą  
Zapewne sporo jest na każdym kroku,  
Takich co chętnie chcieliby goryczą,  
Zatruc Wam życie w dzień Nowego Roku.  
Niech więc ci, którzy dotąd źle życzyli,  
Bez żadnej racji, tylko tak, z chimery,  
Życzą Wam dobrze w każdej życia chwili,  
Tego dziś życzy:

*Wasz przyjaciel szczerzy.*



## N I E D O W I A R E K.

(Ballada brukowa).



Wśród obcych ludzi, na gwałt wyuczony,  
Nie chcąc marnować fachowych sił,  
Czemprędzej wrócił w swe rodzinne strony,  
By zrobić grosze, o których śnił.  
Jestto figura, znana w całym mieście  
Z tego, że mając tylko swój fach,  
Zgromadził wkrótce, tysięcy aż dwieście  
Pod swój dla rubli gościnnie dach.

Wierzyć, prócz w rubla, w nic nie wierzył wcale  
I z całej duszy gotów był drwić  
Z tych, którzy przed nim w naiwnym zapale,  
Snuli rozkosznie swych marzeń nić.  
„Wiara, nadzieja i miłość, mój paniel  
„To boki zrywać i śmiać się wciąż,  
„Za te trzy cnoty — bułki nie dostanie“  
Tak mówił zawsze, ten dzielny mąż.

I tak gromadząc rubelki w sekrecie,  
Ani się spostrzegł w zapale swym,  
Jak szósty krzyżyk usiadł mu na grzbiecie  
I po młodości pozostał dym.  
„Eh! bagatela, rzekł on wtenczas sobie,  
„Niech z nędzy ginie mizerny świat!  
„Ja mam pieniądze, więc głupstwa nie zrobię  
„I mogę pożyczyć jeszcze sto lat.“

Sekret utrzymać, to dziś wielka sztuka,  
Szczególniej jeśli gdzie ruble są,  
Bo każdy wtenczas sposobności szuka,  
By ofiarować usługę swą.  
Więc tak się stało, że poczuwszy ruble,  
Starca, co skąpym niezmiernie był,  
Płochę sylfidki obsiadły jak wróble  
I nuż go wabić z calutkich sił.

Jedna z nich szybko przybiegła do mety,  
Bo w starca, który nie wierzył w nic,

Póty wmawiała przeróżne zalety,  
Aż się zadurzył jak młody fryc.  
„Oto kobieta, co się mną zachwyca.“  
Rzekł sobie starzec, dumny jak Ney!  
„Ona mnie kocha, to nie tajemnica,  
„Trzeba tę miłość odplacić jej.“

Tak to ów skąpiec trudny do zdobycia,  
Nie mogąc siebie dziś poznać sam,  
Jak brazylijczyk z „Paryskiego życia“  
Rzuca rublami i tu i tam.  
I ten, co nie chciał wierzyć w przypadłość,  
Co serca ludzkie budzą ze snu,  
Teraz na starość, uwierzył miłości,  
Które za ruble sprzedają mu!



## GRZECH ŚMIERTELNY.

(Podanie wiejskie).



W pięknym pałacu, mieszkał pan bogaty,  
Sam rządził mieniem, choć był karmazynem  
I nie opuścił nigdy biednej chaty,  
Niosąc jej pomoc radą, albo czynem,  
Szacunku wiele miał w swoim powiecie,  
Czcili go nawet rabini uczeni,  
Bo na szacunek zasługuje przecie,  
Ten kto nie siedzi w żydowskiej kieszeni.

Trzeba nieszczęścia, że w sąsiednim mieście  
Mieszkała młoda i prześliczna Sara,  
Ojciec jej w handlu, miał złotych aż dwieście  
I jak mówiono, gotówką talara.  
Pan, poznał Sarę, — ojca wziął na stronę,  
Sporo pieniędzy dał na wychowanie  
I po trzech latach, przywiózł sobie żonę,  
W której nikt Sary poznać nie był w stanie.

Tak się to mówi, — a od czego nosy?  
Sąsiedzi pana jak węszyć zaczęli,  
Tak wnet krzyknęli wszyscy w niebogłosość:  
Że pan, wstyd zrobił swojej paranteli.  
„Ależ to hańba! — to warjat skończony!“  
Mówiono wszędzie, — „toż to zbrodnia brzydka,  
„By pan, którego liczą na miliony,  
„Żenił się z córką ubogiego żydka.  
„Nie! — z takim przecie żyć nie można wcale,  
„Myśmy być winni jednolitą listwą,  
„A on, żydówkę, w swym bezmyślnym szale,  
„Gotów wprowadzić w nasze towarzystwo.

I odsądzono od czci i od wiary,  
Brata szlachcica co upadł tak nisko,  
I nikt znać nie chciał czarnowłosej Sary,  
Noszącej piękne męzowskie nazwisko.  
Szlachcic, coprawda, nigdy nie był hojny,  
Nie jednał papką, ani karmił solą,  
Więc padł ofiarą parafjalnej wojny,  
Godząc się jakoś ze swoją niedolą.

O względy jego dziś się nikt nie stara,  
Wielkie podwórze zarosło jak łąka,  
I tylko czasem rozmarzona Sara  
Na fortepianie, w starym dworze brzdąka.  
Bo jeśli szlachcic z żydówką się żeni,  
Będąc po uszy wszędzie zadłużony,  
To poświęcenie, które każdy ceni  
I nikt mu za złe nie bierze tej żony.  
Lecz jeśli szlachcic, co ma piękne włosci  
I o pieniądze żydom się nie kłania,  
Z biedną żydówką żeni się z miłości,  
To grzech śmiertelny nie do darowania.



### NAGANIACZE DUDKÓW.



Gdyby wieszczka jaka, klnąc się na sumienie,  
Przyrzekła mi spełnić wszelkie me życzenie,  
Tobym jej powiedział, choć to może brzydko,  
Że pragnę koniecznie być płochą sylfidką.

Bankier bowiem łatwo zbankrutować może,  
Szlachcic jest bankrutem gdy mu chybi zboże,  
A płocha sylfidka zbankrutuje chyba,  
Gdy już jest podobna do starego grzyba.

Wprawdzie coraz trudniej dziś o wielbicieli,  
*Dobrych panów* bowiem, dawno djabli wzięli,



Lecz na to są przecie zdolni naganiacze,  
Którzy jak zagrają, tak im dudek skacze.

Specjalność to trudna i pracy wymaga,  
Nic tu nie pomoże pospolita blaga,  
Bo naganiacz musi nachodzić się szczerze,  
Zanim znajdzie dudka porośłego w pierze.

Wtenczas to dopiero taniec się zaczyna  
I podczas śniadanka, przy kieliszku wina,  
Niby od niechcienia rozmowa się toczy  
O tem, jakie która sylfidka ma oczy.

Niech no tylko dudek okaże swój zapał,  
Już można być pewnym, że się biedak złapał,  
A gdy jeszcze imię wymieni sylfidki,  
Już naganiaczowi drżą z radości łydki.

„Chcesz pan, to go poznam z tą śliczną mamzelką,  
„To jej nawet sprawi rozkosz bardzo wielką,  
„Bo ona już dawno o panu słyszała,  
„A to istny djablik, ta filutka mała.“

Jak się tu nie poznać i jak nie wpaść w sieć?  
To też zwykle dudek *na całego leci*?  
I w miarę pieniędzy, jakie ma w kieszeni,  
Krócej albo dłużej, sylfidka go ceni.

Ma się wiedzieć, dudek dumny ze zdobyczy,  
Z naganiaczem *za to*, nigdy się nie liczy,

Śniadanka, kolacje i kosztowny trunek,  
Wszystko wtenczas idzie na dudka rachunek.

Pożyczki się mnożą jak po deszczu grzyby,  
Bo naganiacz zawsze zapomina niby  
Wziąć pieniędzy, które schował w tualecie,  
A wracać do domu, to nie warto przecie.

Cała ta historia zwykle tem się kończy,  
Że dudek obdarty ze świetnej opończy,  
Wynosi się z miasta, gdzieś w dalekie strony  
I tam się ukrywa jako *wypierzony*.

Naganiacze jednak nie tracą na minie  
I tym samym trybem, życie im wciąż płynie,  
Bo jak było dawniej, lat temu ze dwieście,  
Tak i teraz dudków, nigdy nie brak w mieście.



## MAŁE BAJECZKI DLA DUŻYCH DZIECI.



### I.

#### Praktyczna mama.

Staś na wekslu machnął mamę,  
Przyczem piórem zrobił plamę.  
Szum mu zu to dał pieniędzy  
I Staś czmychnął w świat czempredzėj.

Przyszedł termin, Staś bez grosza,  
Szmul zawzięty jak kokosza,  
Do Stasiowej biegnie mamy,  
By wyprała synka plamy.  
Mama na to tak odrzeczce:  
„Wynoś się stąd, mój człowiecze,  
„Bo zasadę mam w tej mierze,  
„Że kto splamił niech ten pierze.“

## II.

### Niebezpieczna gra towarzyska.

Frania pasjami wszystkie gry lubiła,  
Ale najmiłszą dla niej zawsze była,  
*Gra w chowanego*, bo w ciemnym gajku  
Można wciąż marzyć zdaleka od krzyku.  
Gra to co prawda, nadzwyczajnie miła,  
Ale dziewczynkom nie idzie na zdrowie,  
Bo gdy się Frania raz w tej grze zgubiła  
Już dziś na zawsze zgubioną się zowie.

## III.

### Mądry Gabryś.

Gabryś sprzedawał pożyczki premjowe,  
Różnie tam o tem śpiewały łabędzie,  
Nieraz mu mama zmyła za to głowę,  
Mówiąc: „Gabrysiul strzeż się, bo bla będzie.“

Gabryś nie zważał na mamy przestrogi,  
Z najlepszą miną wciąż kwity wydawał,  
Aż się nareszcie spostrzegł lud ubogi,  
Że sprytny Gabryś bierze go na kawał.  
Zrobił się rwetes, wszyscy gwałtu! krzyczą,  
Nawet przezorność już się ze snu budzi,  
Lecz Gabryś czmychnął ze swoją zdobyczą  
I dziś się śmieje z naiwności ludzi.



## DLA CZEGO?

(List pana Macieja z Dużej Woli).

Proszę pana, jestem wieśniak  
Krwia, duszą i ciałem,  
I na święta po raz pierwszy  
Do was przyjechałem.  
Mój kuzynek, pan Stanisław,  
Co jest adwokatem,  
Chcąc mię poznać, jak należy,  
Z tym warszawskim światem,  
W drugie święto, najał dryndę  
I dalej w Aleje,  
Bym od razu mógł zobaczyć,  
Co się w mieście dzieje.  
Gwałtu! rety! — toż tu u was  
Ruble są w kieszeni,

Wszystko, panie, wystrojone,  
Aż się w oczach mieni.  
Patrzę, jedzie jakaś dama,  
Istny anioł w bieli,  
Takiej nawet w Ostrołęce,  
Ludzie nie widzieli.  
Ciekawością wielką zdjęty  
Pytam adwokata:  
„Stasiu drogi! powiedz kto jest  
Pani ta bogata?“  
On mi na to uśmiechnięty  
Odrzekł: „Ech, to Mania,“  
„A ta druga? — pytam znowu,  
„Ta druga, to Frania“  
„A ta trzecia, taka śliczna  
I gładka jak pela,  
„To Fifna, mruknał Stasiak,  
„A obok niej Fela.  
„Ta znów, która minką swoją  
„Przypomina kotka,  
„To Michasia, — a ta błada  
„Zowie się Dorotka.“  
— Ależ Stasiu! — czy kpisz sobie,  
Czy pytasz o drogę?  
Ja chcę wiedzieć ich nazwiska,  
Więc pojąć nie mogę  
Z jakiej racji, żarty stroisz  
Z biednego szlagona  
I wciąż tylko, zamiast nazwisk  
Wymieniasz imiona?

„Ba! mój drogi,“ Stasiak na to,  
„Śmiech mnie pusty bierze  
„Nie żartując wcale z ciebie,  
„Mówię prawdę szczerze,  
„Bo te wszystkie piękne *damy*,  
„Tak świetnie ubrane,  
„Są w calutkiem naszym mieście,  
„Tylko z imion znane.“

. . . . .  
A to szopka! pomyślałem,  
To rzecz całkiem nowa,  
I z myślenia, do tej pory  
Aż mię boli głowa.  
Więc kochany redaktorze,  
Jak w dym rznę do ciebie,  
Byś czempredziej swą pomocą,  
Poparł mię w potrzebie.  
Ty, gdy zechcesz, to mi powiesz,  
Znając ten świat z blizka,  
Z jakiej racji, dziś imiona  
Zaćmiły nazwiska?  
Twój  
*Maciej z Dużej Woli.*

### *Odpowiedź redakcji.*

Wielce miły nam Macieju!  
Zadajesz pytanie,  
Na które odpowiadamy,  
Jak jesteśmy w stanie:

Ztąd pochodzi świetność imion  
I cała parada,  
Że dziś każde takie imię,  
Sporo nazwisk zjada.



## PODPÓRKA BABSKA.



Był sobie chłopiec, prześlicznej urody,  
Zdrowie mu biło z rumianych lic,  
A taką siłę miał ten chłopiec młody,  
Że pięścią głązy kruszył jak nic.  
Patrząc na niego, jak na okaz chluby,  
Wszyscy mówili: „To chłopiec chwata!  
„Ten, można o to trzymać zakład gruby,  
„Matuzalowych doczeka lat.“

. . . . .

Niestety! jejmość troszeczkę już siwa,  
Chciała koniecznie rozrywkę mieć,  
I piękny chłopiec, jak to zwykle bywa,  
Wpadł pani w oko, jak rybka w sieć.  
„Ach! wesprzej chłopcze moje słabe siły,  
„Że źle nie wyjdiesz, zobaczysz sam,  
„Bo ja ci za to, mój chłopaczku miły,  
„Wszechwładną wszędzie protekcję dam.“  
Taki to (strojąc twarz w uśmiech łaskawy)  
Jejmość na chłopca puściła strzał,

I chłopiec żądny majątku i sławy,  
Podpórką babską wkrótce się stał.

. . . . .

Z początku wcale dobrze mu się działo,  
Miał aż do zbytku co jeść i pić,  
Miał za co strojnie odziać swoje ciało  
I już na przyszłość snuł marzeń nić.  
Szczęście się jednak topi jak karmelki,  
Chociaż więc chłopiec siłaczem był,  
Prędko się spostrzegł, że ciężar za wielki  
I do wspierania braknie mu sił.  
Protekcja wprowadzie wnet zrobiła swoje,  
Chłopiec się pysznił jak wielki mąż,  
Wszędzie mu bowiem otwarto podwoje  
I szybkim krokiem szedł naprzód wciąż.  
Ale cóż z tego, kiedy podpierając  
Ciężar, co strasznie dokuczał mu,  
Chłopiec niedawno tak chyży jak zając,  
Poszedł do łóżka dla braku tchu,  
I już podobno, jak mówią ludziska,  
Co wszędzie muszą wtrącić swój nos,  
Biednego chłopca śmierć w objęciach ściska,  
Zanim mu zada ostatni cios.

. . . . .

A cóż się stało z kobieciną ową,  
Której podporą był chłopiec nasz?  
A cóż! choć trzęsie coraz więcej głową,  
Choć coraz mocniej maluje twarz,



Choć mówi, że już starość oczy klei,  
I nieraz własnych nie pomni słów,  
Jednak bynajmniej nie traci nadziei,  
Że sobie znajdzie oparcie znów.



## KARTKA Z PODRÓŻY DO CELU.



Gromadka ludzi, będąc raz w podróży,  
Dążyła spiesznie do jednego celu,  
A że każdemu wolny wybór służy,  
Więc o kierunek spierało się wielu.  
„Chodźmy na prawo! — to jest prosta droga,  
„Tam, kto się męczy, znajdzie popas przedni,  
„Bo tam panuje zawsze cisza błoga  
I nie ma przeszkód“ — tak mówili jedni.  
„Niech z wami idą wasi wierni słudzy,  
„Nas tam bynajmniej ta droga nie nęci,  
„Chodźmy na lewo,“ — tak mówili drudzy,  
„Kto z nami niechaj wnet na lewo skreśli!  
I powstał zamęt w niezgodnej gromadzie,  
Jako piorunem rozerwane drzewo,  
Jedna połowa na prawo się kładzie,  
A druga całkiem przechyla się w lewo.

. . . . .  
Ruszyli w podróż, — idą bez wytchnienia  
Oba oddziały, każdy swoją drogą,  
Kierunku żaden na chwilę nie zmienia,  
Ale do celu, jakoś dojść nie mogą.

Wszyscy się dziwią, co to za przyczyna?  
Wszak cel przed nimi jest bezwarunkowo,  
Jednak niejeden wątpić już zaczyna  
I ledwie idzie z opuszczoną głową.

. . . . .

Jaki rezultat będzie tej podróży  
I czy się uda mozolne zadanie?  
Spytajcie babki co na dwoje wróży,  
Bo nikt przewidzieć tego nie jest w stanie.  
Są jednak tacy, (pewnie malkontenci)  
A takich nawet jest niestety wielu,  
Którzy dowodzą, że pomimo chęci,  
Żaden z oddziałów nie dojdzie do celu,  
Bo zamiast w drodze drażnić się waśniami,  
Które napróżno psują tylko zdrowie,  
Najlepiej było wspólnemi siłami,  
Iść naprzód drogą, co się prostą zowie.



## DUMNY DAWIDEK.



Ojciec Dawida, był to stary kupiec,  
Co całe życie pracował jak wół  
I nawet kugła nie dał sobie upiec,  
Tylko pieniądze wciąż dla syna kuł.  
Gdy spoczął w grobie pracownik strudzony,  
Dawid się zmartwił i płakał jak bóbr,

Lecz na pociechę znalazł dwa miliony  
I został panem bardzo pięknych dóbr.

. . . . .

Z początku, mając ojca na pamięci,  
Dawidek młody cenił chleb i sól,  
Nie łaknął blichtru co naiwnych nęci  
I w swoim kółku, żył sobie jak król.  
Wkrótce jednakże zbrzydło mu to życie,  
Porzucił templa, ulubioną grę,  
I nad tem tylko przemyślał skrycie,  
Jak w *towarzystwo* gwałtem dostać się.  
Chęciom Dawidka wnet się zadość stało,  
Marzenia jego już spełnione są,  
Bo *towarzystwo* także polowało,  
By grubą rybę wziąć w opiekę swą.  
Jeździ Dawidek w przepysznej karecie,  
Przyjaciół zawsze koło niego rój,  
Bo *towarzystwu*, — potulny jak dziecko,  
Chętnie otwiera pugilares swój.  
Z hrabiami codzien kolacyjki ćwicz,  
A jedna *dama* chciwa na ten kęs,  
By z rączek swoich nie puścić zdobyczy,  
Wcale nie żartem, zowie go *mon prince!*  
Słowem, że Dawid taki dawniej cichy,  
W ciągłych uciechach pędzi życia dnie,  
Mięsiste usta wydał z wielkiej pychy  
I już o tempłu ani słuchać chce!  
A gdy się czasem kupiec w nim przebudzi  
I piechtą idzie, zwyczajowi wbrew,

To tak spogląda na zwyczajnych ludzi,  
Że aż ze strachu stygnie w żyłach krew.  
Oh! bo zaiste magnat to nie lada!

Magnat co rublem zawojował świat,  
Więc się bynajmniej dziwić nie wypada,  
Że z *towarzystwem* żyje za pan brat.  
Żydkowie jednak co się na tem znają,  
Widząc Dawidka wielce dumny gest,  
Choć mu się niby pokornie kłaniają,  
Śmiejąc się mówią: „To już bankrut jest!  
„Te wielgie państwo, to on popamięta,  
„On sam na gardło włożył sobie nóż,  
„On płaci dzisiaj porządne procenta  
„I nawet roku nie pociągnie już.

.....  
Biedny Dawidek! — szkoda go do licha!  
Lecz po co zamiast dobrym kupcem być,  
Ni ztąd ni zowąd porwała go pycha  
I nie chciał dłużej w swoim kółku żyć?



## G Ł O W A I N O G I .

(Bajka dla starych dzieci).



Głowa, dumna, że w niej rozum mieszka,  
Wyśmiewała głupiuteńkie nogi:  
„Wam tak samo, jak za czasów Leszka,  
„I dziś jeszcze dokucza los srogil!

„Ja z postępem idę ciągle w parze,  
„W moim mózgu myśl się z myślą brata,  
„Słowem wszyscy robią co im każe,  
„Bo mój rozum jest wszechwładczą świata,  
„A wy biedne, same o tem wiecie“  
„Dla was nigdy nic się nie odmienia  
„I nie mogąc nic zrobić na świecie,  
„Macie talent tylko do chodzenia.

„Ach! to prawda, — my rośniemy dziko“  
Rzekły nogi, z udaną pokorą,  
„Lecz cóż robić, pani dobrodziko!  
„Wszak do pracy i nas także biorą,  
„Więc choć panią to okropnie boli,  
„Że los dla nas nie jest zbyt łaskawy,  
„My przestając na swej skromnej roli,  
„Nie żądamy rozgłosu i sławy.“

Wkrótce po tej poufnej gawędzie,  
Trafiła się korzystna posada,  
Głowa myśląc, że miejsce zdobędzie,  
Z takiej gratki, była bardzo rada.  
„Ech! w tem nie ma żadnej wątpliwości,  
„Że to dla mnie jest ten kąsek miły,  
„I nikt pewnie pretensji nie rości.  
„By mógł ze mną mierzyć swoje siły.“  
Tak myślała z prawdziwą rozkoszą,  
Mądra głowa, która dla zasady,  
Była pewną, że się do niej zgłoszą,  
Z korną prośbą o wzięcie posady.

Minął tydzień jeden, drugi, trzeci,  
Głowa czeka z uśmiechem Judasza,  
Ale jakoś, choć czas prędko leci,  
Nikt do głowy wcale się nie zgłasza.  
„Co u licha!“ wykrzyknęła w gniewie,  
„To nie sposób by mnie zapomniano,  
„Nikt widocznie o adresie nie wie  
„Więc iść muszę sama jutro rano.“

Jak się rzekło, tak się też i stało,  
Poszła głowa zasięgnąć języka,  
Lecz gdy kogoś zapytała śmiało,  
Ten jej odrzekł: „Pani dobrodzika  
„Się spóźniła jak drożdże na święta,  
„Przez co zawód spotyka ją srogi,  
„Ta posada już dawno zajęta,  
„Bo ją sobie *wydeptały* nogi.



## ŻONOŻERCY.



Ach! straszne rzeczy dzieją się w Warszawie!  
W biały dzień, w mieście co się szczyli wiedzą,  
I ma mieszkańców miljon cały prawie,  
Są ludożercy, którzy ludzi jedzą.  
Trudno uwierzyć, a jednak niestety!  
To prawda szczerą, że nie jedna żona,

Jak w szarym sosie cielece kotlety,  
Przez męża swego została zjedzona.

Pan X naprzykład, — wszak go wszyscy znacie?  
Wielki elegant od stóp aż do głowy,  
Więc w lecie chodzi w kraciastym chałacie,  
A w zimie — piękny kołnierz ma bobrowy.  
Czy dacie wiarę, że ten pan pyszałek,  
Jak zaczął żonę jeść jak pieczeń z różną,  
Tak dziś z niej został zaledwie kawałek,  
I kilka kości, których zgryźć nie można.

Pan Q jest drugim w żonożerców rzędzie,  
Piękny ten panicz, to Kanibal srogil!  
Bo już publicznie mówią o tem wszędzie,  
Że żonie swojej objadł ręce, nogi,  
I jeśli dłużej ten apetyt dziki,  
Potrwa u męża, co nigdy nie pości,  
To pewnie także z jego magnifiki,  
Zostaną tylko ogryzione kości.

Trzecim z kolei, jest pan N — chłop tęgi,  
Istny Herkules w butach od Pilisza,  
Ten też do żonki strojnej w modne wstęgi,  
Wziął się jak głodny do porcji stokfiszka,  
I już podobno, jak głoszą na boku,  
Najbliżsi krewni nieszczęśliwej żony,  
Zjadł ją w połowie, w przeciągu półroku,  
Taki apetyt ma ciągle szalony.

Lecz dość już tego! — na cóż bo się zdało,  
Wyliczać wszystkich żonożerców w mieście,  
Rzecz dowiedziona, że ich jest nie mało,  
A to już mniejsza, czy tysiąc, czy dwieście?  
W tej bowiem przez nas poruszonej sprawie,  
Niezmiernie smutny widok jest na planie,  
Że spora liczba pięknych żon w Warszawie,  
Przez własnych mężów zjedzoną zostanie.

Wszelki ratunek jest tu niemożliwy,  
Bo żonożercy — to są ci próżniacy,  
Którzy straciwszy szlachetne porywy,  
Pojęli żony, aby żyć bez pracy,  
I dziś choć mają i siły i zdrowie,  
Chociaż są nawet obdarzeni wiedzą,  
Jako bogatych żon, *prawi* mężowie,  
W słodkim *far-niente*, ich posagi jedzą.



## CZASOWO URLOPOWANI.



Aż przykro patrzeć na tych biednych ludzi!  
I aż doprawdy, serce boli nas,  
Gdy w każdym ciągle przykra myśl się budzi,  
Że mu tak skąpo wymierzono czas.  
Byle biedaczek, skończywszy zajęcie,  
Używa świata ile tylko chce,



A oni nawet przy największem święcie,  
Muszą kłaść mundsztuk na rozrywki swe.

Nieraz, w teatrze, pełen dobrych chęci,  
Pytasz się, widząc gorączkowy gest,  
Czemu twój sąsiad tak się w krzesle kręci?  
Ba, nic dziwnego, — to urlopnik jest.  
Tak, to urlopnik, — który nie jest w stanie,  
Ani sekundy siedzieć dłużej już,  
Bo za spóźnienie, może dostać lanie,  
Aż się na plecach zrobi wielki kurz.

Lub w jadłodajni — patrzysz czy ma bzik  
Jakiś jegomość, co soczystych dań  
Nie wzięwszy do ust, jak szalony zmyka,  
Pakując gwałtem kawał chleba w krtani?  
O nie, — bynajmniej, — on zdrów na umyśle  
I pełnych flaszek chętnie suszy dna,  
Lecz z czasem musi rachować się ściśle;  
Bo on, niestety, krótki urlop ma.

Nieraz, przy wiście, gdy ci karta dobra,  
Robi nadzieję jakiej wielkiej gry,  
Partner twój, raptem — nie skończywszy robra,  
Zrywa się z krzesła i ze strachu drży,  
I gdy nieborak, cały zlany potem,  
Patrząc na zegar, wpada w dziki szał,  
Ty się dopiero dowiadujesz o tem,  
Że to urlopnik z tobą w karty grał.

Do tych biedaków, żalu nikt nie żywi,  
I jak się rzekło, serce boli nas,  
Gdy ich dowódcy, tyrani prawdziwi,  
Na pół minuty rachują im czas,  
A za spóźnienie, jak mówią kroniki,  
Co wiedzą wszystko od A aż do Zet,  
Urlopowani często biorą wnyki,  
Od których puchnie najtwardziejszy grzbiet.

Oh, oh, do licha! — Pewnie w dobrej wierze,  
Owych żołnierzy żałujecie tu?  
O nie, — to wcale nie żadni żołnierze,  
Muszę w tym względzie ostrzedz was co  
[tchu,  
I choć przy końcu, niech się każdy dowie,  
Że urlopnicy, co ze strachu drżą,  
To pod pantoflem siedzący mężowie,  
Dla których żony — dowódcami są.



WSZĘDZIE DOBRZE, ALE W DOMU NAJLEPIEJ.



A ma się wiedzieć, gdzież lepiej być może,  
Jak nie tam, bracie, gdzieś panem wszechrzeczy  
I mężem żony, co dopuasty boże,  
Miłością leczy.  
Śliczna córeczka za szyję cię ściska,  
Synek jak źrebiec po komnacie hasa,

A ty na łonie własnego ogniska,

Popuszczasz pasa.

O, tak, zaiste, — wszędzie dobrze bywa,  
Gdy człowiek jeszcze nadzieją się krzepi,  
Lecz w domu własnym, przy szklaneczce piwa,

Zawsze najlepiej.

Czemuż więc, czemuż, jest gromada ludzi,  
Z których choć każdy ma ładne dzieciaki,  
Každy się jednak w swoim domem nudzi,

Jak pająk jaki?

Choć w domu synek rozkosznie swawoli,  
Choć w sercu dźwięczy srebrny śmiech córusi,  
On, — gdy się tylko wyśpi już do woli,

Z domu wyjść musi.

I jak żyd tułacz, co go wiecznym zwano,  
Z kąta w kąt łązi od wujów do ciotek,  
Dźwiga na grzbiecie wieczorem i rano,

Pełen wór plotek.

Nieraz już gawieź do zarobku skora,  
Biegnie by pracą zdobyć kawał mięsa\*)

A taki biedak jeszcze się jak zmora

W mieście wałęsa.

Sen go już gwałtem ciągnie w swe dziedziny,  
Oczy się lepią jak gumowe drzewa,  
On jednak zamiast wracać do rodziny,

Siedzi i ziewa.

Gdy grają w szachy, gapi się na szachy,  
Nie znając nawet konikowych zwrotów,

---

\*) O kawałku chleba, dziś nikt już nie myśli.

I aż do świtu gdy ma powód błądy  
Gapić się gotów.  
A gdy nareszcie pówraca do siebie,  
Jak nocne dydło złamany we czworo,  
Na schodach ledwie, że nogami grzebie,  
Tak mu niesporo.  
O tak, — niesporo, — bo każdy z tych ludzi,  
Co nie przynoszą korzyści nikomu,  
Aż wstyd powiedzieć, najgorzej się nudzi  
W swym własnym domu.



## ZAGRZEBANI ŻYWCEM.

Oreǳie dla niektórych, na szezęście dziś już nie bardzo licznych  
obywateli ziemskich.



Nie śpiewam Herculanium i Pompei losów,  
Ani też dłonie moje opisywać pragnę  
To miasto starożytne, co z woli niebiosów,  
Z rajcami i burmistrzem zapadło się w bagno.  
Ani też myślę kreślić smutnego obrazu,  
Który się jednak nieraz przytrafia fatalnie,  
Że skutkiem wybuchnięcia węglowego gazu,  
Zawaliły się sławne angielskie kopalnie...  
Nie — pióro moje taką potępią pochopność,  
Lubię wszystko opiewać — byle nie okropność.  
Ale są zagrzebani, moi najlaskawsi,  
Biedacy, choć ich ziemi ciężar nie przywała,

Męczennicy prawdziwi — zagrzebani na wsi,  
Co od świata i ludzi żyć zmuszeni zdala.  
Każdy z nich ciągle stęka, że aż bierze litość,  
A przy pracy szczękami w ciężkim znoju jedząc,  
Mówi: „Ach miły Boże! *bylbym znakomitość,*  
„Tak w Paryżu lub wreszcie choć w Warszawie  
[siedząc,

„A tutaj na wieczyste gdym skazany nudy,  
„Zginę jako fijołek bez wieści i śladu  
„I w ciszy znosić muszę polowania trudy  
„I dźwigać codzien brzemię ciężkiego obiadu  
„I gawędą z sąsiadem zrywać sobie usta,  
„Z sąsiadem co mi prawi o orce i gnoju!  
„O jakże ciężkie życie i jaka czczość pusta!“  
Tak mówi zagrzebany i drzemie w pokoju.

A jego pani żonka, również zagrzebana,  
I jej się nawet z losem pogodzić jest trudniej...  
To dusza poetyczna, — od samego rana,  
Na starym fortepianie „Offenbacha“ dudni.  
Osoba wykształcona — języki posiada,  
I mówi po francuzku jak szwed rodowity,  
Czasem zajrzy do książki i z tęsknoty blada,  
Pragnie pisać rozprawę o losach kobiety,  
I już coś od lat pięciu pracuje nad dziełkiem,  
Którego nie ma jeszcze ani pół litery,  
Choć pachciarz jej atrament przywozi kubałkiem,  
I całemi skrzyniami pióra i papiery...  
Myśli zebrać nie może ta dusza stargana,  
Coby mogła świat szerszy swem tchnieniem ożywić,

Nic nie robi biedactwo — i trudno się dziwić,  
Jak robić? kiedy żywcem na wsi zagrzebana?

. . . . .

O nieszczęsne istoty, ludzie iście biedni,  
Zapoznani przez ludzkość genjusze oboje,  
Czyż mogą w takim smutku dbać o chleb po-  
[powszedni...

Tam gdzie leżą pod bokiem prozaiczne gnoje?  
Wegetują biedaki, jak to każdy widzi  
I nad smutnym swym losem ronią łzy w zakątku  
Dotąd, póki usłudni nie nadejdą żydzi  
I biednych zagrzebanych wygrzebią z majątku.



## Z CZEGO ONI TACY DUMNI?

Krakowiaki dedykowane panom G. Ł. U. P. J. M.



A dalipan, prawda, — może mi kto powie,  
I już raz nareszcie dowiem się u licha,  
Z czego są tak dumni ci młodzi panowie,  
W których jak na drożdżach wzrasta ciągle py-  
[cha.

Jak ci w dowód łaski, który spojrzy czasem  
I ledwie, że mrugnie buremi ślepkami,  
Przysięgłbyś, że chyba jest Leonidasem  
Co szlachectwo zdobył pod Termopilami.

Co to za postawa — co za wściekła mina!  
Cały świat jest prochem, wszyscy ludzie niczem,  
On tylko coś znaczy, więc się tak wypina,  
Jakby od kolebki był jasnym hrabiczem.

Gdy nie masz milionów, nie stawaj na drodze  
Jaśnie wielmożnego pana milionera,  
Bo swą znajomością obraziłbyś srodze,  
Tego, co za ruble wszędzie hołdy zbiera.

O tak, bracie goły, — trzymaj się zdaleka  
Od ludzi co ludzi uważają za nic,  
W ogniotrwałej kasie nie szukaj człowieka,  
Bo duma tych panów nie zna żadnych granic.

Lecz z kąd się podobna arogancja rodzi?  
Z kąd chałupa licha chce mieć pozór wieży  
I z czego są dumni ci panowie młodzi?  
W tem sęk, a w tym sęku, wielka kwestja leży.

Pewnikiem z nich każdy w kraju ma zasługi,  
Które wstępnym bojem zdobywa dziś praca?  
Lub też dzielnych przodków liczy szereg długi  
I swym kapitałem nasz przemysł wzbogaca?

Aha, jużci, — zaraz, — figa malowana,  
O prace tych panów niech się nikt nie pyta,  
Bo każdy z nich dzisiaj pozując na pana,  
Pańskich przywilejów używa i kwita.

Panicze ci jeszcze własnemu krajowi,  
Nie zasłużyli się żadną rzeczą piękną,  
Lecz myśląc, że pieniądź wszystko dziś stanowi,  
Tylko patrzeć, kiedy z wielkiej pychy pękna.

Starzy ich ojcowie, ludziska poczciwi,  
W pośród ślizkich imprez, uzbierawszy plony,  
Cieszą się, że przyszłość synków się nie skrzywi,  
Gdy na zawołanie mieć będą miljony.

Powodem więc dumy chyba tych paniątek,  
Jest, że wzbogaceni ciężką ojców pracą,  
By czempredzej zatrzeć wielkości początek,  
Ojcowskie majątki dziś na zbytki tracą.



## OFIARY IDEI.



W handlu za stołem, siedzieli społem  
*Zdegumowani* faceci,  
Jeden był rudy, drugi był chudy,  
A grubopłaski był trzeci.

„Nie uwierzycie, jak ciężkie życie!“  
Rzekł jeden, wąż kręcąc w palcach;  
„Co wieczór muszę, wytrząsać duszę,  
W mazurach, polkach i walcach.“



„To nic, — rzekł drugi, — za te usługi,  
Pozyskasz kiedyś nagrodę.  
Lecz ja bez celu, mój przyjacielu,  
Marnuję swe lata młode!

Z bieloną twarzą, służyć mi każą,  
Gustom niestalszym od wiatru,  
Bom jest aktorem i dyrektorem  
Amatorskiego teatru!...”

„O dzieci, dzieci!... Wykrzyknął trzeci,  
Czemże są wasze katusze?  
Przy tem cierpieniu, przy tem znudzeniu,  
Jakie ja znosić wciąż muszę!

Obcy zabawie, codziennie prawie,  
Tkwię za zielonym stolikiem,  
I różne, bom chrobry, po robrach robry,  
Lub się ratuję bezikiem!”

Tak mówią młodzi, i każdy słodzi,  
Gorycze życia koniakiem...  
Wtem, zerknął stary przez okulary  
I wyszedł z orędziem takim:

„Zacni panicze, z serca wam życzę,  
By was minęły kłopoty;  
Zrywajcie zatem z okrutnym światem,  
I lżejsze bierzcie roboty.

Pierwszy niech chwyta, szewckie kopyta,  
Drugi, niech szyje odzienie,  
Trzeci zaś może, (pomóż mu Boże),  
Tłuc na gościńcu kamienie.

W ten sposób życie, rozweselicie,  
Błyśnie wam promyk nadziei...“

.....  
„Głupiś! — rzekł jeden, — nie dla nas eden,  
Myśmy ofiary... idei!“



## W IMIĘ PRAWDY I SPRAWIEDLIWOŚCI.



O biedny Józiu, Edziu i Wacławie!  
To was dopiero ściga złość zawzięta,  
Wyście myśleli tylko o zabawie,  
A tu wam każą płacić alimenta  
I jakaś panna jaknajczystszej wody,  
Choć o tej wodzie wątpić się ośmielę,  
Każdego z was dziś, za chwilę swobody  
Z kodeksem w rękę męczy jak chłop cielę.  
Paradne sobie są te madmozelki!  
Wszystko to kiedyś ledwie żyło w nędzy,  
Przez was to wszystko wyszło *na świat wielki*,  
A teraz *za to* jeszcze chcą pieniędzy.

Co to za moda! — Co za obyczaje!  
Wam, — honor zawsze miłszym jest niż życie,  
Żaden więc grosza panienkom nie daje,  
I ztąd po sądach włóczyć się musicie.  
Ha, — trudna rada, — brońcie się gdy chcecie,  
Ja was obronić już nie jestem w stanie,  
Lecz równowagę chcąc stworzyć na świecie,  
Niezmiernie ważną kwestję mam na planie.

. . . . .

W miasteczku naszym, są pewne feminy,  
Które palcami każdy wskazać gotów,  
Jako niestety, wiadome przyczyny  
Nie bardzo miłych mężowskich kłopotów.  
Jejmoście owe znudzone mężami,  
W usługach swoich młodych chłopców miały.  
(To się tu tylko mówi między nami,  
Bo po cóż o tem wiedzieć ma świat cały)?  
Chłopcy jak mogli pracowali wiernie,  
Biorąc w nagrodę wikt i opierunek,  
Lecz jak to zwykle, ciężkiej pracy ciernie,  
Zwalają na kark niemały frasunek.  
Straciwszy zatem młodość, co się ceni,  
W służbie, do której potrzebne są siły,  
Chłopcy ze służby dawno przepędzeni,  
Włóczą się teraz, jak zbiegi z mogiły.  
Włóczą się razem z obdartusów zgrają,  
Niejeden często zasypia na dworze,  
I jak te panny co po sądach stają,  
Żaden już na chleb pracować nie może.

W imię więc prawdy, co się w kątach chowa,  
Ja, starodawne zrywając dziś pęta,  
Żądam, by panie, o których tu mowa,  
Płaciły także chłopcom alimenta.



## WARSZAWSKA AGENTOMANJA.



I to agent i to agent!  
I to agent, aj!  
Cóż u licha, co za żarty,  
Co za dziwny kraj?  
Ledwie na świat wyjdiesz z domu,  
Gdzie obrócisz twarz,  
Jak na rozkaz złęgo ducha  
Już agentów masz.  
Jeden krzyczy cienkim głosem:  
Ja sardynki mam!  
Drugi basem ci zachwala  
Cudnych rzeczy kram.  
Trzeci, oddać chce swój kredyt,  
Na usługi twe.  
Czwarty, coś tam z gutaperki,  
Gwałtem sprzedać chce.  
Piąty, jakąś ma pomadę  
Dla wesołych cór,  
Szósty, likier znów sprowadza  
Z azjatyckich gór.

A to wszystko, z pierwszej ręki  
    Idzie do nas wprost,  
Bo agenci bardzo dbają  
    O przemysłu wzrost.  
Ma się wiedzieć, odurzony  
    Dymem pochwał tych,  
Niby zając przed ogarem  
    Biegiesz sam na sztych,  
I najczęściej bez potrzeby,  
    Jak bezmyślny kmieć,  
Robisz różne zamówienia,  
    Chcąc coś taniej mieć.  
No, nareszcie, po pół roku,  
    Nadszedł towar już,  
Tobie na twarz aż z radości  
    Występuje róż.  
„A tom panów kupców złapał!“  
    Mówisz, wpadłszy w szal,  
„Ho, ho, teraz z pierwszej ręki  
    „Będę wszystko miał.  
„Nasi kupcy, to dzierusy!  
    „Przy nich trudno żyć,  
Każdy bowiem, pragnie prędko  
    „Miljonerem być.  
„Po co? Na co? — Więc tym panom,  
    „Płacić sto od sta,  
„Kiedy agent o wpół taniej,  
    „Lepszy towar da.“  
Aha, jutro, — po niewczasie,  
    Widzisz bratku wnet,

Że ten towar z pierwszej ręki,  
Gorszym jest het, het!  
I po ścisłym obrachunku,  
Jak szanuję cię,  
Zamiast złapać panów kupców,  
Sam złapałeś się.  
Dobrze ci tak, dobrodzieju,  
O tak, wierzyć chciej,  
Że nie może być inaczej  
W całej sprawie tej,  
Bo gdy w mieście na trzech ludzi,  
Jest agentów dwóch,  
Trudno żądać — by z nich każdy,  
Był w swym fachu zuch.  
Handel przecie, — to nauka,  
A nie blaga jest,  
I do handlu nie wystarcza,  
Arcypewny gest,  
Ni wysnuta w głębi duszy,  
Słodkich marzeń nić,  
Że na świecie można łatwo  
Cudzą pracą żyć.



#### JAŚNIE WIELMOŻNE PANNY WIERZGALSKIE.



Fiu, fiu! Wierzgalscy — to szlachta nie lada!  
Ród do tej pory jeszcze nie upadły,

Chociaż przed laty Wierzgalskich pradziada,  
Razem z Popielem, myszy całkiem zjadły.  
Na szczęście, później jak pamięcią starczę,  
Pachciarz Wierzgalskich, gdy już porósł w pierze,  
W nagrodę dostał ich dobra i tarczę,  
I ztąd znów źródło — ród Wierzgalskich bierze.

Dziś, są to pany! Całą gębą panie!  
Żaden z ich synów nie bratał się z zgrają,  
A córy czyste w swym panięńskim stanie,  
Godnych dla siebie mężów dobierają.  
Niejedna za mąż dawno by wyjść chciała,  
Czuając jak wianek barki jej przygniata,  
Lecz honor domu i rodowa chwała,  
Muszą się liczyć z konwenansem świata.

O sercu nawet wspominać nie warto,  
Bo to naczynie z uczuciem zmyślone,  
Było i będzie nierozciętą kartą,  
Dla tych co milion złączyć chcą z miljonem.  
Gdy się więc zjawi chłopiec nie do rzeczy,  
Panny Wierzgalskiej mama dobrodzika,  
Od razu wszelkie nadzieje niweczy,  
A panna chłopca przednią nóżką fika.

„To impertynent, to dudek dopiero,“  
Krzyczy pan papa trzęsąc z gniewu głową,  
„Taki chudeusz, takie istne zero!  
„Pragnie się żenić z panną miljonową.

„Dobrześ zrobiła córeczko kochana!  
„Ktoby tam słuchał tych miłosnych bredni,  
„Ho, ho, dla córki tak wielkiego pana,  
„Znajdzie się łatwo chłopiec odpowiedni.

Panien Wierzgalskich, tu pomiędzy nami,  
Kto chce poszukać, znajdzie szereg cały,  
Wszystkie dotychczas jeszcze są pannami,  
Bo wszystkie chłopców za często wierzgały.  
I dziś, zawiedłe w swym panięmskim stanie,  
Choć chłopcy do nich przychodzili zgrają,  
Widząc, że żadna męża nie dostanie,  
Z rozpaczy, biedne, same się wierzgają.



## OZDOBY KOKOCICH SALONÓW.



Państwo bo pewnie ani wiecie o tem,  
    Że dziś kokotki bardzo w modzie są  
I że z nich każda, gdy już kapie złotem,  
    Pragnie koniecznie mieć pozycję swą.  
Ufając zatem w pana protektora,  
    Co nie chce dostrzedz na swej donnie plam,  
Tocia lub Mecia na pozycję chora,  
    Otwiera salon, jak jaka *grande dame*.

Otworzyć salon, to nie wielka sztuka,  
    Ale gdzie gości szukać w świecie het?



Ba! — zwykle znajdzie ten kto dobrze szuka,  
Więc i tu goście też znajdują się wnet,  
Bo na różkazy protektora pana,  
Któremu każdy pochlebić się chce,  
Znajomi jego od samego rana,  
Gotowi donnie składać hołdy swe.

Toż to dopiero, trzeba zrywać boki,  
Gdy taka Tocia albo Mecia już,  
Zacznie się z gośćmi bawić w ton wysoki,  
A tu z tym tonem jakoś ani rusz!  
Co chwila z tonu głupstwo się wyłania,  
Głupstwo, na którym poznał by się fryc,  
Gości jednakże, pełni poważania,  
Na te drobnostki nie zważają nic.

Każdy z nich donnę traktuje jak dame,  
Każdy ma słodki i uprzejmy gest,  
Nie jeden nawet cmoka w łapki mamę,  
Chociaż ta mama wynajętą jest.  
A niech no donna siądzie do pianina  
I zacznie bębnić, aż się wznosi kurz,  
Wnet wszyscy zgodnie jak jedna maszyna,  
Chwałą jej talent i jej miękki tusz.

Gdy więc salony niejednej wielmoży,  
Świecą pustkami, że aż patrzeć bła!  
Tocia lub Mecia, gdy salon otworzy,  
W salonie swoim gości zawsze ma,

Bo pan protektor chcąc na zawołanie,  
Obudzić w gościach dla swej donny cześć,  
Daje kolacje — palce lizać paniel  
A goście lubią dobrze pić i jeść.



## ŻONY INTRATNE.



Mędrzec powiedział, że każde małżeństwo  
Jest dla mężczyzny niezmierna subjekcja,  
A skłania do niej miłość lub szaleństwo,  
Brzęczący posag albo też protekcja.

Żona z miłości, — mówi mędrzec drugi,  
Jest to co prawda także głupstwo setne,  
Lecz mu nie braknie tej jednej zasługi,  
Że jest wysoce piękne i szlachetne.

Żona z posagiem, mówi mędrzec trzeci,  
(A twierdzeń swoich dowiódł bardzo ślicznie),  
Zwłaszcza jeżeli nie ma wiele dzieci,  
Godna pochwały jest ekonomicznie.

Bo choć jest szpetna, co się często zdarza,  
Choć do niej wzdycha wielu gołych głupców,  
Jednak bogactwa krajowi przysparza,  
Wydając na świat już gotowych kupców.

A chociaż dziwnie człekowi się zdaje,  
Gdy w tym kierunku pogląd dalej pójdzie,  
Mając na względzie ludzkie obyczaje,  
Żona z posagiem jeszcze z biedy ujdzie.

Ale, jak dalej, mówi mędrzec szczerzy,  
Znajdzie się jaki głuptaszek przeciętny,  
Co w ożenieniu chce szukać kariery,  
To czyn popełnia już co najmniej wstrętny.

A jednak przecież są i tacy gapie,  
Z których nie jeden, jak pijak za trunkiem,  
Goni za szczęściem i niewiastę łapie,  
Z jakąś protekcją albo ze stosunkiem.

I jako mumja bezwładny i blady,  
Przy ciepłym piecu grzeje się i leży,  
A żona lata i szuka posady,  
I póty wszędzie białe ząbki szczerzy,

Póty się śmieje, póty ręce ściska,  
Póty wojuje wdzięków swoich władzę  
Dopóki *dla niej*, poczcwi ludziska,  
Dobrej posady mężowi nie dadzą.

. . . . .

Sens, czyli morał, przez tych słów zawilość,  
Wychodzi jasno, jako prawda, nagi,  
Macie się żenić, — żencie się przez miłość,  
W ostatnim razie nawet przez posagi.

Lecz o protekcji i dowodzić nie trza,  
Jako jest zwykle brzydka i niechlubna;  
Przeżoż się tego strzeżćie jak powietrza,  
Wy wszyscy razem i kaźdy z osóbną,

Bo choć dla wielu będzie to subjekcja,  
Jednak otwarcie rzeknę między nami,  
Że tam gdzie żona trudni się protekcją,  
Imci małżonek szczyci się rogami.



#### PANOWIE DYGAŁSCY.



Dygalski kaźdy, może zająć wysoko  
I pusty mieszek może nabić wnet,  
Bo przy psim wężu ma niezwykle oko,  
I elastyczny bardzo miękki grzbiet.

Dygalski z kaźdym wychodzi na czysto,  
Bo ma swój własny i wygodny plan,  
Więc z zachowawcą jest konserwatystą,  
A z liberałem, drugi Louis Blanc.

W życiu wygodnem nic go nie utrudnia,  
I nigdy fałszu go nie zdradzi cień,  
Z dewotką pacierz klepie do południa,  
A z ateuszem bluźni cały dzień.

Dla starej baby będzie znosił plotki,  
Gotów całować psiaki zwiędłych dziew,  
A gdy się znajdzie w salonie kokotki,  
Jest tak swobodny jak paryzki lew.

Strojny jak z igły, zawsze wygolony,  
(Już to szczególnie przywykł dbać o strój)  
Kłania się wszystkim, pyta na wsze strony:  
„Jakże się miewa pan dobrodziej mój?”

Jakże małżonka i drogie gołąbki,  
Czy zawsze śliczne? — Istny obraz róż! —  
Czy Lolusiowi wyrznęły się ząbki?  
Czy w kamienicy zawsze ten sam stróż?

I tak się pyta i kręci jak fryga,  
I przed lokajem nawet szyję gnie,  
Na wszystkie strony czapkuje i dyga,  
Za to ma wszystko, czego tylko chce.

Wybornie wiedzie swoje interesa,  
Bo trafi zawsze jak nie tu to tam,  
Zna wszystkich radców, każdego prezesa,  
Woźnemu do chrztu trzymał dziecko sam.

Ztąd ród Dygalskich jak trawa o wiosnie,  
Nadzwyczaj prędko i cichutko — sza!  
Ciągłe się wznosi i kwitnie i rośnie,  
Bo szyję bardzo elastyczną ma.

Mości Dygalscy! powiem prawdę szczerą,  
Choć już jesteście u fortuny bram,  
Każdy was jednak uważa za zero,  
Bowiem godności braknie wszystkim wam.



## NÓŻKOWABKI.



W ogródeczku co się zowie,  
    Jak się zwał król Sas,  
Co dzień panie i panowie  
    Przepędzają czas.  
Całe lato emeryci,  
    Gdy ich w nogach drze,  
Choć się każdy zdrowiem szcyci,  
    Grzeją kości swe.  
I sodówki, — owe damy,  
    Co mróz w kątach krył,  
Brudne łapki dla reklamy  
    Myją z całych sił.  
Nawet łabędź, dumny kształtem,  
    Na sadzawce pan!  
Bez zaręczyn, pragnie gwałtem,  
    Wejść w małżeński stan.  
Słowem, świat się rozplómienia  
    Słyszac wiosny grę  
I przeróżne dziś stworzenia  
    Wszędzie wabią się.

Nic dziwnego, — wszak do pary  
    Wszystkie rzeczy są,  
Niechaj zatem wróbel szary  
    Wabi samkę swą.  
Niech trznadlica żółta w dziobie,  
    Wabi trznadla też,  
I niech nawet wabi sobie  
    Samiczkę swą jeź.  
Lecz dla czego pani żona  
    Której ufa mąż,  
Gdy samopas jest puszczone,  
    Wabi innych wciąż?  
Ach doprawdy, ślinka płynie  
    I aż kipi krew,  
Gdy się patrzy na boginie  
    Rozparte wśród drzew.  
Nie jedna z nich *bez zamiaru*,  
    Siedząc sobie wznak,  
Gdy dostrzeże mężczyzn paru,  
    Nóżki wznosi tak!  
Że ci panie, jak się rzekło,  
    Piękne kształty te,  
Rozbudzają w nerwach piekło,  
    Aż się szaleć chce.  
Wiem, że pewnie, moje panie  
    Wykrzykniecie: — „Ech!  
„A cóż złego nam się stanie,  
    „Czyż to taki grzech,  
„Że uczciwa białogłowa,  
    „Korzystając z lat,

„Zgrabnych nówek swych nie chowa  
„Gdy się patrzy świat?  
„Niech no tylko u tej mety  
„Każda wstrzyma się,  
„A z pewnością nikt kobiety,  
„Nie osądzi źle.“  
Ba, w tem właśnie sęk spoczywa  
I źródło wszech wiedz,  
Że kobieta, choć uczciwa,  
Powinna się strzedz,  
By zgrabniutki bucik mały,  
Zdrowia srogi wróg,  
Nie obudzał wielkiej chwały  
Dla jej pięknych nóg,  
Bo na stromej pochyłości  
Co świat cnotą zwie,  
Bardzo wiele już jejmości  
Przewróciło się.  
Niech więc z tego każda duszka,  
Wycisnie ten sok:  
Że od nówek do serduszka,  
Tylko jeden skok.



## DWUNOŻNE HJENY.



Gdyby mi przyszło zrobić wybór między  
Hjeną dwunożną a hjeną z pustyni,



Z wszelką pewnością wybrałbym czempredź  
Taką co w grobach spustoszenie czyni.  
Bo hjena dzika, przed ludźmi ucieka  
I tylko w nocy plądrują te harpje,  
A hjena swojska, żywego człowieka,  
Zwyklę w dzień biały na kawałki szarpie.

Niech tylko młodzian, pięknie utuczony  
Fortuną przodków, otworzy mieszkanie  
I niech ogłosi na wsze świata strony,  
Że w jego domu dobrze jeść dostanie,  
W tej chwili zewsząd dwunożne zwierzęta,  
Biegną tam na żer od samego rana,  
I póty każde o miejscu pamięta,  
Póki nie pożrą biednego młodziana.

Każda z tych bestji, wymyśla przysmaki  
Nieznane nawet w naszym dobrem mieście,  
Lecz mniejsza o to — choć przysmaczek taki  
Kosztuje często rubli sto lub dwieście,  
Młodzian, by podnieść honor swego domu,  
Szle telegramy aż za morskie kraje,  
Nie mogąc bowiem odmawiać nikomu,  
Młodzian każdemu co kto każe daje.

Za przysmakami idą drogie wina,  
Przy winie wszyscy bawią się jak dzieci  
I nieraz gdy się orgja znów zaczyna,  
Słonko już dawno biednym ludziom świeci.

Toż to dopiero widok jest ciekawy  
I nabyć można śmiechu zapas spory,  
Gdy taka hjena z bezsennej zabawy,  
Powraca chyłkiem do swej własnej nory.

Spotkawszy kogo ze znajomych grona,  
Chociażby nawet deszcz padał jak z cebra,  
Hjena niby to ledwie przebudzona,  
Mówi, że wyszła przeciągnąć swe żebra.  
Nazajutrz, czyli w godzin trzy lub cztery,  
Młodzian znużony nocnem bombłowaniem,  
Już ma znów hjenę, którą w sposób szczery  
Potrzeba przyjąć kosztownem śniadaniem.

I tak codziennie idąc po tej drodze,  
Bestje te chyba zmówiwszy się z biesem,  
Póty się ciągle obżerają srodze,  
Póki młodziana nie pożrą z kretesem.  
Gdyby więc przyszło zrobić wybór między  
Hjeną dwunożną a hjeną z pustyni,  
Z wielką pewnością wybrałbym czempredżę.  
Taką co w grobach spustoszenie czyni.



## W POWOZIE ŻONY.



Jeśli kto chciałby zamknąć mnie skrycie,  
Lub dać mi powóz tak wyświeżony,

Jak kwiat co ledwie rozpoczął życie,  
Chętnie bym wybrał kąć zakurzony,  
Byle nie siedzieć na aksamicie,

W powozie żony.

Piękna historia, — gdy po obiedzie,  
Chcąc się przejechać w zamiejskie strony,  
Już zapomniawszy o dawnej biedzie,  
Słyszysz jak ludek rozochocony  
Mówi o tobie: — „Patrzcie jak jedzie,

W powozie żony.“

Och, och, — zaiste, gdy tak ciekawie,  
Patrzą na ciebie, jak na psa wrony,  
Pewnie byś wtenczas, choć jesteś w prawie,  
Wyrzekł się prawa do tej mamony,  
Byle nie siedzieć na miękkiej ławie,

W powozie żony.

O nie — aniołku, — taki mądrała,  
Niech ze swej pracy zbiera dziś plony, —  
Więc gdy ci twoja żona pozwala  
I gdyś osiągnął cel upragniony  
Musisz do śmierci siedzieć jak lala,

W powozie żony.

Wszak sam wzdychałeś do tej słodyczy,  
Czemuż więc teraz wciąż zawstydzony,  
Niby na twardej żołnierskiej pryczy,  
Kręcisz się ciągle na wszystkie strony

I nie rad jesteś ze swej zdobyczy,  
W powozie żony?

Aha — rozumiem, — a i ty wzajem  
Pojmujesz pewnie twój krok szalony,  
Że życie nigdy nie będzie rajem,  
Temu co pracą mocno znudzony,  
Został dla chleba pierwszym lokajem,  
W powozie żony.

Mówcie więc sobie co sami chcecie  
I wychwalajcie na różne tony,  
Miękkie siedzenia w pysznej karecie,  
A ja powiadam wciąż niewzruszony,  
Że to najtwardsze miejsce na świecie,  
W powozie żony.



OJ! NIE TACY BYLI, A DJABLI ICH WZIĘLI.



Ach doprawdy, serce aż skacze z radości,  
Widząc jak przy piątku albo przy niedzieli,  
Ludziska się bawią w swojej naiwności,  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Kajtuś co ma bagien całych włók aż dwieście,  
Za tysiączek rubli dał kolczyki Peli,

O tym podarunku mówią w całym mieście!  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Kubuś Wiercipięcki, podstarzała lala,  
Chcąc zdobyć serduszko pewnej madmozeli,  
Banknotami przy niej cygara zapala.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Jan wzięwszy po stryju rubli sto tysięcy,  
Sprawił sobie pałac nakształt karuzeli,  
W tym pałacu siedzi nic nie robiąc więcej.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Żółtobrody Iksik, baron na Polanie,  
Z radości, że wreszcie wyszedł z kurateli,  
Przyjaciółki kąpie w kosztownym szampanie.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Krzyś, któremu ciocia dogodzić się stara,  
Podchmieliwszy sobie wśród wesołych treli,  
Nie dalej jak wczoraj zerznął się w bakara.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Bibcio do Arabji jeździ sam po konie,  
Sam jak furman chodzi w długiej kamizeli  
I sam śpi przy koniach, bo to w dobrym tonie.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Na rozkazy Nepcia, przy drzwiach kasjer czeka,  
Nie chcąc bowiem brudzić swych paluszków bieli,

Nepuś do pieniędzy ma swego człowieka.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Kakuś, choć go dobrze lichwiarze już skubli,  
By nie zrobić wstydu świetnej paranteli,  
Urządził śniadanie za dziewięćset rubli.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*

Sens moralny zatem, taki się ztąd kręci,  
Że kto nad stan żyje, temu przy niedzieli,  
Jeszcze raz powtórzyć warto dla pamięci.  
*Oj, nie tacy byli, a djabli ich wzięli.*



## HRABIEWIE SAMOZWAŃCY.



No — to już istny nonsens jest bez treści  
I człowiekowi aż się robi źle!  
Gdy byle facet od siedmiu boleści,  
Ni ztąd, ni zowąd, hrabią zostać chce.

. . . . .

Doprawdy Lolku, to się tak niegodzi,  
Jeśli chcesz, — kłamstwa dowiodę ci wnet,  
Bo będąc razem w pierwszej klasie w Łodzi,  
Twoją rodzinę, znam od *a* do *zet*.  
Ojciec twój wtenczas mierzył bruzdy w polu,  
Ty byłeś sobie całą duszą nasz,

Trudno mi zatem, pojąć mój Karolu,  
Dla czego dzisiaj dziewięć pałek masz?  
A choć hrabiowie nosami ci kręcą  
A szlachta z tobą już przestała żyć,  
Ty, z zawziętością prawdziwie bydłęcą,  
Kut ki kut pragniesz panem hrabią być?

. . . . .  
Albo ty Janku! Powiedz mi otwarcie,  
Zkąd twoje hrabstwo wyszło na jaw dziś  
I z jakiej racji, na *wizytnej karcie*,  
Tak się nazywasz jak pan hrabia Zdziś?  
Przecież twój papka, co z wyszynku krocie  
Zamknąwszy oczy, pozostawił ci,  
Nie myśląc wcale o hrabskiej pozłocie,  
Przez całe życie pisał się przez *i*.  
Choćbyś więc teraz nawet na łbie stawał,  
Dodając do *i* niepotrzebne *e*,  
Nikt się z pewnością nie da wziąć na kawał,  
Bo ktoś ty taki, każdy o tem wie.  
Nic nie pomogą pyszne twoje tony,  
I do dzieł sztuki niby wielki gust,  
Nic nie pomoże głosik wypieszczony  
Lub ironiczne wykrzywianie ust.  
Na nic się nie zdał w twym herbie Białozór,  
Którego gwałtem chcesz w pęciny skuć,  
Gdyż w twem nazwisku, hrabiowskiem na pozór,  
O dziesięć kroków, jeszcze wódkę czuć.

. . . . .  
Po co ta szopka, kiedy wszyscy wiedzą  
Z jakiej cebuli zrodziła się nać,

I chyba tylko po za kraju miedzą,  
Jeszcze hrabiami możecie się zwać.  
Tu, ludek nie jest już tak bardzo czuły,  
Już oględności nauczył go czas,  
A za nieprawnie zdobyte tytuły,  
Do ciasnej ciupy mogą wsadzić was.  
Idąc więc drogą chrześcijańskiej miłości,  
Radzę, porzućcie ten nieznośny kłam,  
Bo owe wszystkie fałszywe godności,  
Zamiast szacunku, dają wzgardę wam.



## ŻYWI WISIELCY.



Nie trwóż się piękna czytelniczko nasza,  
Oczu habrowych nie odwróć ze wstrętem,  
Niech cię ten tytuł bardzo nie przestrasza,  
Choć wypisany czarnym atramentem  
Na to ażeby w Rypinie i w Kielcach  
Wiedziała ludzkość o żywych wisielcach.

Nie wiszą-ć oni na suchej gałęzi,  
(Jak to z miłości samobójcy robią)  
Ni twardy powróż gardła im nie więzi,  
Ani im kruki policzków nie dziobią,  
Chodzą pò świecie — wesołością dyszą,  
Jedzą i piją — a jednakże... wiszą.



I to chciej wiedzieć, panienko dorodna,  
Chociaż cię taka sytuacja dziwi,  
Że ci wisielcy są nawet szczęśliwi,  
A ich pozycja dobra i wygodna.  
I to też prawda — jak dwa a dwa cztery,  
Że zawieszeni weszli w wyższe sfery.

W tych wyższych sferach jak powietrzne ptaszki,  
Bujają sobie — nie orzą ni sieją,  
Skrzeczają jak sroki dla pańskiej igraszki  
I sami z siebie częstokroć się śmieją.  
Udają błazna, małpę et cetera,  
Aby się wyższa ubawiła sfera.

Taki wisielc nie jest człowiek głupi,  
Tylko mu czoło trochę się wytarło,  
Ma wyparzone co się zowie gardło,  
A choć się na nim pański humor skrupi,  
On i to zniesie układnie i grzecznie,  
A potem znowu uśmiecha się wiecznie.

Bo co mu złego? On przy jasnym panu  
Wisi jak kutas u tureckiej czapki,  
A choć ma kłopot ex re tego stanu,  
Jeśli go zrzucą — upadnie na łapki,  
Jeśli go popchną — usunie się zręcznie,  
Jeśli co dadzą — podziękuje wdzięcznie.

Wprawdzie jest *trochę* traktowanym z góry,  
I byle fagas nawet z niego szydzi,

Lecz *za to* z panem siada do tilbury  
I zamrożoną flaszkę często widzi  
I nie pracuje jak ci ludzie cisi,  
Bowiem przy panu i to jasnym wisi.

I tak się ciągle buja i tak dynda  
I tak się włóczy jak cieleń za krową,  
Jako za parą szkap rozbita drynda,  
Lub jak pijany majster za szewcową,  
A za kieliszek i smaczne pieczenie,  
Różne usługi spełnia uniżenie.

I tak wisielec wlaższy w wyższe sfery,  
Żyje jak jaki w cieplarni ananas,  
Lecz sens moralny, jak dwa a dwa cztery,  
Jest tutaj jasny i dla was i dla nas,  
Że taki, chociaż żyje sobie cudnie,  
Zawsze wisielcem zowie się paskudnie.



## NIECZASOWI MĘŻOWIE.



Gdybym był panną co do męża wzdycha,  
Przy oświadczynach, jak szanuję was!  
Każdego chłopca pytałbym się z cicha:  
„Przepraszam pana, — a czy pan ma czas?”  
O tak, wierzej mi czytelniku luby,  
Mąż, który czasem nie rozrządza swym,

Niech lepiej nigdy nie wstępuje w śluby,  
Bo to dla żony bardzo lichy rym.

Ledwie zjadł obiad taki nieczasowiec,  
Zamiast pomówić z żoną parę słów,  
On zaraz przez próg, jak wilk przez manowiec,  
Do swych zatrudnień biegnie co tchu znów!  
A gdy wieczorem żonka pragnie trochę,  
Przechadzką wzbudzić do herbatki smak,  
On się nie zgadza na zabawy płocze,  
Bo mu niestety, jeszcze czasu brak.  
I tak z dnia na dzień, w pracowitym szale,  
Biedny męczennik snując życia nić,  
Przed młodą żonką rozwodzi swe żale,  
Że nie ma czasu nawet jeść i pić.

Czasu co prawda, znaleźli by wiele,  
Ci wielcy ludzie do maluczkich dzieł,  
Lecz trudna rada, kto ma wielkie cele,  
Ten, jak koń dziki musi brać na kiel.  
I musi nawet pokazać przed żoną,  
Że na swych barkach dźwiga wielki gmach,  
Gdy pisze jaką rozprawę uczoną,  
Albo referat zawiły aż strach!  
Taki od zasad nie ustąpi piędzi,  
Choć na próżniactwie nieraz spędza dnie,  
A młoda żonka tymczasem się wędzi,  
I wielkość męża z całej duszy klnie.  
Co wolno małym — wielkim nie wypada,  
Więc gdy się żonki małych bawią wciąż,

Żona wielkiego, jak wstrętna szkarada,  
Kryje się w domu, bo tak każe mąż,  
Mąż, który jako wielkiej wagi człowiek,  
Kryjąc się także jak paproci kwiat,  
Aż do zamknięcia swoich wielkich powiek,  
Nieczasowością pragnie darzyć świat.

O świat nam wcale nie chodzi w tej sprawie,  
Lecz gdy się w domu już wytworzy kwas,  
Znudzone żonki na wsi, czy w Warszawie,  
Rozrywa zwykle taki co ma czas.  
Bo kto się tylko nie chował wśród lasu,  
Ten z kronik starych musi wiedzieć to:  
Że gdy Sokrates nie miał nigdy czasu,  
Pani Xantypa wodą zlała go.  
I tym sposobem, jak prawda wymaga,  
Zrodził się pewnik, który mówi wciąż:  
Że czas w małżeństwie to wielka powaga,  
Której ulegać winien każdy mąż.



## PANIE POZWALAJSKIE.



Żyć i umierać wśród tych kobiet grona,  
To ci dopiero są magnetyzerki  
Do których medjum Lucylla uśpiona,  
Tak się ma jak śledź do soczystej szperki,

Sami bo tylko powiedzcie otwarcie,  
Czy jest przyjemność w takim buduarze,  
W którym pruderja nie zna się na żarcie,  
I z każdym słowem rachować się każe?

Ho, ho, u femin, o których tu mowa,  
Nic podobnego nigdy was nie spotka;  
Z myślą swobodną nikt się tam nie chowa,  
Dowcip się snuje jako nitka z motka,  
A gospodyni, bardzo zacna dama,  
Choć zwykle dobrze już podżyła lala,  
Wesołym gościom dopomaga sama  
I wszystko mówić każdemu pozwala.

Z początku zawsze delikatna listwa,  
Pokrywa szpary w swobodnej rozmowie,  
Bo to jest przecie jejmość z towarzystwa,  
I całą gębą pani co się zowie.  
Po sutym jednak i smacznym obiedzie,  
Wnet występują dwuznaczniki harde,  
*Bon-ton* do kąta na spoczynek jedzie,  
Salon się zmienia w żeńską kordegardę,  
A babuleńki już rozgrzane trochę,  
Gdy się otoczą starych chłopów zgrają,  
Bez względu na wiek — jak kamelje płocze,  
Już sobie wszystko mówić pozwalają.

Cóż bo to szkodzi, myśli każda w duszy,  
W miłej rozmowie grzech nie leży na dnie,

Przecież i złodziej jeśli nic nie ruszy,  
Mową nikomu nigdy nic nie skradnie.  
Bawiąc się zatem swobodną rozmową  
Pod czujnem okiem łaskawej gosposi,  
Choć o nas w mieście mówią to i owo,  
Żadna mężowi krzywdy nie przynosi.

No tak, to prawda, mówiąc między nami,  
Ja sam w gawędce nie lubię kłopotów,  
I sam najchętniej rozmawiałbym z wami,  
Bo do rozmowy jestem zawsze gotów:  
Lecz moje miłe i rozmowne panie,  
Ceniąc w kobietach rozwój umysłowy,  
Boleję nad tym komu się dostanie  
Żonka, co lubi podobne rozmowy.  
Stara to bowiem, niemylna zasada,  
Na której mocy trzeba mieć na względzie:  
Że gdy interes dobrze się obgada,  
Skutek z pewnością z interesu będzie.



## NIEZAWODNE LEKI.

(Rozdział z medycyny praktycznej).



Żył przed laty,  
Piotr bogaty,  
Miljonowy mąż;

Lecz choroby  
Każdej doby,  
Trafiły go wciąż.  
A Piotrowa,  
Chociaż zdrowa  
Z pozoru jak rzepa;  
Wciąż piszczała,  
Bo cierpiała  
Jakieś coś — je ne sais pas.  
Doktór Jugo,  
Bardzo długo  
Miał z nich spory zysk;  
I u Piotrów,  
Jak u kmostrów,  
Słyszał dziatek pisk.  
Co dzień wracał,  
Pulsa macał,  
Zapisywał leki...  
A znów w lecie  
Jak to wiecie,  
Słał gdzieś w kraj daleki:  
Do Karlsbadu,  
Marjenbadu  
Do Ems, lub do Vichy,  
Bo Piotrowa  
Jest niezdrowa,  
A Piotr ledwie dyszy...

. . . . .

Koło drogi  
Jan ubogi  
Miał swoją chałupę;  
Pług i bronę,  
Dobłą żonę  
I dzieciaków kupę.  
Czy to upał  
Głowę łupał,  
Czy mróz ścisnął srogi;  
Nie folgował  
Lecz pracował  
W chatce swej ubogiej.  
Żona Jana,  
Chociaż znana  
Z pięknej paranteli;  
Nie minuje  
I pracuje,  
Znoje męża dzieli.  
Bo przy trudzie  
Zdrowi ludzie  
Żyli bez porady,  
I nie znali  
Jodi-Kali,  
Ani też Hunjady.

.....

Lecz któż zgadnie,  
Co tkwi zradnie  
W losu fanaberji?



Jan ubogi  
Z po nad drogi  
Wygrał na loterji.  
A bogaty  
Piotr przed laty,  
Co był gdzieś prezesem;  
Nim rok minął,  
Handel zwinął  
I przepadł z kretesem.  
Lecz to mało,  
Bo się stało  
Jakieś co — je ne sais pas.  
Jestem świadkiem,  
Że z upadkiem  
Piotr jest zdrów jak rzepa.  
Jego nerwy  
Są bez przerwy  
Krzepkie, zdrowe, mocne;  
Choć dla chleba  
Było trzeba  
Podjąć prace nocne.  
Lecz Jan za to,  
Znów co lato  
Do wód jeździć musi:  
Bo go natarł  
Taki katar,  
Że ledwie nie zdusi.  
I Janową  
W noc lipcową  
Trapi jakaś zmora;

Więc to powód,  
Żeby do wód  
Pojechała chora...  
Państwo kwęczą  
Dzieci jęczą  
Po kolacji — dziwo!  
A pan Jugo,  
Długo — długo,  
Świetne zbierał żniwo.

.....  
Bez ekspensu  
Mnóstwo sensu  
Macie w tej powieści;  
Że gdy grosze,  
Są potrosze,  
Człek się nadto pieści.  
Wiatr po świecie  
Goni w lecie  
I choć zdrów jak rzepa,  
W każdej dobie  
Czuje w sobie  
Jakieś coś — je nè sais pas.



NA BOKU.



„Nie miej że człeczce, ty, miary dwojakiej,  
Czytałem w jakimś proroku,

Lecz świat nie idzie w tej maksymy ślady  
I jedną miarę miewa dla parady  
A drugą — mierzy... na boku!

Porządny każdy pragnie być od frontu,  
Można to spotkać co kroku,  
Z wierzchu jest czysty, lecz gdy zrobi głupstwo  
Albo maleńkie z sumieniem przekupstwo,  
Czyni to zwykle — na boku!

Mąż, który ludziom sypie wór morałów  
(Jak chłop koniowi obroku)  
Lubi posłuchać wesołej fanfary,  
Ustami dotknąć zakazanej czary,  
Ale w sekrecie — na boku!

A chociaż rzuca gromy Jowiszowe  
W wielkich oburzeń podskoku,  
Że ludzkie drogi są niesprawiedliwe,  
Sam jednak dąży na te ścieżki krzywe,  
Lecz manowcami — na boku!

Stary pan radca, co jak trup wygląda  
Przy wiernej żonie, w szlafroku,  
Mizdrzy się bardzo, ubrany starannie,  
Przy podejrzanej konduity pannie,  
Której pomaga — na boku!

Znana wam jejmość, co się bije w piersi  
I ciężko wzdycha z łzą w oku,

Chociaż się niby pokus czarta stracha,  
Ma jednak pono przystojnego gacha,  
Ale w sekrecie — na boku!

Panienka młoda — naiwna tak wielce,  
Jako niemowlę o roku,  
Ma jednak jakieś ukryte tajniki  
I wypisuje różowe liściki,  
W ciasnym kąciku — na boku!

Mąż tak poważny, że w nim surowości  
I gniewu więcej niż w smoku,  
Bywa rozkosznym, gdy się rozweseli  
I gdy się z swoją gołąbeczką dzieli  
Słodką trucizną — na boku!

Ale najwyższy komizm się znajduje,  
W surowych sędziów wyroku,  
Którzy lub które, robiąc minę sępią,  
Z ogromną zgrozą wszystko to potępią,  
Co sami mają — na boku!

My nie jesteśmy tak strasznie surowi,  
Słów nie wylejem potoku,  
Tylko łagodnie prosim z uniżeniem,  
Nie chcecie w drugich uderzać kamieniem,  
Gdy macie sami — na boku!



## NASI POCZCIWI.



...A drugi będzie głupi kolosalnie,  
A inny zasię mądry aż do zbytku,  
A trzeci czasem to ci bąka palnie,  
Że ni pociechy z niego ni pożytku.  
Ale to wszystko nikogo nie dziwi...  
Mama opinja jest strasznie łaskawą,  
Każdego chwali i bije mu brawo,  
Bo... to są ludzie na podziw poczciwi.

Jasio majątek utracił po dziadku  
(Dawno miał sprawy z dziadka arendarzem)  
I puścił dużo pieniędzy w półświatku,  
A dziś próżniakiem jest i pieczeniarem...  
Jednak mu ludzie rękę dają chętnie,  
Bo to jest chłopiec bardzo nieszczęśliwy  
I powiadają o nim wszyscy smętnie,  
— Prawda, utracjusz, lecz chłopak uczciwy.

Franuś zaś zamiast by się uczyć prawa  
Udaje księcia, lub co najmniej hrabię,  
Fortuna była dla niego łaskawa,  
Bowiem honory świadczył starej babie, —  
I świat go kocha — krytyki nie chciwy —  
Więc sympatyczny dał mu też pseudonim,  
I kiedy czasem coś się zgada o nim  
To mówi — łobuz, lecz w gruncie poczciwy...

Michał miał handel, nagle wszystko stracił,  
Przez niedołęztwo, czy przez bałamuctwo,  
Urządził zręcznie podstępne bankructwo  
I wierzycielom grosz za rubla płacił.  
Świat go jednakże szanuje i kocha,  
Choć o nim dziwne powiadają dziwy,  
Świat go szanuje — a opinja płocha,  
Powiada o nim: to człowiek uczciwy...

Miał pan Telesfor kapitał sierocy,  
Jak o tem w aktach znajdują się ślady,  
Lecz mu złodzieje to *ukradli* w nocy  
I czworo sierot wyprawił na dziady.  
O to nie gniewa się świat pobłażliwy,  
I opowiada w szlachetnym zapale:  
— Prawda, że miewał kiedyś swoje ale  
Lecz w gruncie, człowiek to bardzo poczciwy.

Symforjan żony posażek roztrwonił,  
Biedną kobietę swą unieszczęśliwił,  
Później ją z domu sromotnie wygonił  
Na ciężką nędzę, a świat się nie dziwił;  
I był dla niego bardzo miłościwy,  
Bo mówił tylko, że tam kiedyś pono  
Miał pan Symforjan ambarasy z żoną,  
Lecz w gruncie rzeczy — to człowiek uczciwy...

I tak we wszystkim na lewo i prawo;  
Ludzie szanownym tytułem szafują,

I łotrów łatwo rehabilitują,  
Mama opinja jest bardzo łaskawą,  
Już nam ta łaska stoi w gardle kością...  
Lecz cóż możemy w tym razie podolać?  
Ha, cóż innego, jak tylko zawołać:  
— Niech djabli porwą z taką uczciwością!



## PAN I PAN.



Kiedym raz do Rypina, prosto przez Bodzanów,  
Pędził na skrzydłach pary ku rodzinnej stronie,  
Widziałem wśród podróźnych, dwóch bogatych  
[panów,  
Tak dobrze jako widzę własne moje dłonie.  
Zmięszany razem z *plebsem* w wędrowników  
[masie,  
Patrzałem na tych jasnych uważnie czas długi...  
Jeden z nich siedział skromnie z nami w drugiej  
[klasie;  
Na aksamitach w pierwszej — rozpierał się drugi.  
Pierwszy siedział spokojnie z miną przyzwoitą  
I rozmawiał bez blagi jak śmiertelnik zwykły,  
Drugi swych satelitów otoczony switą,  
Patrzył jak Jowisz z góry na ten naród nikły,  
I wodząc dumnym okiem po podróźnych tłumie,  
Jak gdyby ziemię wszystką miał za swoją wła-  
[sność,

Zdawał się mówić — ludzie zważcie w swym  
[rozumie  
Jaki was zaszczyt spotkał — jedzie z wami ja-  
[sność!

Ten jedzie, który mógłby, jeżeli ochota,  
Kupić dla siebie wszystkie rozkoszy powaby,  
A wystawiwszy pałac z cedrów i ze złota  
Wystąpić jak Salomon do królowej Saby...  
Obejmując świat okiem zimnem jak puginał,  
Jak Baal w nowożytnym pojmovany duchu,  
Głowę podnosił w górę i brzusek wypinał,  
Bo gruby złoty łańcuch wisiał na tym brzuchu.  
I swą maluczką postać nasrożywszy srodze,  
Zdawało się, że mówi: patrz tłumie bydlęcy!  
Jakie cię wielkie szczęście spotkało na drodze,  
W jednym pociągu z tobą jedzie król tysięcy.

. . . . .

Pierwszy nie patrzył wcale tak dumnie i hardo,  
Chociaż mógłby drugiego kupić wraz z łańcu-  
[chem,

Na ławie klasy drugiej nie było mu twardo,  
Nie rozpierał powietrza wyłożonym brzuchem,  
Nie wystawiał na pokaz swej świetnej postaci,  
Nie błyskał pierścieniami cięższymi od podków,  
Ale wszystkich traktował godnie jak współbraci,  
I choć miał po za sobą długi szereg przodków,  
I mitry i pieczęcie i wielkie buławy,  
Patrząc na biednych ludzi, nie przymrużał po-  
[wiek,



I na dnie swej szkatuły nie szukając sławy,  
Siedział cicho w kąciku, jak zwyczajny człowiek.

. . . . .

A teraz gdy przed sobą mamy już tor gładki  
I gdy wam już nie obce magnaterji dziwy,  
Może kto z was rozwiąże węzeł tej zagadki,  
Który z owych dwóch jawnych jest magnat praw-  
[dziwy?

Czy ten, co się nie pyszniąc swych przodków za-  
[sługą

I miljonami swemi, jechał klasą drugą?  
Czy ten, co gdy bogactwem popisać się pragnie,  
Wszędzie się tak nadyma, jak żaba na bagnie?



## HANDEL STARZYŃĄ.

(Fantazja brukowa à propos pewnego pod *pożyczonem* nazwiskiem  
założonego sklepiku).



Piórkiem skrobać, to dalipan,  
Nie wielka pociecha,  
Bo choć człowiek jak tulipan  
Ciągłe się uśmiecha,  
Blizka starość widmem straszny,  
Do drzwi puka bieda,  
I nie długo łyżki kaszy  
Nikt na obiad nie da.

Myśląc zatem dziś o sobie,  
Porzucam mą rolę,  
Niech tam kto chce piórkiem skrobie,  
Ja handlować wolę.  
Na początek mój handelek  
Nie jest wprawdzie żyzny,  
Bo mam ledwie pięć butelek  
I trochę starzyzny.  
Butelki po atramencie  
W rachunek nie idą,  
Lecz starzyzna *za to* święcie  
Będzie mą egidą.  
Na niej wkrótce mam nadzieję  
Zarobić miljony,  
I zawczasu już się śmieję,  
Jak żak rozbawiony.  
Bo gdy sklepik mój otworzę,  
Znajdę kupców sporo,  
Którzy chętnie i w pokorze,  
Towar mój zabiorą.  
Ot, już widzę jak się śpieszą  
Różni geszefciarze,  
I jak do mnie biegną rzeszą  
Słyszając o towarze.  
Każdy woła: — „Daj mi prędej  
„Jaknajstarsze szmaty  
„Nie poskąpię ci pieniędzy,  
„Wszak jestem bogaty!  
„Krocie leżą w mej komodzie,  
„Mam po uszy chleba,

„Lecz by geszeft mój był w modzie,  
„Nazwiska mi trzeba.“  
A i owszem, zacny panie,  
Mówię na to dumnie,  
Jeśli płacić jesteś w stanie,  
Znajdziesz wszystko u mnie,  
Znajdziesz nazwy, których wszędzie  
Nie mają na sprzedaż,  
Ale z handlu nic nie będzie  
Jeśli grubo nie dasz.  
Interesant mądry człowiek,  
Odpowiada: — „Proszę!“  
Nie zmrużywszy nawet powiek,  
Wydobywa grosze,  
A ja, choć żal serce ściska,  
Gdy zbieram mamonę,  
Wyprzedaję *fort* nazwiska  
Na handel złożone,  
I zdobywszy sobie wiarę  
W czyste me sumienie,  
Jużem sprzedał setek parę  
Po bajecznej cenie.  
Wiem, że może ktoś tam mruknie,  
„W tem jest szwindel na dnie,  
„Stroić kogoś w cudze suknie,  
„To bardzo nieładnie.“  
Ech! Baj, bajul“ rzeknę w duszy,  
Drwię sobie z waszeci,  
Już mnie teraz nic nie wzruszy  
I nic nie oszpeci,

Bo świat, co wciąż zysków szuka,  
Gdy mnie ujrzy w tłumie,  
Powie: — A to sprytna sztuka!  
„Ten handlować umie.“



### NIE CO — LECZ KTO.



„Co kraj, to obyczaj“ — powiada przysłowie,  
A przysłowia mamy za mądrości zdroj,  
Toż rzymianie, grecy, turcy i persowie,  
Mieli swoje prawa i obyczaj swój.  
I dziś włoch nie siądzie przy becce bawara,  
Ani szwab nie myśli makaronów gryźć,  
Słowianin nie głupi rzec się samowara,  
Turek kopcić będzie tytuniowy liść,  
„Lecz nie idzie o to, mili paratjanie,“  
Jak mówi z Psiej Wólki stary proboszcz zuch!  
Nie o tych zwyczajach mam wam rzec kazanie,  
Ale o niewinnych zaimeczkach dwóch.  
O tych dwóch zaimkach, co w potocznej mowie,  
Tak zazwyczaj często używane są,  
I zarazem chciałbym spytać was, panowie,  
Czemu nie mówicie nigdy *co* lecz *kto*?  
Choć zasady piękne macie za ozdobę,  
Subiektywność niby odrzucacie precz,  
Zawsze wam tak bardzo idzie o *osobę*,  
Że nie dbacie wielce o faktyczną rzecz.

Gdy w społecznych sprawach pomysł jest rzucony,  
A sprawy społeczne tak nam drogie są,  
Wnet powstają głosy z rozmaitej strony,  
— Kto to projektuje, kto się wyrwał, kto?  
A jeżeli jeszcze, jak to często bywa,  
Wnioskodawca nie zna co sympatji lep,  
To rzecz najuczciwsza, w pomyśle szczęśliwa,  
Zaledwie w zawiązku, zaraz bierze w łeb  
Bo publiczność czuła, względzików nie syta,  
Nie bada czy myśli zdrowe ziarna są,  
Dla niej to wystarcza skoro się zapyta,  
Kto jej taki pomysł wypowiedział, kto?  
A jeśli ów człowiek jest widziany mile  
I oklaskiwany przez tysiące rąk,  
To myśl swą utrzyma zawsze w swojej sile,  
Choćby była pusta jak dziecinny bąk.  
Publiczności zacna, co jak wieszczy piewca,  
Wyroki na prędcę ferujesz, jak z nut,  
Rzeknij, coć obchodzi osobistość szewca,  
Jeżeli dostaniesz doskonały but?  
U obcych się o to zbytecznie nie troszczą,  
Bo kwestję osoby odrzucają precz,  
Gdy myśl jest niedobra bez pardonu chłoszczą,  
Gdy zacna, to wezmą jako dobrą rzecz.  
Że u nas inaczej, tysiączne przykłady,  
W pamięci niedawnej jeszcze świeżo tkwią,  
A wszystko to z łaski tej głupiej zasady,  
Że wolimy pytać *kto* niżeli *co*?  
Nie chcąc zatem wchodzić na utartą drogę,  
Ani szczegółami zanadto was gryźć,

Przykładów na dzisiaj cytować nie mogę,  
Bo musiałbym znowu *ad personam* iść.  
To wam tylko szepnę, że burzyć nie sposób  
Uczciwych pomysłów, które wchodzą w czyn,  
Że nie ładnie w wszystkim badać kwestję osób  
I o każdy pomysł pytać — czyj to syn?  
Publiko więc miła, co jak wieszczy piewca  
Na prędcie wyroki ferujesz, jak z nut,  
Po co się masz czepiać do osoby szewca,  
Jeśli on ci robi doskonały but?



## ESTETYCZKI.



Pięknem jest piękno i sztuka zachwyca,  
Wie o tem dobrze caluteńki świat,  
Lecz nie pożywi chłopa ni szlachcica,  
Sam promień słońca albo wonny kwiat.  
Ani dzieciaków jego nie wychowa,  
Piękna gra światła i kolory farb,  
Ni jeść zgotuje dumka Szumanowa,  
Choć w niej harmonji jest prawdziwy skarb.  
Wdzięcznej poezji zwrotka wypieszczona  
Co wpada w uszy jak aniołów chór,  
Nie rzuci synom płaszców na ramiona,  
Ani uszyje sukienek dla cór!  
A jednak u nas, szanowne matrony,  
Co mają córek na wydaniu huk!

Kształcą je nie na matki, nie na żony,  
Ale na służki wyzwolonych sztuk.  
Więc od dzieciństwa, małeńka artystka,  
Blada jak kreda i cienka jak drut,  
Sztuce muzyki poświęcona wszystka,  
Cały dzień chodzi z wielką teką nut,  
I jak przystało na mamuni córę,  
Co zmarnowała w *tonach* młodość swą,  
Drobniutką rączką bębni w klawiaturę,  
Aż ją sąsiedzi co się zmieści klną!  
A inna znowuż ambicji nie syta,  
Gwałtem Matejce równą pragnie być,  
Z wielkim zapalem za paletę chwyta  
I maże płótno zamiast igłą szyć.  
Trzecia zazdroszcząc wielkim mistrzom sławy,  
Choć ją w rytmice ściga jakiś pech!  
Jako poetka pisze sonet krwawy,  
O białym kotku, co z miłości zdechł.  
Do arf eolskich drobny strojąc głosik,  
Zbiera woń kwiatów i kropelki ros  
I smaży z tego kwaśno-mdły bigosik,  
Z łatwych doń rymów dorobiwszy sos,  
I kwili smętnie jak ptak na gałęzi,  
Kiedy mu pióra dobrze zmoczy deszcz,  
Że materializm świat w swych szponach więzi,  
Że nikt nie słucha kiedy śpiewa wieszcz.  
I tak warszawski bruk nasz ukochany,  
Co prozie życia radby głosić zgon,  
Ma dyletantek rozliczne przemiany,  
Ale mu braknie na lekarstwo żon,

Bo *estetycki* gdy już mężów zdybia,  
Wnet drą w kawałki estetyki nić,  
I wpadłszy w dziwną odrętwiałość rybia,  
Same nie wiedzą jak i po co żyć?



## EKSPORT I IMPORT.



Zanim się czułym rozrzewnisz wierszykiem,  
Mężu we fraku i żono w spódnicy,  
Nie sądź, że jestem takim objeszczykiem,  
Co z mieczem w dłoni pilnuje granicy  
I strzeże, jako uzbrojony drabant,  
Aby żydkowie nie wieźli kontraband.

Inne na myśli mamy dziś granice,  
Które określa jasno „stan cywilny“  
A dzielnych mężów i ich połowice  
Tak opasuje jako kordon silny;  
Obydwóm stronom odmawiając racji  
Do przemykania i do defraudacji.

Wszelako mimo prawa surowości,  
Pan mąż niejeden, choć niemłody zbytnik!  
Tak postępuje względem swej jejmości,  
Jak doświadczony i szczwany przemytnik,  
A oszukując czujność połowicy,  
Serce na *eksport* ma dla zagranicy.



I dziwną nieraz sztukę w tem okaże,  
Na nic się nie zda baczenia podwójność,  
On zmyli ślady i oszuka straże,  
Uśpi zazdrości podejrzliwą czujność,  
I cichuteńko, choć z sercem wzburzonym,  
Umie się zręcznie znaleźć za kordonem.

Już to nie darmo, zacna mama Ewa,  
Co jest współczesny Adamom prababką,  
Na biedę świata zdjęła sama z drzewa  
Rzecz zakazaną, sławne rajskie jabłko,  
Którym nas wnuków wprowadziła na tor,  
Że każdy kwaśnych jabłek jest amator.

Ach, ach, dla jabłka, a takiego zwłaszcza,  
Co oprócz kwasu ma smak zakazania,  
Gotów jest każdy zdjąć z siebie pół płaszcza,  
Ostatni guzik sprzedać od ubrania,  
I tym sposobem to wcale nie błaga,  
Że przemykanie ogromnie się wzmacnia.

Napróżno strzegą oczy argusowe,  
Bo pan przemytnik mało zważa na to,  
Gdy mu szaleństwo jak gwóźdź wlezie w głowę,  
To defrauduje przez zimę i lato,  
I zamiast wiernym być swej połowicy,  
Serce na *eksport* ma dla zagranicy.

Z tego się rodzi myśl jasna jak słońce  
I wierzyć trzeba tej prawdzie bezsprzecznej,

Że każdy w świecie kij miewa dwa końce  
I miecz częstokroć bywa obosieczny,  
A mąż co *eksport* nosi pokryjomu,  
Zwykle z *importem* spotyka się w domu.



## CHUDE PANNY NA TŁUSTYCH SZTUKACH.



A, jak to dobrze panienki moje,  
    Żeście zmańdrały już przecie,  
I że rzuciwszy pruderji zwoje,  
    Na tłuste sztuki biegniecie.  
Teraz już mogę z wami otwarcie  
    Nie kryć się z niczem w gawędzie,  
Bo się z was każda pozna na żarcie  
    I już rumienić nie będzie.  
Z początku wprawdzie, nie jedna zmrúży  
    Niewinne jeszcze oczęta,  
I na podobę wstydlivej róży,  
    Buzia jest w pączek zwinięta,  
A gdy w teatrze starzy i młodzi  
    Biorą się z śmiechu za boki,  
Wy, nie pojmując o co rzecz chodzi?  
    Patrzycie niby w obłoki.  
Nie wielki jednak — mozolna praca —  
    Przynosi skutek w tej mierze,  
Bo gdy kto na was uwagę zwraca,  
    Ten przekonany jest szczerze,

Iż choć z was żadna ani się ruszy  
I obojętną udaje,  
Dwuznaczne słówka wpadają w uszy,  
Jak rozhukane ruczaje.  
O, nie żenujcie się dziewuleńki,  
Ja co mam błędów bez liku,  
Wiem, że obecnie akcent maleńki,  
Dodaje pannom pieprzyku.  
W pośród ogromnie praktycznych ludzi,  
Praktyczność w życiu się ceni,  
I żadna panna wstrętu nie budzi,  
Jeśli jest silną w kieszeni.  
Po co więc, na co ten wstyd dziewiczy,  
Gdy już jesteście na sztuce,  
Co najskromniejszą pannę wyćwiczy  
W potrzebnej życia nauce?  
O, tak aniołki, choć chude ciało  
Ma wygląd jeszcze nie zdrowy,  
Na tłustych sztukach kształćcie dziś śmiało  
Wasze serduszka i głowy.  
Tylko was proszę, piękne dziewice,  
Z wielkiej miłości dla sztuki,  
Nie chcecie czasem użyć w praktyce,  
Nabytej przez was nauki.  
Bo jeśli która męża dostanie,  
Mąż najzdolniejszy niestety!  
Już nic nauczyć nie byłby w stanie,  
Takiej uczonej kobiety.



## TYSIĄC PIĘĆSETNY PIERWSZY.



Wyraźnie w miejskiej statystyce piszą,  
Że w mieście tysiąc pięćset jest złodziei  
Znanych policji, którzy nocną ciszą  
Uzuchwaleni, broją jakby w kniei.  
Nam nie o zwykłych rzezimieszków chodzi  
I zamiar mamy dziś daleko szerszy,  
Nie mówić o tem co wyrabia złodziej,  
Ale co robi... *tysiąc pięćset pierwszy.*

Świat ten albowiem, to jest taka sztuka,  
Jak opowiadać nawykł pan Fulgenty,  
Że mądry zawsze głupiego oszuka,  
A mocny wlezie słabszemu na pięty.  
(Tu porównanie gwałtem się urywa),  
Bo pewnik zajmie osnowa dwóch wierszy,  
Że i mocniejszym i mądrzejszym bywa  
Na świecie zwykle... *tysiąc pięćset pierwszy.*

Na dowód spójrzmy choć na żart przed siebie,  
Jak pewien kupiec, fryzowana lala,  
Za dobry towar zły zawsze wygrzebie,  
A za najlepszy wszystkim go zachwala.  
Z pozoru kupiec w obejściu słodziutki,  
I nikt w grzecznościach nie jest nadeń szerszy,  
Lecz ci co znają tych grzecznostek skutki,  
Mówią, że on jest... *tysiąc pięćset pierwszy.*

Albo ten fircyk, który szwacze młodej,  
Dziewczynie żadnej zabaw, śmiechu, gwaru,  
Kłamie nikczemny, gdy daje dowody  
Swojego niby uczciwego żaru...  
Prawda, że winna szwaczka, jeśli wierzy,  
Złudzona czarem karmelkowych wierszy,  
Lecz o fircyku czyż głos się nie szerzy,  
Że to jest także... *tysiąc pięćset pierwszy?*

A czyliż lepszym jest z pod gwiazdy ciemnej  
Ten lichwiarz, który niby Łatka w Fredrze,  
Wabi młódź na lep rubelków przyjemny,  
Licząc, że młodych najprędzej obedrze?..  
Za groszem u nas idzie i znaczenie,  
Więc ma i lichwiarz krąg przyjaciół szerszy,  
Jednak choć jego obiady są w cenie  
Każdy wie, że to... *tysiąc pięćset pierwszy.*

Zwykłych złodziei zawsze koza czeka,  
Chociaż nad nimi adwokat łązy roni,  
Od *tysiąc pięćset pierwszego* człowieka,  
W rzadkich wypadkach tylko sąd obroni.  
Rzucam więc na dziś różnych kwestji mnóstwo  
A pragnę spytać się w sposób najszczerzy,  
Czem za serc kradzież lub sprytne oszustwo,  
Ma być karany *tysiąc pięćset pierwszy?*



## WYŻŁY SALONOWE.



Że panna nie jest tłustą kuropatwą,  
O tem wie każdy, co ma w ustach smak,  
Ale, że pannę można zwęszyć łatwo,  
Tej wiadomości nawet strzelcom brak,  
Bo gdyby o tem myśliwi wiedzieli,  
Że panny dzisiaj zwierzyną być chcą,  
To zamiast strzelać wróble przy niedzieli,  
Nie jeden szedłby, tam gdzie panny są.

Ba, właśnie cała sztuka w tem polega,  
By nie za każdą panną gonić w ślad,  
Nie każda bowiem pierwsza lepsza z brzega,  
Warta zachodu w skutek swoich wad.  
W tym celu zatem, jest dziś wyżłów sporo,  
Które wśród lśniących salonowych kniej,  
Młodą panienkę zaraz na węch biorą,  
Aby dokładnie zbadać wartość jej.

Niech no do miasta *zwierzyna przyleci*,  
Chcąc, jak to mówią, ustalić swój los,  
W tej chwili wyżel jeden, drugi, trzeci,  
Podnosi w górę delikatny nos  
I póty zewsząd wiadomość się zbiera,  
Dopóty kwestję studjują do dna,  
Aż się nareszcie wyda prawda szczerą,  
Jaki w istocie panna posag ma?

Gdy posag lichy, lub papa w kłopotcie,  
Oho, po wyźłach został tylko kurz,  
I choćby panna miała wdzięków krocie,  
Żadnego z wyźłów nie zobaczy już.  
Bo zamiast tropić skowronka pod miedzą,  
Wyżełki *lekko wystawiają* gdzieś  
Tłustą zwierzynę, o której już wiedzą,  
Że ma gotówkę lub intratną wieś.

Wyźły te więcej nie trudnią się niczem,  
Po co napróżno męczyć głowy swe,  
Kiedy, na pozór każdy jest paniczem,  
Co ma pieniędzy ile tylko chce?  
A że się pragnie ożenić bogato,  
No, to rzecz prosta i czysta jak szkło,  
Bo każda kura przecie grzebie na to,  
By w rezultacie wygrzebała co.

Czasem wyźłowi udaje się sztuka,  
Ale najczęściej kuropatwa myk!  
I biedny wyżeł znów węszy i szuka,  
Wierząc w swą młodość i tak zwany szyk.  
Czy jednak wyźli proceder jest łatwy?  
Niechaj odpowie starych wyźłów dość,  
Co zamiast tłustej, smacznej kuropatwy,  
Gryzie dziś — z łaski — rzuconą im kość.



## TO KIERNOZIA — NIE WARSZAWA!



Przeszło sześćkroć żywych ludzi,  
Bagatela, to nie żarty!  
Takie miasto — wielkiem miastem  
Zowie nawet chłop uparty.  
Życia, krzyku pełno wszędzie,  
Zbytek nędzy naigrawa,  
A jednakże, jak was Kocham!  
*To Kiernozia — nie Warszawa.*

Niech no kto na Starem Mieście  
Zakłuje się szpilką w palec,  
Na Krakowskiem wnet Przedmieściu  
Krzyczy duży, krzyczy mały:  
Szewc szewcówą na czerninę  
Zarznął w nocy, — straszna sprawa!  
Nie, dalipan, takie miasto,  
*To Kiernozia — nie Warszawa.*

Gdy w Kurjerze wzmiankę zrobią,  
Że niemądrym jest ktoś wcale,  
Zaraz osób sto lub dwieście  
Do Kurjera biegnie w szale,  
Każdy krzyczy: „To ja jestem!  
„Nikt mnie czernić nie ma prawa.“  
Ah, przyznacie chyba sami,  
*To Kiernozia — nie Warszawa.*



Niechaj młodzian z pięknym wąsem,  
Pani Julji się ukłoni,  
Wnet pół miasta w dobrej wierze,  
Nić intrygi trzyma w dłoni.  
I skandalem wymarzonym  
Już się każdy wciąż napawa,  
Bo pocziwe nasze miasto,  
*To Kiernozia — nie Warszawa.*

Niech no aktor w jakiej roli  
Twarz przystroi w bokobrody,  
Zaraz ludek dopatruje,  
Że to pewien hrabia młody.  
I dalejże ztąd uciecha,  
Jak na drożdżach rośnie wrzawa,  
Więc mam słuszność, powtarzając:  
*To Kiernozia — nie Warszawa.*

Krzyczcie zatem ile chcecie,  
Że Warszawa w Europie  
W miast dziś wielkich rzędzie stoi,  
Ja jednakże się nie stropię.  
I wciąż śledząc życie nasze,  
Ufny w spostrzeżenia prawa,  
Do znudzenia mówić będę:  
*To Kiernozia — nie Warszawa.*



## NASI PROROCY.



Przewidywania dar głęboki  
Jest Warszawiakom znany,  
Wszyscy też oni jak proroki,  
Widzą przyszłości plany.  
I niech los kogo trafi w pięty,  
Niech jaki ma ambaras,  
Każdy wnet krzyczy jak najęty:  
*„Ja to mówiłem zaraz.“*

Dziwny to kaprys jest natury,  
Godzien być w cudów rzędzie,  
Że Warszawiacy wiedzą z góry,  
Co za lat dziesięć będzie.  
I gdy cokolwiek gdzie się stanie,  
Gdy rzecz się zrobi jawną,  
Każdy Warszawiak powie: „Panie!  
*„Ja to mówiłem dawno.“*

Gdy gruchnie plotka po Warszawie,  
Że przerwał Iks wypłaty,  
Wnet wołać będzie każdy prawie:  
*„Mówiłem to przed laty.“*  
A gdy to kłamstwo w świetle całem,  
Wykryje się przed światem,  
Każdy znów krzyczy: „Ja wiedziałem,  
*„Że to się skończy na tem.“*

O pani Igrek jakieś szepty  
Zaczęły pleść kumoszki,  
A choć to były czcze koncepty,  
A prawdy ani troszki,  
Ale proroków rzesza sławna,  
Chwali swój dar proroczy:  
*„Każdy z nas wiedział to oddawna,  
„I wszystkim mówił w oczy.“*

Stary emeryt, co przy kawie  
Zwykł utkwic nos w gazecie,  
I z kolegami codzien prawie  
O całym radzić świecie,  
Rzekł: „Ho, ho, patrzcie — Persja zbrojna  
„Na Portugalję dybie,  
„A co? — Mówiłem, będzie wojna!  
„*Ja panie, rzadko chybię.“*

Za chwilę później, tenże stary,  
Dzienniki bierze nowe,  
I widzi znów przez okulary  
Depesze pokojowe.  
„Ho, ho, powiada pan Wincenty,  
„Już skończył się ambaras  
„I dali sobie pokój święty,  
„*Ja to mówiłem zaraz.“*

Dziwnyż to kaprys jest natury,  
Godzien być w cudów rządzie,

Że wszyscy o tem wiemy z góry,  
Co za lat dziesięć będzie.  
Lecz gdy tak znamy doskonale  
Przyszłość każdego człeka,  
Żaden z nas o tem nie wie wcale,  
Cò go za chwilę czeka.



## JA WAS NAUCZĘ, JAK CHODZIĆ TRZEBA.



W kraju gdzie rosą na wierzbach gruszki  
I gdzie się rodzą tak mądre dzieci,  
Że porzuciwszy ledwie pieluszki,  
Już na estradę każde z nich leci,  
Zjawił się mędrzec świeżo pieczony,  
I dla idei — a nie dla chleba,  
Zaczął wnet krzycheć na wszystkie strony:  
*„Ja was nauczę, jak chodzić trzeba.“*

„Słuchajcie pilnie, co wam tu mówię,  
„We mnie jest bowiem mądrości studnia,  
„Więc naprzód rzućcie wszelkie obuwie,  
„Co niepotrzebnie chód wam utrudnia.  
„Nie jedzcie mięsa, które choć pasie,  
„Mroczy wam jednak promienie Feba,  
„A ręczę słowem, że w krótkim czasie:  
*„Ja was nauczę, jak chodzić trzeba.“*

„Gdy deszcz przed wami rozmoczy droge,  
„Každy z was krzyczy: a co to, — co to?  
„Wszak po tej drodze chodzić nie moge,  
„Bo trudno przecie bym właził w błoto.  
„Oh, jakże gnuśnem jest wasze życie!  
„A niech tam sobie deszcz pada z nieba,  
„Wy się bynajmniej nie zabłóćcie:  
„*Ja was nauczę, jak chodzić trzeba.*

„Gdy kamień wielki leży na drodze,  
„Wnet serca wasze już są w żalobie,  
„I tą przeszkodą zmartwieni srodze  
„Nie wiecie wcale jak radzić sobie?  
„Ależ to głupstwo, — to furda panie!  
„Bo kamieniami zasłana gleba,  
„Najgładszą drogą dla was się stanie:  
„*Ja was nauczę, jak chodzić trzeba.*

I tak wciąż mędrzec prawił w zapale,  
Głosem swym strojnym w dźwięczne przygrywki,  
Lecz idąc naprzód, nie spostrzegł wcale,  
Że przed nim leży pestka od śliwki!  
Nie dostrzegł pestki, — choć światła smugi  
Na drogę jego płynęły z nieba,  
I wielki mędrzec runął jak długi,  
Bo sam nie umiał chodzić jak trzeba.



## ŁOKIEĆ ZASADY.

Bajka indyjska.



Księga indyjska, co się „*Bim-Bam*“ zowie,  
Głosi: że człowiek czerwony czy błądy,  
Przychodząc na świat, przynosi na głowie,

Łokieć zasady.

Łokieć ten służy ku człowieka chwale,  
Lecz by nie stracił wartościowej strony,  
Przez posiadacza nie powinien wcale,

Być naruszony.

Tak księga „*Bim-Bam*“ wyraźnie orzeka,  
Czy jednak łatwo spełnić to na świecie?  
To kwestja wielka — bo życie człowieka,

Różnie się plecie.

„Eh, cóż u licha,“ nie jeden powiada,

„Łokieć ma cali całe dwa tuziny,

„By więc tak zaraz przepadła zasada,

„To istne drwiny.“

„Jeden cal stracić, to nie zbrodnia wcale,

„Mogę go oddać na mądre żądanie,

„Bo mi zasady, dwadzieścia trzy cale,

„Jeszcze zostanie.“

Za jednym, drugi; drapnął wnet aż miło,

Lecz trudno rolę grać fałszywej nuty,

Jeśli ktoś, komu o ten cal chodziło,

Dał obiad suty.

Trzeci cal gwałtem musiał być oddany

Bo jeden więcej nic już nie stanowi,

A tu tymczasem popsuły się plany  
Posiadaczowi.  
Zbrakło mu raptem gotóweczki w kasie,  
A że na plewy nie łapiają się wróble,  
Więc cał zasady w bardzo krótkim czasie,  
Zmienił na ruble.

Dziwnej historii pozostałych cali,  
Jako chrześcijanin poruszyć się boję,  
Bo bez pardonu, ciągle djabli brali  
Cale jak swoje.

To na rzecz Teci poszło cali cztery,  
To znów podstępny lecz chytry mądrala,  
Wziął do niebardzo chwalebnej afery  
Półtora cala.

I tak z owego łokcia dobrej miary,  
Co miał raj stworzyć (po hebrajsku Eden)  
Posiadaczowi, chociaż nie jest stary,  
Został cał jeden.

Z całem, daleko dziś nikt nie zajedzie,  
To rzecz wiadoma na tym bożym świecie,  
Więc pozostały cał, gdy pan był w biedzie,  
Poszedł na śmiecie.

Bo księga „*Bim-Bam*“ nie darmo nas nudzi,  
Że nie chcąc stracić wartościowej strony,  
Łokieć zasady, winien być przez ludzi  
Nienaruszony.



## MAŻ, KTÓRY WZIAŁ NA OSZCZĘDNOŚĆ.

(Ballada tegoczesna).



Dosyć już tej płochości!  
W kraju bieda dziś gości!  
Rzekł mąż jeden rozumny:  
Choć mam spore dostatki,  
Trzeba obciąć wydatki,  
By starczyło do trumny.

Pokaż żono tve książki!  
Co wydałaś na wstążki?  
Co kosztuje śpiżarnia?  
Ile cukru się bierze?  
Wyznaj wszystko dziś szczerze!  
Strach mnie bowiem ogarnia.

Stał się popłoch nie mały,  
Gdy rachunki wskazały,  
Że przez miesiąc aż głowa  
Cukru była zużyta,  
I że sługa za sita  
Dała rubla od słowa.

Porcja bułek dla domu,  
Także w skutek przełomu,  
Wnet została obcięta,  
Ulubione zaś wety,



Pan mąż kazał, niestety,  
Dawać tylko na święta.

Żona biedna w rozpacz,  
Panu swemu tłómaczy,  
Że to manja jest chyba?  
Lecz mąż nie dba o nerwy,  
Macha piórem bez przerwy  
I wciąż milczy jak ryba.

Skończył wreszcie zadanie  
I rzekł sobie: mój panie!  
Jesteś rachmistrz skończony,  
Bo sześć rubli miesięcznie  
Oszczędziłeś dziś z ręcznie  
Na wydatkach twej żony.

Po rachunku z niewiastą,  
Pan mąż wyszedł na miasto  
I czempredzej wsiadł w sanki,  
Cóż po bruku aż huczą,  
I pojechał na Kruczą,  
Do ukrytej bogdanki.

Tam, pod oczów urokiem,  
W zachwyceniu głębokiem,  
Złożył pensję swej Naci  
Nie targując się wcale,  
Bo pan dobry w zapale,  
Nic nie pyta — lecz płaci.

Tam, przy zręcznej jejmości,  
Nie porzucił płochości,  
Z której słyną dziś młodzi.  
Tam, wydawał z ochotą  
I nie pytał się o to:  
Ile cukru wychodzi?

A gdy Nacia mu rzekła,  
Że to drogość dziś wściekła,  
Każda suknia niewieścia!  
On, łagodząc tę żmijkę,  
Podniósł zaraz pensyjkę  
O rubelków dwadzieścia.

Oj, rachmistrzu ty wielki!  
Gdy stłuczenie butelki  
Gromi w domu twa władza,  
Czemuż, panie, za domem  
Nie wystąpisz z przełomem  
Co oszczędność sprowadza?

Wszak przysłowie jest stare,  
Wszystko dobre lecz w miarę,  
Zatem mężu rozumny,  
Wrogu w domu rozkoszy,  
Szczędź za domem twych groszy  
By starczyło do trumny...



## O RÓŻNYCH FORSOWANIACH SŁÓW KILKA.



Mama natura — rozumna pani,  
Pragnąc obficie obdarzyć nas,  
Na wszystko co nam przynosi w dani,  
Raczyła wskazać właściwy czas.  
Z początku, ludek mało uczony,  
W prawach natury nie widział wad,  
I pełną garścią zbierając plony,  
Z kolei rzeczy był bardzo rad.  
Wkrótce się jednak zmieniły zdania,  
Wnet nosem kręcić jął nawet kmieć,  
I ludek krzyknął: A któż nam wzbrania,  
By wszystko wcześniej jak zwykle mieć?

Od tej to chwili ku własnej chwale,  
Sztuka z naturą zaczęła grę,  
Nikt już na porę nie zważał wcale,  
I wszystko teraz forsuje się.  
Szparagi świeże już w Styczniu mamy,  
Rzodkiewka w Lutym dojrzewa już!  
W Marcu, w cieplarniach gwoli reklamy,  
Stawiają w oknach bukiety róż,  
A chłopiec wątki w piętnastym roku,  
Pragnie koniecznie dojrzałym być,  
I zamiast nosić książki przy boku,  
Już snuje marzeń miłosnych nic.

Cóż na to mama -- naturą zwana?  
A cóż? — Drwi sobie z forsowań tych,

Bo nie szczególna to przecie zmiana,  
Gdy zamiast złota sprzedają szych.  
Szparagi w Styczniu — to istne drwiny,  
Rzodkiewka w Lutym także jest mdłą,  
Róże marcowe, choć piękne z miny,  
Wbrew swej naturze, bezwonne są,  
A chłopiec co się tak wcześniej kocha  
I przy księżycu używa *sjest*,  
W trzydziestym roku, krzywy jak socha,  
Już zwykle starcem zgrzybiałym jest.

Mniejsza o róże i o szparagi,  
O rzodkiew także nie chodzi nam,  
Świat zwolennikiem jest zręcznej blagi,  
I toleruje niewinny kłam.  
Ale o chłopca bardzo nam chodzi,  
Gdy naśladować szparagi chce,  
Bo cóż się stanie, jeżeli młodzi,  
Zawcześniej siły *sforsują* swe?  
Chłopcu każdemu świat się uśmiecha,  
Stojąc dla niego otworem wciąż,  
To przecie nasza przyszła pociecha,  
Przyszły pan domu, ojciec i mąż.

Zmiłujcie się więc, wszystko co chcecie,  
*Forsujcie* sobie naturze wbrew,  
Lecz w chłopcach młodych, na bożym świecie,  
Niech nie *forsuje* się wcześniej krew,  
Bo choć jest różnych forsowań wiele,  
Ja tu, jak umiem, przekonać chcę,

Że *sforsowani* obywatele,  
Na nic a na nic nie zdadzą się.



## STARV CYGAN.

(Bajka wiejska).



Cygan wędrowny, straciwszy swe siły,  
Gdy mu chleb lekki wciąż był jeszcze miły,  
Ruszył konceptem i po wybieg nowy,  
Skoczył do głowy.

Panowie, panie, — rzekł raz cygan stary,  
Ja, co na pomoc mogę wezwać czary,  
Chcę wam pokazać, uniesiony sławą,  
Sztukę ciekawą!

Ot, mam tu jajko surowe w skorupie,  
Skorupy jajka, wcale nie rozłupię,  
I choć to może zdawać wam się bajką,  
Ja połknę jajko.

Co, — połkniesz jajko? — Krzyknęła wieś cała,  
To być nie może, — chyba własna chwała,  
Sprawia ci w głowie zmysłów zamieszanie,  
Stary cyganie?

Ach, nie wierzycie? — Więc patrzcie do licha!  
Pik! Pik! — Raz, dwa, trzy! — Palcem się popycha  
I jak sztuka mięs obłożona ćwikłą,  
Jajko już znikło.

Brawo cyganiu! — W górę czarownika!  
W zapale wielkim, wrzasnęła publika,  
To, niech tam sobie co kto chce powiada,  
Sztuka nie lada.

Więc za rozrywkę tak przyjemnej treści,  
Za to, że cygan nasze zmysły pieści,  
Trzeba ofiarę, jak sumienie każe,  
Złożyć mu w darze.

I zewsząd grosze a nawet srebrniki,  
Od zachwyconej tą sztuką publiki,  
Wnet się sypnęły, niby manna z rana,  
W czapkę cygana.

I wyszedł ze wsi cygan obdarzony,  
A lud rozchodząc się na wszystkie strony,  
Wciąż opowiadał ku własnej nauce,  
O sławnej sztuce.

Nazajutrz we wsi, powstał zamęt wielki:  
Płakały Magdy, Kaśki i Anielki,  
Bo najtłuściejsza u pewnego gbura,  
Zginęła kura.

Na nic się wszelkie nie zdało szukanie,  
Nikt tłustej kury znaleźć nie był w stanie,  
Przepadła bowiem w polu czy w ogrodzie,  
Jak kamień w wodzie.

Dopiero później — może w dwa tygodnie,  
Ktoś wpadł na pomysł, że to niezawodnie,  
Z tą kurą, której nikt już nie odszuka,  
Cygańska sztuka.

Bo cygan stary, gdy wieś bawił bajką  
I oczy mydlił, że połyka jajko,  
Już wtenczas pewnie, wierny swej naturze,  
Myślał o kurze.



### GDYBY TO DAŁO ZROBIĆ SIĘ KRZYKIEM.



Kto tylko pióro trzyma dziś w dłoni,  
Dobra ogółu jak umie broni,  
I pod gorączki chwilowej wodzą,  
Różne projekta ciągle się rodzą.  
Niestety, zwykle, ta wielka wrzawa,  
Na żart zapustny u nas zakrawa,  
Prędko się nużą umysły dziatwy,  
Ja jednak sposób na to mam łatwy,  
Bo już oddawna wciąż o tem myślę,  
Że czy to w handlu — czy też w przemyśle,  
Mybyśmy wszystkich pobili z chwałą,  
*Gdyby to krzykiem zrobić się dało.*

Dostać dziś miejsce, — to wielka sztuka!  
Niejeden jednak, co miejsca szuka,  
Gdy wreszcie znajdzie jakie zajęcie,  
Wnet go się pozbyć pragnie zawzięcie,  
Bo chociaż mamy różne zalety,  
Brak wytrwałości u nas niestety!  
Brak ten co piękne niweczy plany,  
Od dawien dawna wszędzie jest znany.

Ale potwierdzić mógłbym to aktem:  
Wytrwałość u nas byłaby faktem,  
A nie jak teraz marzeniem dzikiem,  
*Gdyby to dało zrobić się krzykiem.*

Oszczędność matką jest dobrobytu,  
A że dobrobyt wiedzie do szczytu  
Góry, co szczęściem zwie się wśród ludzi,  
Więc dziś w niejednym chęćka się budzi  
Wdziać stoicyzmu na siebie zbroję,  
By poskromiwszy wybryki swoje,  
Zanim go burze życiowe zetną,  
Zebrać na starość sumkę nieszpeta.  
O tak, oszczędnych w tak pięknym celu,  
Szczególniej u nas byłoby wielu,  
Każdy by w przyszłość mógł patrzeć śmiało,  
*Gdyby to krzykiem zrobić się dało.*

Najlepszych chęci, — rzecz dowiedziona,  
Nikt nie potrafi wydrzeć nam z łona,  
I do wszystkiego co w życiu nęci,  
My zawsze mamy najlepsze chęci,  
A że chęć dobra — to tylko pikle,  
Do których mięso potrzebne zwykle;  
Że się nie kończy — co się zaczyna,  
To przecie wcale nie nasza wina!  
Bo ja co chęci mam także w głowie,  
Chociaż mnie sławnym nikt dziś nie zowie,  
Byłbym z pewnością już Kopernikiem,  
*Gdyby to dało zrobić się krzykiem.*





## SERCA W PODRÓŻY.



Niech Krzysztof Kolumb sławnym z tego będzie,  
Że w swoim czasie robił kursa duże!  
My tam zazdrości nie mamy w tym względzie,  
Bo myśmy większe odbyli podróże.  
Ach, ach, przepraszam — jest omyłka mała,  
Na którą prawda srodze się oburzy,  
Bo to nie nasze prozaiczne ciała  
Lecz nasze serca, znane są w podróży.

Był czas, że prawie wszystkie serca nasze,  
Biegły do Francji i dla Francji były,  
Francja nas swoją opieką opasze,  
Trzeba ją zatem kochać z całej siły.  
Niedługo potem, buch, prosto przez morze,  
Serca do Anglji pobiegły z wizytą,  
Bo Anglja zawsze każdemu pomoże,  
Byle miał tylko postać przyzwoitą.

Po Anglji, w której chłodny wiatr wciąż wieje  
I nawet miłość najgorętsza drzymie,  
Serca przeszedłszy przez różne koleje,  
Ni ztąd ni zowąd, znalazły się w Rzymie.  
No, tu już chyba długo pozostaną,  
Myślał niejeden w naiwności ducha,  
Wszak miłość włoska jest powszechnie znaną,  
To nie francuzów przyjaźń bardzo krucha.

Aha, mów mu tam, i płać piątkę za to,  
Jak utrzymuje znane nam przysłowie,  
Włoch — drugich kocha, lecz kocha jak Plato,  
Którego miłość błądzą się dziś zowie.  
Rzuciwszy zatem Włochy przechwalone,  
Gdzie każdy bierze ale nic nie daje,  
Serca, choć mocno wędrówką strudzone,  
Pobiegły zwiedzić Mahometa kraje.

Jak im się wiodło w ojczyźnie proroka,  
I czy tam mogły zabawić się dłużej?  
To tajemnica dla wszystkich głęboka,  
Bo tu się kończy kronika podróży.  
Już od tej pory, biedne serca nasze,  
Straciły sławę wielkich podróżników,  
Gdyż ukochawszy swe zrazy i kaszę,  
Już nie szukają zamorskich pierników.

Niestety, rozum przybywa po szkodzie,  
Wielkie wycieczki nie każdemu służą,  
Obczyzna bowiem nieraz mocno bodzie,  
Tak się też stało i z ową podróżą,  
I dziś już obcem nie jest to nikomu,  
Że może z tego byłby plon nie mały,  
Gdyby te serca, siedząc ciągle w domu,  
Więcej niż drugich, same się kochały.



## NASZA AMBICJA.



W sprawie tak białej, jak śnieg grudniowy,

    Wezwanych było znawców aż trzech!

Żaden z nich wielce nie suszył głowy,

    Bo każdy mając na ustach śmiech

Mówił do siebie: „To sprawa czysta,

    „To nie jest wcale splątana sieć,

„Więc pewnie prawda na tem skorzysta,

    „Że jedno zdanie możemy mieć.“

Nadszedł dzień sprawy. — Na środek sali

    Tłum żądny wrażeń dostać się chce,

Bo tam już znawcy miejsca zabrali,

    Zdobiąc powagą oblicza swe.

Pierwszy przemówił pan Jan Prawdoski,

    Mąż, co na wszystkim dzielnie się zna!

Nic więc dziwnego, że wnet bez troski

    Dowiódł, że cztery, dwa razy dwa.

Po Janie, zabrał głos Wojciech Skała,

    Co prawdy także nie myślał kryć,

Lecz go ambicja wielka porwała,

    Że on papugą nie może być;

Bo gdyby Jana powtórzył słowa

    I dał w tej sprawie twierdzący gest,

Pewnie by zaraz większa połowa

    Rzekła: „Ten Wojciech, ciemiega jest.“

Pan Wojciech zatem już rozpalony,

    Ni ztąd ni zowąd wpadł w straszny szal

I dowiódł jasno, że na wsze strony,  
Jan zbałamucić opinię chciał.

Słyszac tę mowę Stanisław Cichy,  
Rzekł sobie w duszy: „Czekajcie no!  
„I ja wam także dam dowód pychy,  
„I ja tu inne wynajdę tło.  
„Mieć własny rozum każdy jest w stanie,  
„Więc choć już naprzód głosiła wieść,  
„Że w owej sprawie jedno jest zdanie,  
„Ja także w kaszy nie dam się zjeść.“

I pan Stanisław w dzikim zapale,  
Tak wnet rozpuścił usteczka swe,  
Że go zrozumieć nikt nie mógł wcale,  
O co mu chodzi i czego chce?

Porozumienie wśród tych sprzeczności,  
Wnet się rozwiało, jak marny kurz,  
I co się mogło skończyć najprościej,  
Dziś niemożebnem staje się już.  
Lecz trudno przecie uniknąć famy,  
Której pod korcem nie można skryć,  
Bo my od tego ambicję mamy,  
Że nikt z nas nie chce papugą być.



## KUZYN I KUZYN.



Wacław i Dawidek, dwaj szkolni koledzy,  
Goli co się zowie, jak tureccy święci,

Zdobywszy nauką spory zapas wiedzy,

Wzięli się do pracy, pełni dobrych chęci.

Niestety, los dla nich, nie był zbyt łaskawy,

I po latach kilku, jak się często zdarza,

Wacek i Dawidek nie zyskawszy sławy,

Znaleźli się oba w objęciach lichwiarza.

„Trzeba się ratować“ — powiedzieli sobie.

Wacław miał zamożnych kuzynów nie mało,

Więc by mu pomogli w ciężkiej życia dobie,

Nie tracąc nadziei poszedł do nich śmiało.

„Ach, nasz Wacku drogi,“ — kuzynowie rzekli,

„Bądź chłopcze spokojny, — nie zbraknie ci

[chleba!

„Jutro jest wieczorek u stryjenki Tekli,

„Tam radzić będziemy, jak ci pomódz trzeba.

I radzili szczerze, — radzili rok cały,

Wszyscy bowiem byli ludzie pomysłowi,

Rady jak z rękawa ciągle się sypały,

Gdyż każdy chciał pomódz swemu kuzynowi.

Jeden aż zaniemógł przy tym referacie,

Drugi, projektami zapełnił pół kosza,

Trzeci wciąż łyż ronił, — ale w rezultacie,

Żaden z nich Wackowi nie dał ani grosza.

.....

Dawidek jednego miał tylko kuzyna,

Był to człek dostatni, lecz nie bogacz wcale,

Kochał on Dawidka jak własnego syna,

Więc gdy Dawid przyszedł wynurzyć swe

[żale,

Kuzyn tysiąc rubli wyjął ze swej kasy  
I rzekł: „Chłopcze, pracuj, daję ci co mogę,  
„Więcej nie dostaniesz, bo dziś ciężkie czasy  
„I każdy przed sobą ma ciernistą drogę.“  
Mając tysiąc rubli, Dawid odrodzony  
Wziął się znów do pracy, ale już z rozmy-  
[słem,  
Wybadawszy bowiem słabe swoje strony,  
Poznał, że dziś życie powinno być ściśłem.  
I odtąd mu jakoś dobrze się powodzi,  
Interes go nawet wzbogacać zaczyna,  
Musiał aż założyć drugi kantor w Łodzi,  
A to wszystko z łaski jednego kuzyna.  
Wackowi dotychczas przeciwnie się dzieje,  
Nic począć nie może bez marnej waluty,  
I przeszedłszy coraz smutniejsze koleje,  
Już podobno biedak ma dziurawe buty.  
Lecz za to kuzyni, jak to dawno rzekli,  
By chłopcu nie zbrakło powszedniego chleba,  
Co tydzień wieczorem, u stryjenki Tekli,  
Jeszcze ciągle radzą, jak mu pomódz trzeba.



## TEORJA W PRAKTYCE.

(Szkic z natury).



Przepelniwszy się Dumasem,  
Pewien u nas mądry pan,

Pragnąc sławnym zostać z czasem,  
Skreślił sobie taki plan:  
„Miasto nasze potrzebuje,  
„By w niem Dumas także był!  
„Więc ja, głosząc to co czuję  
„Zrobię próbę moich sił.  
„Tak,“ — rzekł mędrzec, — „piękne panie,  
„Wyzwolenia nadszedł czas,  
„I niechaj się co chce stanie,  
„Ja, — w opiekę biore was.  
„Bo z kąd data? — Niech kto powie,  
„By mężczyzna prawa miał,  
„Które biednej białogłowie  
„Poczytują jako szal!  
„Mąż swobodą szastać może,  
„Może sobie skakać w bok,  
„Ale żona, broń ją Boże,  
„By zboczyła choć na krok.  
„Wszyscy zaraz krzyczą na nią,  
„Że spełniła wielki błąd,  
„I biedaczkę póty ranią,  
„Aż się musi schować w ką.  
„Eh, to sensu za grosz nie ma  
„Taki przesąd z dawnych lat,  
„To bezmyślna jest dylema,  
„Którą dzisiaj gardzi świat.  
„Trzeba zerwać wstrętne pęta,  
„Niech kobieta wolność ma,  
„A mężczyzna niech pamięta,  
„Że dla wszystkich równa gra.

„Ty mnie zwodzisz, — ja cię zwodzę,  
„Tak powinno zawsze być,  
„Jeśli pierwszy na tej drodze  
„Mąż sam zerwał wiary nić.  
„Wszak już minął czas poddaństwa,  
„O tem nawet wie dziś kmieć,  
„Więc dla czego, pytam państwa,  
„Mąż ma tylko wolność mieć?  
„To są żarty — dobrodzieje!  
„To kłamliwa jakaś wieść!  
„I niechaj się co chce dzieje,  
„Stary przesąd muszę zgnieść!  
„I jak rzekłem, — piękne panie,  
„Ja w opiekę biorę was,  
„Bo dla kobiet w każdym stanie,  
„Wyzwolenia nadszedł czas.“

.....

Takie słowa, głosił wszędzie,  
Ów Dumasa wierny wzór,  
Będąc pewnym, że zdobędzie  
Wielbicieli liczny chór.  
Wielbicieli wprowadzie mało  
Zdobył sobie mądry pan,  
Ale za to coś się stało  
Co popsuło świetny plan,  
Bo gdy mędrzec przez dzień cały.  
Biegał w mieście tam i tu,  
Żona jego, do swej chwały,  
Powołała pana Q.



Stosuneczek ten kobiety,  
Co swój także miała plan,  
Wkrótce wykrył się niestety  
I cóż zrobił mądry pan?  
Pewnie tylko kiwnął głową,  
Śmiejąc się z afery tej?  
O nie, — z miną jowiszową  
Zrobił burdę żonie swej,  
I pozbywszy się jej z domu,  
Gdy dziś ludzie z niego drwią,  
Nie chcąc być ofiarą sromu  
Do rozvodu idzie z nią.



## REKLAMOWANE PANNY.



Wszechwładna reklama wielki wpływ wywiera  
I na każdym kroku jasny dowód mamy,  
Że nawet kawałka szwajcarskiego sera,  
Trudno dzisiaj sprzedać bez głośnej reklamy.

Reklamują szczotki, śledzie i pierniki,  
I francuzkie wino urodzone w Krymie,  
Reklamą w zwierzyńcu wślawia się zwierz dziki,  
Słowem bez reklamy cały handel drzymie.

Dostrzegłszy to widać panienki niektóre,  
I choć to rzecz dotąd była niesłychana,

Pragnąc by ich akcje podskoczyły w górę,  
Wsiadły na reklamę, jak koń na ułana.

Gdy się tylko taka panna pokazała,  
Tam gdzie zwykle osób najwięcej się tłoczy,  
Dzięki zachowaniu lub ubraniu ciała,  
Zaraz wszyscy na nią zwracali swe oczy.

Wielkie fotografie w szafkach na ulicy,  
Pełniąc obowiązki swego przeznaczenia,  
Rozgłaszały piękność prześlicznej dziewicy,  
I całutkie miasto znało ją z widzenia.

Słowem, dzięki głośnej, wszechwładnej reklamie,  
Co umie podnosić przymioty niewieście,  
Dzięki ojczulkowi lub troskliwej mamie,  
Panny były sławne i na wsi i w mieście.

Wszyscy wciąż mówili: „Ach, te panny przecie  
„Korzystnie i prędko za mąż się wydadzą,  
„Bo czyż jest kto taki na tym bożym świecie,  
„Który by nie ukląkł przed piękności władzą?“

Niestety, rok minął, — minęły dwa lata,  
Później trzy i cztery przeszły swoją drogą,  
Niejedna z tych panien jest nawet bogata,  
Ale jakoś za mąż wydać się nie mogą.

Co innego bowiem szczotki i pierniki,  
Które z głośnych reklam wszyscy w mieście znamy,

Co innego panna, która jak zwierz dziki,  
Pragnie zostać sławną, z pomocą reklamy.



## CZEKAJ BABKO LATKA!



Przyszedł jeden biedak  
Do wielkiego pana,  
Zęby mu dzwoniły,  
Gięły się kolana.  
Wskazał na swą nędzę,  
Na swych szat obdarcie,  
I skarbów szafarza  
Upraszał o wsparcie.  
Na to rzekł filantrop,  
Z surowością w oku:  
Sesja jest za kwartał,  
Przyjdź waść za pół roku.

Oddalił się biedak,  
W głębokiej estymie:  
Czekaj babko latka,  
Gdy nie zmarzniesz w zimie.

.....  
Siedział w przedpokoju,  
W suplikantów gronie,  
I piśmienną prośbę  
Tulił na swem łonie.

Był biedny i blady  
Aż spoglądać zgroza,  
Żebrał, by go wzięto  
Choć na smarowoza.  
Nie uczył się biedny  
Kuć żelaza młotem,  
Dziś tu w przedpokoju,  
Oblewał się potem.  
Wyszedł pan naczelnik  
Od pewnej kolei,  
I rzekł protekcyjnie:  
Nie trać pan nadziei,  
Pilnuj pan uważnie  
Kogo bufor zdusi,  
Za rok, za pół roku,  
To się zdarzyć musi.

Oddalił się biedak  
W głębokiej estymie:  
Czekaj babko latka,  
Gdy nie zmarzniesz w zimie.

. . . . .

Spółczeństwo nasze,  
Jak owi dwaj golce,  
Pragnie widzieć róże,  
Tam gdzie dziś są kolce.  
Sypią się projekta  
Zbliżka i zdaleka,

Ono zaś jak babka  
Ciągłe latka czeka.

Rolnictwo kredytu,  
Czeka jak dżdżu kania,  
Ale się z projektów  
Kredyt nie wyłania.  
Handel w stanie smutnym,  
Przemysł ledwie dyszy,  
Choć się o projektach  
Ciągłe w koło słyszy.

Czekajmy, czekajmy  
W głębokiej estymie:  
Czekaj babko latka  
Gdy nie zmarzniesz w zimie.



## LUKRATYWNE DRZEMKI.



Punkt o dziesiątej, — zebrała się rada,  
Która cukrownią zarządzała „*Szelki*“;  
Wszyscy czekają, — aż nareszcie wpada  
Iks, członek rady, — finansista wielki.  
„No, zaczynajmy, szanowni panowie!  
Rzekł Iks z energją znaną w całym mieście,  
„Tylko się weźmy ostro co się zowie!  
„Bo mam na głowie interesów dwieście.“

Już się zaczęło, — radzą dwie godziny,  
Jak *podnieść* cukier, a *zniżyć* buraki,  
Radzą a radzą jak mądre rabiny,  
Boć to interes jest nie byle jaki.  
Iks niby słucha, niby pióro gniecie,  
Gdy wtem, członkowie co tuż przy nim siedzą,  
Choć trochę późno, spostrzegli się przecie,  
Że Iks śpi sobie, jak zając pod miedzą.

Po dwóch godzinach tak zawziętej rady,  
Gdy nóg szastanie wszczęło się na okół,  
Iks spracowany, z niewywczasu blady,  
*Wziął*, zamaszycie podpisał protokół,  
I niby kamień wyrzucony z procy,  
Wybiegł stękając, że się tyle sili,  
Bo prawie codzień, do samej północy,  
Nie ma spoczynku ani jednej chwili.

O wpół do trzeciej znów na jakiejś radzie,  
Iks przeklinając pracowite życie,  
Słuchał co prezes członkom w usta kładzie,  
I znów się zdrzemnął wcale przyzwoicie.  
A że o ósmej w bardzo ważnej sprawie,  
Wezwał go zarząd drogi Fiufiułoskiej,  
Więc i o ósmej, nie czując sił prawie,  
Przespał się trochę, podpisując wnioski.

Tak to z dnia na dzień, pocziwe Iksisko,  
Zpracowany aż po same uszy,

Na protokółach kładzie swe nazwisko,  
I tym sposobem słabe zdrowie kruszy,  
A pisma co dziś wszystkim w gardle stoja,  
Nic nie zważając, że pracuje szczerze,  
Jeszcze drwią z niego, że za pracę swoją,  
Kilka tysięcy rubli na rok bierze.

A drwicie sobie złośliwi plotkarze,  
Dla was jest niczem nawet chęć najszczerza,  
Wy drwić musicie, gdy redaktor każe,  
Płacąc łaskawie sześć groszy od wiersza.  
Spierać się z wami, na nic się nie zdało,  
Lecz ja, choć wody nikomu nie mące,  
Ręczę, że także spać by wam się chciało,  
Gdyby wam za to płacono tysiące.



## KROPKA NAD I.



Nas, co wiążem rymy w snopki,  
Przez przeróżne w roku dni,  
Nas co zawsze dla parady  
Wystawiamy ludzkie wady...  
Zastanowił dziś brak kropki  
Nad *i*.  
Mała rzecz a w nosie kręci,  
Boć to zawsze brzydki znak...

Cóż jest paszport bez pieczęci?  
Czem oczy bez pięknych powiek?  
No i wreszcie, czym jest człowiek  
    Gdy mu w głowie kropki brak!  
Ach, to lalka z wielkiej szopki,  
    Ptak bez skrzydeł, płacz bez łzy...  
Koł bez nogi — kwiat bez woni,  
Łapownik bez wielkiej dłoni,  
Gdy mu zbraknie małej kropki  
    Nad *i*.

Znamy panny urodziwe,  
    Kiedy wchodzą w życia szlak,  
Niby kwiaty barwne — świetne,  
Ozdobione w cnoty setne...  
Dziś je białą włosy siwe,  
    Bo im było kropki brak.  
Próżno biedne czynią hopki  
    W karnawale huczne dni,  
Nie zwalczą tej prawdy nagięj,  
Że dla panien tem pòsagi,  
Czem dla pisma małe kropki  
    Nad *i*.

Znamy panie silne w cnocie,  
    Nie pojmują życia wspanak,  
Błyszczą niby perły w złocie,  
Lecz cóż z tego, świat złośliwy  
Opowiada jakieś dziwy,  
    Że im małej kropki brak!  
Niosą pełne plotek snopki,  
    Kumoszki co złość w nich tkwi,



I o pani nieskażonej  
Opowiadać chcą androny,  
Bo jej raz zabrakło kropki

Nad *i*.

Ach, ty kropko, punkcie drobny,  
Ty fatalny jesteś znak:  
Na wielkiej płaszczyźnie liter,  
Ty jaśniejiesz jak soliter,  
Czynisz efekt niepodobny,  
Gdy cię, mała kropko, brak!  
Świat by zbierał szczęścia snopki,  
W pomyślności złote dni,  
Szlachcic na wsi miałby „listy“  
Chłopiek by nie trąbił *czystej*,  
Gdyby nie brak małej kropki

Nad *i*.



## KARECIANE PARY.



Kiedy się żeni jaki znaczny książę,  
Który ma w kasie wielką rubli moc,  
Lub kiedy rabin dłonie Icka wiąże  
Z bogatą Surą, czarniejszą jak noc,  
Gdy po za ślubem w miłej perspektywie  
Jest szansa wzięcia gotówki lub dóbr,  
I gdy pan młody (czemu się nie dziwię)  
Naprzód z radości płacze już jak bóbr

To nic dziwnego, że ślubna *societa*,  
    Od szat z atłasu i klejnotów lśni,  
Że młodych wiezie wiedeńska kareta  
    I para koni najczyściejszej krwi.  
I nic dziwnego, że uczta weselna  
    Jest tak wspaniała, jako rzymski bal,  
Że jej przygrywa i orkiestra dzielna  
    I że wiwaty echo niesie w dal  
Że szampan strzela i perlistą strugą  
    Płynie do czary z najczystszego szkła,  
Bo ta zabawka może potrwać długo,  
    Albowiem *on* ma, a i *ona* ma.  
Bo któż rublami sypnie, jak nie ksiązę,  
    Który ma w kasie wielką rubli moc,  
Lub jak nie Icek, gdy swe dłonie wiąże  
    Z bogatą Surą, czarniejszą jak noc.  
Lecz gdy się żeni biedny urzędniczek,  
    Albo gdy stolarz wiąże z szwaczką dłoń  
Po co im łoskot karecianych drzwiczek,  
    Na kiego licha wynajęty koń?  
Po co do ślubu z ogromną paradą,  
    Robiąc na mieście niepotrzebny szum,  
Ubodzy goście karetami jada,  
    Aby zadziwić również goły tłum?  
Po co pan młody wysila się na to,  
    Mając od Szmula wynajęty frak,  
A panna młoda ma suknię bogatą  
    I drogi welon na dziewictwa znak?  
I po co później to weselne grono,  
    Kosztowną ucztą uświęca ten dzień,

Kiedy za chwilę zniknie zaraz pono,  
Tego sztucznego państwa wszelki cień,  
Kiedy nazajutrz pan młody Judasza,  
Całuje w brodę pragnąc zmiękczyć głaz,  
A panna młoda w Kurjerkach ogłasza,  
I zbywa suknię mianą tylko raz.  
Czyliż nie lepiej, Maćku i Doroto,  
Zamiast w kłopotach trząść się niby liść,  
Zrzec się karety a skromnie piechotą,  
Jak Bóg przykazał do ołtarza iść?  
Dopiero później, gdy się dorobicie,  
Każde z osobna pracując jak mól,  
Zacząć prawdziwie wygodniejsze życie,  
Jak to zwykł robić mędrszy od was Szmul?



## NASI — NIE NASI.



Dziś wiersz się jędrnym dowcipem nie krasi,  
Choć chęć po temu jak najszczerszą masz,  
Bo w takiej sprawie i humor się skwasi  
I śmiech szyderczy szpetnie krzywi twarz,  
Zwłaszcza gdy pisać chcesz „*nasi* — *nie nasi*“  
I definiować co to znaczy *nasz*?

Nasz, to jest niby taki co należy,  
Do ciebie, do mnie, do niego i nas,

A zatem taki co pragnie najszczerzej,  
By dla nas zawsze mógł być dobry czas.  
*Nasz* to jest wreszcie, taki co nie bieży  
Z mową rodzinną kryć się gdzieś za las.

A nie nasz znowu — jest ten, co się wstydzi  
W języku własnym głośno słowo rzec,  
Taki co własnej przeszłości nie widzi  
I nie pamięta jaki grzał go piec;  
Taki nareszcie co z własnego szydzi,  
Jakby ze szwabem wybrał się na wiec.

Ta definicja jest zda się tak jasną,  
Że można po niej powiedzieć już dość!  
Ty chwalisz swoją chałupinę ciasną,  
A swoją wielbi zagraniczny gość,  
Boć każdy lubi swą rodzinę własną  
I ową ziemię, na której mógł wzrość.

Lecz pijąc gorzki obserwacji trunek,  
Który wciąż tryska jak obfity zdrój,  
Widzim, że nie jest dokładny rachunek  
I dobry podział na *obcy* i *swój*,  
Bowiem pośredni jest jeszcze gatunek,  
O którym niżej, przyjacielu mój.

Taki co prądem uniesień owiany,  
Zwłaszcza gdy w prądzie jakieś zyski tkwią,

Liczy się chętnie pomiędzy Słowiany,  
Mówiąc, że ci mu zawsze braćmi są,  
Że zawsze dla nich gotów jest bez zmiany,  
Poświęcić chętnie całą istność swą.

A gdy interes minie — to z szelestem  
Rubli, co świeżo wpadły mu do łap,  
Machnie na swojskie pogardliwym gestem  
I jak z Berlina spanoszony drab,  
Chciałby rzec światu: ja germańczyk jestem!  
I po niemiecku szwargocze jak szwab.

Prąd go ominie — gdy groszy nabiera,  
A gdy ich złoży przyzwoity pęk,  
Mowa rodzinna uszy mu rozdziera,  
Staje się w uszach twardą niby sęk,  
W rodzinie dźwięczy zaś język Szyllera,  
Co ma mieć czuły i przyjemny dźwięk.

Mój mości panie, co jak Janus stary  
W baśniach, oblicze dubeltowe masz,  
I czynisz z siebie dziwaczne poczwary  
I tak i owak nastrajając twarz,  
Pozbądź się takiej dubeltowej miary  
I raz zdecyduj, czyś *nie nasz*, czy *nasz*?

Raz przecie wybierz upały czy mrozy,  
Czarne czy białe — anioł albo czart?

Bo tak myszkować między dwa obozy,  
To nie koniecznie przyzwoity żart,  
Bo być czemś takim, pół wydry — pół kozy,  
To los, sam przyznaj, w gruncie licha wart!



## PANOWIE NIENARAŻALSCY.



Nienarażalskich sprytny ród,  
Nie od zbyt dawna słynie,  
Ale go poznać mógł nasz gród,  
W niejednej już godzinie,  
Bo z konwenansem czyniąc pakt,  
Chcąc z rublem się przyjaźnić,  
We wszystkim mają taki takt,  
By możliwych nie rozdrażnić.  
Czy towarzystwo, czy to bank  
Odbywa posiedzenie,  
Nienarażalscy zaraz w dank  
Niosą mu swe sumienie.  
Chociażby ktoś naprzykład chciał  
Rozminąć się z ustawą,  
Nienarażalski wpada w szal,  
I wściekle bije brawo!  
I chociażby w żądaniu tem,  
Znalazła się niecnota,  
Nienarażalscy jednym tchem,  
Dadzą wnet swoje wota.

Skoro z protekcji jaki człek,  
Zarządem trząść zapragnie,  
Nienarażalscy za nim skrzek  
Czynią jak żaby w bagnie,  
A gdy rozsądnych garstka zdań  
Swój protest wypowiada,  
Nienarażalscy wpadną nań,  
Niby komarów stada,  
I zrobią taki szum i brzęk,  
Co całą salę zgłuszy,  
Że aż rozsądek wyda jęk  
I zatknie sobie uszy,  
I drapnie gdzieś na świata kraj  
Aby tam rzecz rozważać,  
Nienarażalskim zaś to raj,  
Bo po co się narażać?  
Lepiej pokornie schylić grzbiet  
I trzymać choćby z biesem,  
Bowiem do niego można wnet  
Przyjść z jakim intereseś,  
I w słodki uśmiech strojąc twarz,  
Szepnąć z układnym gestem:  
Szanowny panie, służka wasz,  
Nienarażalski jestem.  
Ztąd wzrasta w pierze taki ród,  
Choć nie zbyt zdawna słyńie,  
Lecz dzięki najsprytniejszej z cnót,  
Nieprędko nam zaginie.  
Jednak gdy prawdę rzeknąć mam  
Takiemu jegomości,

Naraża on się bardzo sam  
Człowieczej swej godności.  
Żaden protektor nie da mu,  
Choć ceni go z daleka,  
Tego, co dużo warto tu:  
Patentu na... człowieka.



## A M B I T N I.



Raz, w Niedzielę, Jaś poczciwy,  
Wpadłszy w zapał niespodzianie,  
Józia, Stasia i Wojciecha,  
Na śniadanko wziął do handlu.  
Jaś oszczędnym jest w zasadzie,  
Dobrze liczy — nim grosz wyda,  
Lecz śniadanko chociaż skromne,  
Kosztowało dziesięć rubli...

.....

„No, — rzekł Wojciech po śniadaniu,  
„Mam nadzieję, bracia mili,  
„Że za tydzień tu przyjdziecie,  
„Bo ja proszę na śniadanie.“

.....

Gdy dotrzymać trzeba słowa  
W niecierpiącej zwłoki sprawie,



Nikt terminu z nas nie chybi,  
To rzecz dawno dowiedziona.  
Z uderzeniem więc dwunastej,  
Wszyscy czterej jak mąż jeden,  
Znaleźli się znów w handelku,  
By śniadanko spożyć skromne.  
Wojciech jednak smakosz stary,  
Przytem bardzo człek ambitny,  
Zakasować pragnąc Jasia,  
Dał śniadanie, palce lizać!  
I gdy przyszło do rachunku,  
Postępując wprawdzie trochę,  
Aż dwadzieścia sześć rubelków,  
Złożył w dani przy bufecie.

. . . . .

Kiedy wleziesz między wrony,  
Trzeba krakać jak i ony,  
Cóż dziwnego więc, że Józef  
Dał śniadanie znów za tydzień.  
Józef, panie, dzielna sztuka,  
Żartować z nim ani sposób,  
A gdy przyjdzie do imprezy,  
Ambicją się zawsze rządzi.  
To też do dziś w handlu jeszcze,  
Wspominają o Józefie,  
Który mimo skromnej pensji,  
Mimo w domu licznej dziatwy,  
Za przeróżne smakołyki,  
Drogie wina i likiery,

Niby bankier pierwszej wody,  
Rzucił rubli aż sześćdziesiąt.

. . . . .

Teraz kolej jest na Stasia,  
Oh, za Stasia ręczyć można,  
Bo go znamy osobiście,  
Ten z pewnością się nie shańbi!  
Już od czwartku myśli nad tem,  
Jak wystąpić, co się zowie,  
I historją choć się brzydzi,  
Lukullusa dzieje bada,  
Byle tylko przez ambicję,  
Co z matczynej wyssał piersi,  
Zakasować mógł z kretešem,  
Jasia, Stasia i Wojciecha.  
Toż to będzie wielka biba!  
Jak powiada nasz Iks znany,  
Sto rubelków nie wystarczy,  
Tysiąc złotych jak nic pęknie!  
Ale *za to* jest nadzieja,  
Że to na tem się nie skończy  
I trwać długo jeszcze będzie,  
Pojedynek tych szlachetnych.

. . . . .

Oho, niech tam, co chcą mówią,  
Na tym punkcie, górą nasza!  
Bo ambicji, jaką mamy,  
Żaden naród nie ma chyba,

I chociażby sprzedać przyszło,  
Czapkę, kaftan i koszulę,  
Ręczę, że z nas żaden nigdy  
Dmuchać sobie w kaszę nie da.



## ROZPYLACZE.



Wie o tem prawie każda miasta córka,  
Która od perfum nie chce stronić precz,  
Że ów „rozpylacz“ jest to taka rurka,  
Co w drobny pyłek zmienia wonną ciecz;  
Gdy kto mieszkając po podmiejskim dachem  
Odświeżyć pragnie atmosferę złą...  
Kładzie rozpylacz w fiasko z zapachem,  
I dmucha dotąd aż zobaczy dno...

Ale nietylko zwykłe szklane rurki  
Na taką sztukę dosyć łatwo stać,  
Są rury żywe odziane w tużurki,  
Co pragną rolę rozpylaczów grać...  
Znajdziesz ich tutaj w Warszawie bez liku,  
Bowień to miasto lubią jak na złość,  
Choć i w Psich Wólkach, nie czyniąc przytyku,  
Tego gatunku okazów jest dość.

Fredzio naprzykład przybył tu niedawno,  
A chłop był krzepki i zdrowy jak rydz,

A fizys jego była w mieście sławną,  
I każdy mniemał, że go nie zje nic;  
Gdzież tam, jak zaczął zdrowie swe rozpylać,  
Poszedł na aptek i lekarzy łup,  
Dziś kwęka tylko, nie może się schylać,  
A na obliczu wygląda jak trup.

Józio niedawno przybył tu z za miedzy,  
Kędy się uczył coś piętnaście lat,  
Sądził wszyscy, że zapasem wiedzy  
Zadziwi całą Warszawę i świat;  
Ale się Józio zabrał do tandety,  
I po pięć wierszy sprzedając za pens,  
Między Kurjery i różne gazety,  
Rozpylił biedak cały zdrowy sens.

A Staś za ciotką wziął cztery folwarki,  
A przytem lasu coś czterdzieści włók,  
Gdzie gospodarstwo wzięwszy na swe barki,  
Do samej śmierci jak księżę żyć mógł...  
Lecz się do niego djabełek przymilił,  
Za którym chłopiec łąził wciąż krok w krok,  
Więc też nieborak folwarki rozpylił,  
I las po ciotce, coś niespełna w rok.

Pani Fifina, kobieteczka miła  
Stare przesady odrzuciwszy precz,  
Chciała się bawić i... co rozpyliła,  
To już nie powiem, bo drażliwa rzecz...

Dość, że gdzie spojrzeć, wszędzie widzisz pyłek,  
Bo każdy ciągle w swoją rurkę dmie,  
Mienie i zdrowie idzie też na schyłek,  
A ztąd na świecie ciągle źle i źle.

Mości panowie i nadobne panie!  
Dziwny obyczaj chciejcie rzucić precz,  
Bo to bezmyślne ciągle rozpylanie,  
To jest zaprawdę niebezpieczna rzecz...  
Choć wiemy naprzód, drodzy przyjaciele,  
Że głos nasz będzie jak na ścianę groch,  
Boć i my sami przecież lat tak wiele  
Resztki dowcipu rozpylamy w proch!!!



### DLA JEDNEGO CALA.



Oj ty calu, calu, — niech cię porwą kaci!  
Jesteś niby malcem — nie masz wielkich sił,  
A jednak pomimo twej nędznej postaci,  
Tak nam dziś dokuczasz, jakbyś sążniem był.  
Nie gniewaj się zatem, calu ty niecotolo!  
Że ci całem sercem życzę doli złej,  
I że gdyby można, z prawdziwą ochotą,  
Zgniótłbym cię na miazgę w silnej dłoni mej.

. . . . .  
Dla jednego cala, panny głowy traca,  
Najlepsza panyenka — przemienia się w zła,

I zamiast się zająć pożyteczną pracą,  
Panienci całówką wciąż zajęte są.  
O tak, dla tej miary, na którą zaiste,  
Nawet lichy kupiec ani spojrzeć chce,  
Mamy dziś dowody bardzo oczywiste,  
Każda panna chętnie odda życie swe.  
Skutki tych poświęceń smutne są niestety,  
Bo gdy złączy parę, los co z ludzi drwi,  
Zamiast dzielnej żony i zdrowej kobiety,  
Biedny mąż ma chuchro bez kości i krwi.  
Doktór nie wychodzi od takiej mężatki,  
Istny szpital w domu, żal się Boże żall  
Kwękające dzieci idą śladem matki,  
A wszystkiemu winien ten nieznośny cał.

. . . . .

Dla jednego cała, — niejedna dziś panna,  
Idąc przez ulicę, chwije się jak nić,  
Lecz cóż robić na to, gdy moda naganna,  
Młodej pannie gwałtem każe cienką być?  
Ściskają się zatem naiwne panniska,  
Ściskają się, idąc na spacer lub w tan,  
Pęka nieraz gorset i sznurówka pryska,  
Gdy młodsza w obroty weźmie panny stan.  
I tak codzien spięte, wytrzeszczywszy oczy,  
Myśląc, że z nich każda wygląda jak wąż,  
Gdy im brak oddechu i gdy gorset tłoczy,  
Tantalowe męki muszą znosić wciąż.

. . . . .

Oto jest przyczyna, dla której niestety,  
Gdy połączy parę, los co z ludzi drwi,  
Zamiast dzielnej żony i zdrowej kobiety,  
Mąż ma w domu chuchro bez kości i krwi.  
A te wszystkie męki dla tego się znoszą,  
I dla tego mężom ściska serce żal,  
Że dla młodej panny wielką jest rozkoszą,  
Gdy może być cieńszą choć o jeden cal.



### DROBNIEJEMY.



Był to kiedyś czas jak złoto,  
(Ale uciekł łotr!)  
Żona zwała się Dorotą,  
Mąż zaś Jan lub Piotr.  
Niepieszczoną była mowa,  
Ni lekką jak puch,  
Chłop był silny, baba zdrowa,  
Każdy dzieciak zuch.  
Choć dwunastu było synków,  
I ze siedem cór!  
Nie chował się na papinków,  
Hożej dziatwy chór.  
I nie zwano ich jak psiaków:  
Dziunio, — Niunio, — Pieś,  
Nie strojono jak cudaków,  
Jak niemczyków — gdzieś.

To też chłop wyrastał krzepki,  
A jędrny jak rydz,  
A dziewczęta jak przylepki  
Z świeżą krasą lic.  
A był to czas jako złoto,  
(Czemuż uciekł łotr?)  
Jejmość zwała się Dorota,  
Jegomość był Piotr.

. . . . .

Dziś się żeni Piesio z Niunia,  
Z Kocią jakiś Aś!  
Filuś z Kizią, Lucio z Dziunia,  
Gdzież są ludzie zaś?  
Gdy przybędzie im papinek,  
Trudno iście znać,  
Jak się ma ten koci synek,  
Pieszczotliwiej zwać,  
Gdy go jeszcze bardziej zdrobnić,  
(I tak drobny smyk)  
I do lalki upodobnić  
Jak wymaga szyk?...  
Zły to zwyczaj, wszyscy wiemy  
I znamy tę rzecz,  
Że szkaradnie drobniejemy  
I że idziem wstecz.

. . . . .

Horoskopy nienadobne,  
Można z tego snuć,



Bo też te postacie drobne  
Mogą humor psuć.  
Zamiast ludzi są laleczki,  
Krzaczki gdzie był las,  
Jeszcze potrwa to troszeczki,  
Zbraknie całkiem nas.



### Z MATEMATYKI MORALNEJ.



Ciężki mi dzisiaj kłopot spadł na głowę biedną,  
Bo muszę oto taką wrychtować powieść,  
W której jako na dłoni wypadnie mi dowieść,  
Że jeden czy dwadzieścia, to jest wszystko jedno.  
Rzecz ta trudna z pozoru, będzie dosyć łatwa,  
A choć jej nie przedstawia tu profesor błady,  
Dokładnie ją zrozumie pełnoletnia dziatwa,  
Jeśli zechce poniższej wysłuchać ballady.

. . . . .

Jako uczy nas kronika,  
Była pani Weronika,  
Piękna jako kwiat!  
W słowie ostra, twarda w cnocie,  
I za czysty brylant w złocie  
Uważał ją świat...

Zresztą na co szukać kronik,  
Przecież takich pań Weronik  
Jest na świecie moc.  
*Źe odiosa sunt nomina*  
Więc jak zwała się babina...  
Niech ukryje noc...

Dość, że była pani harda,  
W sądach swoich bardzo twarda,  
Twardsza niby głaz.  
Moralności pilnie strzegła,  
Ale sama jej odbięła  
W życiu tylko raz.

Tak, raz tylko i tym razem  
Pysznąc się gdyby obrazem,  
Wydawała sąd,  
Potępiając każdą Ewę  
Za najmniejszą w życiu krewę,  
Najdrobniejszy błąd!

Jak Jowisz, spowity w chmury,  
Tak marszczyła wzrok ponury,  
Na najmniejszą wieść.  
I jako już w cnocie biegła,  
Pilnie każdej plamki strzegła,  
Która kazi cześć.

Gdy raz wrzała z oburzenia,  
Rzekł jej sędzia od niechcenia...

(Lubił głupstwa pleść),  
Że raz złodziej ukradł konia  
I za ten raz do ustronia  
Poszedł na lat sześć.

Pani wzrok zrobiła wilczy  
Ale odtąd stale milczy,  
Nie roztrząsa wad.  
Tak jej sędzia zabił klina,  
Że życzyła mu babina,  
Żeby djabła zjadł!!!

.....

Zda się po tej balladzie krajowego pióra,  
Już nie potrzebną będzie kombinacja wtóra...  
I że choć w obec tego martwe cyfry bledną,  
Jednak raz, czy sto razy, to jest wszystko jedno.



## ZATŁUSZCZONE SERCA.



Nie tak dawno katar kiszek,  
Był wciąż na porządku  
I czy Wojciech — czy Franciszek,  
Miał katar w żołądku.  
Gdyś się zakłół szpilką w palec,  
Alboś dostał potów,

Doktór Jugo lub Padalec,  
Szyję dać był gotów,  
Że już o tem nie ma mowy,  
Byś uniknął śmierci,  
Bo to katar żołądkowy,  
Twoje kiszki wierci.

Dziś już przycichł o katarze  
Krzyk dla nas niemiły,  
Lecz dziś znowu moda każe,  
By nam serca tyły.  
Więc czy Wojciech — czy Franciszek,  
Wśród szczęścia nadmiaru,  
Zapewniony co do kiszek,  
Już nie ma kataru,  
Ale za to po rozterce  
Z poprzedniem dziwadłem,  
Každy człowiek ma dziś serce,  
Przerośnięte sadłem.

No, raz przecie, doktorowie  
Nie zbłądzili w drodze,  
I chorobie co się zowie  
Mogą skrócić wodze,  
Bo ja pierwszy, wyznam szczerze,  
Dawny ich oszczerca,  
Całą duszą teraz wierzę  
W zatłuszczone serca.

O tak, teraz, wiem na pewno  
Dla czego pan Jerzy,  
Jest nieczuły jak to drewno,  
Co pod wodą leży,  
I gdy siostrę jego bieda  
Dręczy z każdej strony,  
On jej grosza jednak nie da,  
Choć ma sam miliony.  
Nic dziwnego — to w chorobie  
Uczucie przepadło,  
Bo dziś zamiast serca w sobie,  
Jerzy nosi sadło.  
A Ignacy, — ów pan wielki!  
Co własnego ojca  
Schował na strych gdzieś pod belki,  
Jak kurę do kojca.  
Czyż on winien, że starému,  
W tym składzie popiołu,  
Nie smakuje po dawnemu,  
Wikt z drugiego stołu?  
To choroba nieszczęśliwa,  
Z niej to tak wypadło,  
Że w Ignacym dziś spoczywa,  
Zamiast serca — sadło.

Oh, tak, — patrząc bez medyka,  
Czy prosto — czy z boku,  
Ta choroba się spotyka,  
Dziś na każdym kroku.

Starzy, młodzi, — nawet dzieci,  
Idąc życia drogą,  
Tej choroby, co świat szpeci,  
Uniknąć nie mogą.  
Słusznie się więc doktorowie,  
Jak szlachcic pszenicą,  
Wpadłszy na trop co się zowie,  
Swą nauką szczycą.  
I ja pierwszy — wyznam szczerze,  
Dawny ich oszczerca,  
Całą duszą teraz wierzę,  
W zatłuszczone serca.



## UNIWERSALNI.



Czołem przed nami! Zamorskie kraje  
Dumne bez miary mądrością swą,  
U nas, — choć to się farsą wydaje,  
Ludkowie mędrsi — niż u was są.  
U was inżynier buduje drogi,  
Szewca oburza podszwa zła,  
Konował koniom naprawia nogi,  
I na swym fachu każdy się zna.  
U nas specjalność jest marnym listkiem  
Co sobie z wiatrem leci fiut, fiut!

Bo u nas prawie wszyscy o wszystkim  
Bez zająknięcia mówią jak z nut.

. . . . .

Proszę posłuchać pana Henryka,  
Jak imponuje rozumem swym,  
Przyroda, przemysł lub mechanika,  
To rzeczy, w których on trzyma prym!  
Dla niego nie ma żadnych tajemnic,  
On wie z kądem powstał wiedeński krach,  
On wie jak wełnę gremplują w Chemnitz,  
On na muzyce zna się aż strach!  
On wie jak korki rosną na drzewie,  
On Mickiewicza za jamby rżnie,  
On jak kamerton zna się na śpiewie,  
On widział muszle na morskiem dnie.  
Stu specjalistów dla niego niczem,  
Wszak on zna wszystkich od A do Zet,  
Więc gdy językiem siecze jak biczem,  
Rozsądny człowiek umilka wnet.  
Ba, tego tylko on właśnie pragnie,  
Bo tym sposobem wodząc wciąż rej,  
Jak owa z bajki żaba na bagnie,  
Tak się nadyma od wiedzy swej.

. . . . .

Podobnych mędrców jest u nas siła,  
Każdy z nich po czemś oblizał nóż  
I u każdego myśl się zrodziła,  
Że jest człowiekiem wszechwiednym już.

Nauka wprawdzie jest dla nich listkiem,  
Co sobie z wiatrem leci fiut, fiut!  
Lecz za to wszyscy, zawsze o wszystkim,  
Bez zająknięcia mówią jak z nut!  
Bijąc więc czołem przed tą wszechwiedzą,  
Śmiem ich zapytać, jak marny fryc,  
Dla czego ciągle beczynnje siedzą  
I żaden dotąd nie zrobił nic?



BUTA ZOSTAŁA, ALE BUTÓW NIE MA.



Gwałtu, co widzę? — Takie wielkie pany!  
Pany dla których pisano mazury,  
Dziś skutkiem jakiejś dziwnej losu zmiany,  
Z kąta w kąt chodzą, jakby zmokłe kury.  
Mój miły Boże, — wszak każdy pamięta,  
Owego pana, co mając włók dwieście,  
Prosto z Londynu sprowadzał szczenięta,  
I aż bruk stękał tak szalał po mieście.  
A o tem także pewnie pamiętacie,  
Jaka to była historyjka przednia,  
Gdy młody panicz, wzięwszy wieś po bracie,  
Warszawską dryndą pojechał do Wiednia.

Oj, czasy, czasy! — gdzieście się podziały?  
Dobrych panisków coraz mniej na świecie,



A z tych, co byli źródłem naszej chwały,  
Marnego rubla nikt dziś nie wygniecie.  
Wszystko to, walcząc w pełnej szyku zbroi,  
W szalonych skokach, pokręciło szyje,  
I dziś niejeden, choć w „Niesieckim“ stoi,  
Jak wstrętny żebrak, z cudzej łaski żyje.

„Za pozwoleniem!“ — powiedziec kto gotów;  
„A cóż my winni, że są u nas tacy,  
„Co żyjąc marnie wśród przykrych kłopotów,  
„Nie chcą się zabrać do uczciwej pracy.“  
Ba, — łatwo mówić, tym co w pocie czoła  
Doszli nareszcie do kawałka chleba,  
Nędzny plebejusz nie pojmuje zgoła,  
Jak drogi honor cenić wielce trzeba.

Eks-wielkie pany, — (to rzecz dla mnie znana),  
Chcą chętnie wziąć się do pracy w potrzebie,  
I każdy codzień od dwunastej zrana,  
Szuka, gdzie może, posady dla siebie;  
Lecz to by była śmieszność oczywista  
I fakt niezgodny z honorową pychą,  
By panicz, co miał włók dwieście lub trzysta,  
Brudził nazwisko jakąś służbą lichą.

Każdy z tych panów, z poświęceniem sporem,  
Wzięłby posadę, nie pragnąc nic więcej,  
Byleby zaraz zostać matadorem  
Co bierze pensji choć z dziesięć tysięcy.

Że jednak u nas znajdzie się niewiele  
Posad, dających egzystencję błogą,  
A możni krewni albo przyjaciele,  
Gdy głód dokucza, rubelkiem wspomoga,  
Więc niechaj o to nikt żalu nie rości  
I niech nie gorszy nikogo dilemma:  
Iż u paniczów, pomnych swej przeszłości,  
Buta została, ale butów nie ma.



## MAŁŻEŃSKA INDEMNIZACJA.



Nie tak zbyt dawno, pełni gorliwości,  
Aby świat cały okryć szczęścia zbroją,  
Daliśmy traktat w kwestji służebności,  
Co panom mężom ciągle w gardle stoją.  
Dziś więc, jak wszyscy zacni gazeciarze,  
Nie chcąc odmówić żadnej stronie racji,  
W obronie kobiet, jak powinność każe,  
Damy słów kilka „*O indemnizacji.*“

Zdarza się często, że mąż lampart wielki,  
Chociaż ma żonę i zdrową i młodą,  
Jak ogar w lesie, Józie i Anielki  
Goni zawzięcie z młodzieńczą swobodą.  
Nic go nie martwi z jego strony zdrada, --  
Cierpienia żony -- to fochy niewieście,

A do mieszkania jak po ogień wpada,  
I dalej znowu kłusować po mieście.

Na wsiach, przed laty, gdy rolnik niedbały,  
Dla braku forsy porzucał grunt dziki,  
Podobne grunta „*pustkami*“ się zwały,  
Mając w tabelach oddzielne rubryki,  
I póty „*pustek*“ nosiły wciąż miano,  
Póty się na nie gapili próżniacy,  
Aż wreszcie „*pustki*“ odrazu rozdano  
Rolnikom chętnym do codziennej pracy.

Rolnicy nowi, wszedłszy w posiadanie  
Spadłej jak z nieba odleżącej roli,  
Jak potrafili i jak byli w stanie,  
Wzięli się szczerze do pracy powoli.  
Zaczęli w „*pustkach*“ robić meljoracje,  
Żywiąc na przyszłość niepłonne nadzieje,  
I dziś już wszędzie przez indemnizacje,  
W „*pustkach*“ wre życie, aż się dusza śmieje.

Żony przez mężów opuszczane codzien,  
To także „*pustki*“ w znaczeniu szerokiem,  
„*Pustki*“, na które niejednen przechodziem,  
Spogląda często pożądlwym wzrokiem,  
I rzecz ta cała tak się zwykle kończy,  
Że w żonie słabnie cierpliwości władza,  
I gdy mąż ciągle biega jak pies gończy,  
Do „*pustek*“ nowy rolnik się wprowadza.

Ma się rozumieć, wcale się nie chwali  
Podobna słabość w uczciwej kobiecie;  
To też nie jedna serce ma ze stali  
I hańba nigdy czoła jej nie gniecie.  
Ale niejedna, gdy zemsta dolega,  
Odrzuca na bok wszelką dobrą rację,  
I byle laluś, pierwszy lepszy z brzegu,  
Służy jejmości za *indemnizację*.



LIST OTWARTY SZMULA RUBELMACHERA.

Nu, śmieście że się, kochane panowie!  
I w dzień powszedni, no i przy niedzieli,  
Śmieście się wszyscy, kiedy wam na zdrowie,  
Żydzi są na to, byście się z nich śmieli.  
Jak bo się nie śmiać z łapserdaków rzeszy,  
Z tej na Nalewkach w ciągłym ruchu armji?  
*A sy git goje!* — niechaj was to cieszy,  
Że brudny żydek cebulką się karmi,  
Albo, że szajgec, co się uczył w szkole,  
Chociaż od niego jeszcze czuć Muranów,  
Dziś, gdy go chałat mocno w oczy kole,  
Gwałtem się wdziera do kompanji panów.

. . . . .  
To bardzo śmieszne, gdy pan Olesz w górę,  
Jak dzikie wino, pnie się wciąż zuchwale

I z wielką pychą swą nadobną córę,  
Do hrabskich domów wprowadza na bale.  
Nu — tak, to śmieszne, gdy niedługo potem,  
Z łaski humoru, co was tak rozśmiesza,  
Dumny pan szlachcic, przywabiony złotem,  
Żeni się z córką szajgeca Olesza.  
Nu i to przecie jest śmieszności źródłem,  
Gdy biedny żydek, pomimo wyszydzeń,  
Na kilka groszy, z obliczem wychudłem,  
Gotów warować przez calutki tydzień.

.....

Wy także zyskiem nigdy nie gardzicie,  
Ale wam zaraz wielkich zysków trzeba,  
Bo chcąc prowadzić zbyt kosztowne życie,  
Każdy się brzydzi suchym kęsem chleba.  
Tymczasem żydek ciągle zyski zbiera,  
Z głupoty ludzkiej umie grosz wydostać,  
I wkrótce kapcan zmienia się w bankiera,  
A bankier bierze jaśnie pana postać.  
Toż to dopiero do śmiechu jest powód,  
Gdy taki baron, co od złota kapie,  
Z czasów Jagiełły mając już rodowód,  
Herbowy pierścień zasadzi na łapie.

.....

Śmiejcie się zatem, kochane panowie,  
I w dzień powszedni, no i przy niedzieli,  
Śmiejcie się wszyscy, kiedy wam na zdrowie,  
Żydzi są na to, byście się z nich śmieli,

Lecz różnych śmiechów przeszedłszy koleje,  
Stare przysłowie warto mieć na względzie,  
Że ten się tylko z dobrym skutkiem śmieje  
Kto się na końcu śmiać serdecznie będzie.



### NASI JURGIELTNICY.



Jurgieltnikiem dawnej szkoły,  
Był chłop z miną djabłą,  
Zwykle szlachcic mocno goły  
Z dzielną w garści szablą.  
Hołysz taki, pchnięty hasłem,  
Rąbał się zacięcie  
I sumienie, jak chleb z masłem,  
Dawał w suplemencie.  
A za służbę różnej miary,  
Wieczorem i rano,  
Szlachcic bite brał talary,  
Co jurgieltem zwano.

Dziś na świecie jest inaczej,  
Szabla spadła w cenie,  
I zaledwie ktoś tam raczy  
Dać co za sumienie.  
Jurgieltników jednak sporo  
Żywi świat bogaty,

I jurgielly tak dziś biorą,  
    Jak brano przed laty.  
Patrzcie oto, ten chłop błady  
    Z głową arcy słabą,  
Usłuchawszy dobrej rady,  
    Ożenił się z babą.  
Babula ma kamienicę  
    I rubli tysiące,  
Więc Kupido na pętlicę,  
    Wziął serce gorące,  
I chłop, dawniej bez halerza,  
    Stanął w panów rzędzie,  
Zostać radcą wnet zamierza,  
    Co rok jest w Ostendzie.  
Słowem, żyjąc jak pan jaki,  
    Ani myśli o tem,  
By zarobić niuch tabaki,  
    Swym własnym kłopotem,  
Bo choć szablą służyć szczerze  
    Nie jest przymuszony,  
Chłop ten jednak jurgielt bierze  
    Za służbę u żony.

Drugim w mieście jurgielnikiem,  
    Jest barczysty Kuba,  
I ten także żyje z szykiem  
    Jak persona gruba.  
Panicz to szacunku godzien,  
    Więc go wszyscy znacie,

Bo w ogrodzie, pół dnia codziennie  
Siedzi przy herbacie.  
Żony własnej nie ma wcale,  
Lecz chłop z miną djabłą,  
Żyje sobie doskonale  
Choć nie rąbie szablą,  
Jakaś bowiem stara pani,  
Jejmość już nie caca,  
Niosąc sile hołd swój w dani,  
Jurgielt mu wypłaca.  
Tym sposobem panicz młody,  
Zdusił nędzę srogą  
I bez pracy, wśród wygody,  
Biegnie życia drogą.

Takich zuchów, gdyby trzeba,  
Znalazłbym legjony,  
Każdy z nich ma kawał chleba,  
Dobrze zapewniony.  
Niech nas zatem głupia bieda  
Wcale nie przestrasza;  
Nikt nam wprawdzie grosza nie da,  
Ale górą nasza!  
Górą, mówię aż dwa razy,  
Dla głośnej reklamy,  
Bo w potrzebie na rozkazy,  
Jurgieltników mamy.





## FARBOWANE MOTYLE.



Dziwne to rzeczy dzieją się na świecie,  
A najdziwniejsze wśród ostatnich lat,  
Wszak czas ma zawsze swe prawa, a przecie  
Nie jeden wiecznie chce być młodym dziad.  
Chociaż skrzywiony, jak środa na piątek,  
Choć mu już Saturn nadwyreżył kształt,  
On sobie liczy wciąż czwarty dziesiątek  
I siwe włosy farbuje na gwałt!  
Strój na nim kusy, modny i opięty,  
Na szyi krawat, czerwony jak krew,  
W oku kwadracik z kryształu wyrznięty,  
Wąs uczerniony — usmolona brew.

. . . . .

Taki motylek, chcąc mieć skrzydła świeże,  
Na nich młodości niezatarty puch,  
Gdy się ustroi i modnie ubierze,  
Sam w siebie wmawia, że jest jeszcze zuch!  
I idzie ostro w aleje cieniste,  
Po pod kasztanów i lip starych chłód,  
Rzuca do koła wejrzenia strzeliste  
I nuci piosnki z rozmaitych nut.  
Miewa bukiecik zawsze też przy sobie,  
(Ach, jak uprzejmy i czuły jest on)  
Miewa bukiecik, aby w każdej dobie,  
Zdobywał kwiatem serca czułych bon.

Goni za niemi jak motyl za różą,  
Pragnąc, by cały podziwiał go świat,  
Choć stare nogi wcale już nie służą,  
Chociaż w nich trzeszczy każdziuteńki gnat.  
A w towarzystwie, o mój mocny Boże,  
Wciąż do najmłodszych przysiada się dam,  
Kręci się przy nich nieborak, jak może  
I wciąż kołacze do sercowych bram.  
Sztucznemi zęby śmieje się uprzejmie,  
Prowadzi dyskurs leciutki jak puch,  
Ale gdy w domu *sztuczne rzeczy* zdejmie,  
Jest jakby z grobu wywołany duch.  
Już własna żona znać go nie chce wcale,  
Choć kobiecina w samym kwiecie lat,  
A on jednakże w swym płochym zapale,  
Wdziękiem młodości pragnie olśnić świat.

. . . . .  
Och, świat nie głupi, jak mówi kronika,  
Którą szanować trzeba, wierzcie mi,  
I chociaż dziadek jak młodzieniec bryka,  
Świat zna się na tem i szczerze zeń drwi.  
I nawet bona zaraz to spostrzeże,  
Gdy ją dziad stary chce złapać na fis,  
Że to nie motyl, co ma skrzydła świeże,  
Tylko tak zwany farbowany lis.



## ŻYWE POŻYCZKI PREMJOWE.



Mówcie co chcecie, przyznać mi musicie,  
Żem zawsze skory na wasze usługi,  
Dla dobra ludzi poświęcam me życie,  
Robiąc odkrycia, jak Edison drugi.  
Ot, dziś naprzykład, — pewnie nikt nie raczy  
Dać temu wiary, nawet przez połowę,  
Że w naszym mieście, dla rozrywki graczy,  
Są pełne życia *pożyczki premjowe*.

Mam tu na myśli dwie lub trzy mamule,  
Które przeszedłszy różne w życiu drogi,  
Kochając niby swe córeczki czule,  
Chcą im na zawsze zapewnić los błogi.  
Mamula taka, gdy córki podrosną,  
Zaraz je stroi w esy i floresy,  
Jak bankier sławny, co to drapnął z wiosną,  
W lewo i prawo rozdaje promesy.  
Z całego świata fryce i warchoły,  
Przy pannie Frani, Kasi albo Róży,  
Kręcą się ciągle, jak przy ulach pszczoły,  
A zrečna mama każdego z nich durzy.  
Każdemu klnie się, że Rózia lub Frania,  
Pocziwe dziecko ma rozum w tym względzie,  
I choć się wielbić nikomu nie wzbrania,  
Jemu jednemu tylko wierną będzie.  
Dalej więc wszyscy, szalem uniesieni,  
Składają hołdy o ile kto może:

Ten sprawia meble — ten dzwonek do sieni,  
Tamten kupuje do teatru łoże,  
Ten kuchnię codziennie napełnia mięsivem,  
Tamten trzewiczki dostawia dla mamy,  
Ten, znów jak Filon, z uczuciem prawdziwym,  
Przynosi sery z za Żelaznej Bramy.  
Słowem, że wszyscy nakształt dzikich kotów,  
Skaczą przy pannach wieczorem i ranem,  
Bo każdy na to szyć swą dać gotów,  
Że on sam jeden jest pożyczki panem.  
A tak! — Co prawda, każdy płaci raty,  
Każdy z nich dobry w gwałtownej potrzebie,  
Lecz żaden nie jest o tyle bogaty,  
By mógł zakupić pożyczkę dla siebie.  
Promesy zatem codziennie się mnożą,  
I tym sposobem, choć to litość budzi,  
Niejedna mama, swą córeczkę hożą,  
Niby premjówką, mani dobrych ludzi.

Mniejsza tam o to, że takie dziewczęta,  
Zmienia się kiedyś w rozkoszne boginie;  
Mniejsza, że godność dla kobiety święta,  
W podobnych harcach bezpowrotnie ginie,  
Przecież nikt na tem nie ponosi straty,  
A że dla córek, matki są ochroną,  
Więc sprzedaż takich *pożyczek na raty*,  
Jeszcze, niestety, nie jest dziś wzbronioną.



## POJEDYNEK SZLACHETNYCH.



Na placu do walki, pięciu ich stanęło,  
Z dalekich stron miasta przybyli,  
A wszyscy jak jeden pragnęli swe dzieło,  
Rozpocząć z odwagą w tej chwili.

„Hej, — krzyknął pan Andrzej (mąż dumny swą  
[władzą,

Gdy w domu nie stoi przed żoną)

„Niechaj nam butelkę *deszczówki* podadzą,

„Tej, co ma pieczętkę zieloną.“

Deszczówka piorunem wypitą została,

I zaraz pan Michał rzekł potem:

„Trzeba by coś trochę lepszego dla ciała,

„Co walczy z codziennym kłopotem.

„Dajno więc, chłopysiu, podaj nam czempredżej

„Z piwnicy *starszego* węgryna,

„Bo któżby z nas kiedy żałował pieniędzy,

„Gdy winko rozgrzewać zaczyna?“

Po *starszem*, się jeszcze *starszego* zachciało,

W handlu więc spuszczone franke,

I pan Piotr, chłop jakich niestety już mało,

Dał za trzy rubelki *bociankę*.

„To wino jest dobre“ — rzekł Józef cmokając,

„Lecz ja wam lepszego dziś kupię,

„Do gardła ci samo wskakuje jak zając,

„A zwie się technicznie: *biskupie*.“

Staęła butelka okryta popiołem,  
Małmazja strumieniem wciąż płynie,  
I w minut pięć czy sześć, w tem gronie wesołem,  
Już śladu nie było po winie.

„Attendez, panowie!“ rzekł głośno pan Damian,  
„Myślicie, że mnie kto pokona?  
„Nic z tego i ja tu postawię na zamian,  
„Za cztery dukaty flakona.“

I znowu przynieśli *staruszkę omszałą*,  
I znów się tręcili w szklanice,  
I każdy się sadił z serdeczną pochwałą,  
Chcąc uczcić tak dzielną piwnicę.  
A walke, co ledwie *deszczówką* się wszczęła,  
Nie grożąc potężnym rozmiarem,  
Gdy przyszło przy końcu na prawdę do dzieła,  
Skończono *hetmańskim nektarem*.

Bo u nas, mosanie, choć często jest bieda,  
Choć trzeba rozumu wciąż słuchać,  
Nikt nigdy przewagi nad sobą wziąć nie da,  
Jeśli mu kto w kaszę chce dmuchać.



PANU BOGU ŚWIECZKE, A DJABŁU OGAREK.



Jasieczku, daj buzi! Dzielny z ciebie chłopak,  
Gdy nie wszyscy mogą mieć los na usługi,

Tobie życie nigdy nie idzie na opak,  
Bo ty sobie radzisz, jak Salomon drugi.

Zawsze uśmiechnięty i dla wszystkich słodki,  
Choć na bożym świecie różnie różnym bywa,  
Ty, mój miły Jasiu, masz sekretne środki,  
Za pomocą których pływasz jak oliwa.

Wypiwszy herbatę u pana bankiera,  
Jesz obiad z hrabiną, karmazynów córą,  
A gdy ciemny wieczór ślady twe zaciera,  
Idziesz na preferka z tak nazwaną kurą.

Dla popularności, gdy cię chęć przenika  
Wynurzenia myśli zrodzonych w twej głowie,  
Często wkraczasz nawet w progi rzemieślnika,  
A wszędzie się umiesz znaleźć co się zowie

U żydów wymyślasz na herby i tarcze,  
Ze szlachtą znów dzielnie uderzasz na banki,  
Przemysłowcom znosisz ploteczki potwarcze,  
A przy preferansie klniesz głupię zachcianki.

Słowem, mając czoło i sprytu troszeczkę,  
Choć z ciebie, Jasieczku, znany niedowiarek,  
Postawiwszy Bogu zapaloną świeczkę,  
Djabłu zaraz potem zapalasz ogarek.

Dobrze robisz, Jasiu, — serce twe tułacze,  
Niech się zawsze rządzi zasadami swemi,

Bo to jest rzecz znana, że kto zręcznie skacze,  
Ten może wysoko wznieść się na tej ziemi.

Zbutwiałe przesady nie wiele dziś warte,  
Rozum jednak ciągle podnosi się w cenie,  
I nie jeden gotów postawić na kartę,  
Mocno już, niestety, ograne sumienie.

Basuj więc, Jasieczku, gdy jesteś w potrzebie,  
Za nie wielką pracę masz chleba po uszy,  
Gdy tymczasem inny zdolniejszy od ciebie,  
Za swój dziwny upór o głodzie się suszy.

O tak, Janku, basuj ogniotrwałej kasie,  
Basuj szlachcicowi, co swą tarczę ceni,  
Basuj każdej sprawie, która jest na czasie,  
Basuj byle komu za kawał pieczeni.

Niech cię spokój duszy wcale już nie nęci  
I nie zważaj na to, mój pocziwy chłopie,  
Że za twoje niby jak najlepsze chęci,  
Pan Bóg cię ukarze, a djabeł cię skopie.



## HONOROWI KUCHMISTRZE.



No, przecie choć jeden urząd honorowy,  
W obec tych godności, których jak drzew w lesie,



Nie jest w naszym mieście pustym dźwiękiem  
[mowy,  
I prawdziwą korzyść społeczeństwu niesie.

Honorowy kuchmistrz, to nie żaden taki,  
Co przed wyborami gładki jak oliwa,  
A gdy go wybiorą, dumny jak Burbaki,  
Na wszystko z niechcenia tylko ręką kiwa.

Ho, ho, panie — kuchmistrz związany honorem,  
Obowiązkom swoim ledwie, że podola,  
I czy to w południe, czyli też wieczorem,  
Pracuje naprawdę w istnym pocie czoła.

Oj, szanują go też, szanują go bardzo,  
Bywa u hrabiego, bywa i u księcia  
I nawet bankierzy, co dziś wszystkim gardzą,  
Na cześć jego świetne wydają przyjęcia.

Wszystkie wielkie domy o nim tylko marzą,  
I gospodarz każdy słucha w zachwyceniu,  
Gdy kuchmistrz poeta, z pełną wiedzy twarzą,  
Zwykłym parzygnatom dyktuje swe *menu*.

Obiad bez takiego Stasia, albo Józia,  
To kwiat bez zapachu, co się próżno puszy,  
To młodej panienki bez rumieńców buzia,  
To bezmyślny obraz, w którym nie ma duszy.

Co się tylko gdzieś tam za granicą zjawi,  
Czy to jaki melszpajz ze strusiego jaja,

Czy soczysty pasztet, zdobny w mózdzek pawii,  
Kuchmistrz taki wszystko krajowi przyswaja.

On nieraz po nocach wśród ksiąg zasiada,  
I jak mistrz Twardowski z pełną myśli głową,  
Zapomnianych sosów tajemnice bada,  
Byle się mógł wslawić kombinacją nową.

A gdy co odkryje, zaraz w mieście całym,  
Smakosze wpadają w zapał oczywisty,  
Bo wszyscy są pewni, że słowo wnet ciałem,  
Stanie się pod ręką zdolnego artysty.

Cześć wam zatem, chwała, ludzie wielkiej pracy,  
Wy nam wystawiacie nowe w życiu cele,  
Z waszej łaski wiedzą niegodni próżniacy,  
Że i na tej drodze można zrobić wiele.

Dzięki waszym czynom spełnianym w pokorze,  
O czym świat niewdzięczny potem nie pamięta;  
Gdy sąsiedzi Niemcy jedzą, żal się Boże,  
My sobie jadamy jak jacy książęta.



## S Z O P K A.



Hej! Szopka panowie,  
A skłamię, kto powie,  
    Że w niej nie ciekawe figury,

Choć niema w niej lalki  
Małgosi — Westalki,  
    Nie widać Heroda purpury.  
Są tylko te lale,  
Nie obce nam wcale,  
    Co każdy na bruku spotyka.  
Jest złoty młodzianek  
Posagów kochanek,  
    Jest inny — wcielenie bezika.  
Jest froter z salonów,  
Jest dama, co z tonów  
    Już nie wie jak patrzeć na ludzi,  
Jest także niewiasta,  
Co na wsi, bez miasta,  
    A w mieście, bez wioski, się nudzi;  
Jest panicz z zagranic,  
Co nie ma nic a nic,  
    Bo wszystko przepuścił wśród zbytków,  
I pan, co na kłoski,  
Żniw przyszłych swej wioski,  
    Wziął grubą zaliczkę od żydków.  
Są wszyscy, co tracą  
Grosz zarobion pracą,  
    Zebrany w zamczystej szkatule,  
Co mile się bawia,  
Ostatni grosz stawia  
    Na damy, walety i króle.  
Są owe wdziękinie  
Przy których czas płynie  
    Tak mile, — tak lubo mkną chwilki,

Lecz którym trza za to  
Sakiewką pękata  
Opędzać wydatki na szpilki.  
Są oni mężowie,  
Którym nie dom w głowie,  
Lecz drogie birbantki za domem,  
Gdzie w wina kieliszki,  
Co zapach ma myszki  
Spojrzeniem rzucają łakomem.  
Kolekcja nie mała  
Ich się tu zebrała, —  
Kto wyśmiać śmieszności chce obce,  
Niech tylko zażąda,  
Niech wszystkich ogląda,  
Com sobie zgromadził w mej szopce.



G. M. B.



Czem się to dzieje, że mnóstwo osób,  
Nawet i takie, co przez rok cały  
Wstręt niezwalczony do kredki miały,  
Dzisiaj się nagle do niej zabrały  
I zapisują na różny sposób  
Rozliczne zdania  
Na drzwiach mieszkania?...  
Błądząc dziś rano po mieście całym  
Różne sentencje takie czytałem,

W zręczne i zgrabne złożone rymy,  
I spisywałem lepsze maksymy.  
Na drzwiach jednego, pewno biedaka,  
Stała naprzykład sentencja taka:

*Głowa Mnie Boli*  
Na myśl mej doli,  
Grosza nikt nie da,  
*Grozi Mi Bieda.*

O kroków parę sąsiad wesoły  
Pisał bez wielkiej o los mozoły:

*Gdy Masz, Birbantuj,*  
Nie masz — to fantuj,  
Rzadko szczęśliwa  
*Goła Młódź Bywa.*

A dalej jeszcze aforyzm nowy  
Takiemi dał się odczytać słowy:

*Gdzie Miłość Bosa*  
Głód wścibia nosa,  
Ale nie dręczy  
*Gdzie Miljon Brzęczy.*

Czytając mnóstwo takich sentencji  
I ja się oprzeć nie mogę chęci  
Z myśli, co mi się po głowie kręci,  
Której mam pełne serce i gębę,  
Ułożyć także swoje: *G. M. B.*

A więc czytajcie, państwo łaskawi  
Moją maksymą: *Głupstwo Mnie Bawi;*  
Nie dbając czy to przyjdzie nietrudno,

Czy z pracą zmudną,  
*Gromię Myśl Brudną;*

Chcę *castigare mores ridendo*,  
Śmiesznościom sypać chłosty i plagi,  
Nawet nie zbraknie mi tej odwagi,  
Gdy *Mistrze Błagi*  
Ganić *Mnie Będą*.



## PANI MŁODŹ — ŻŁOTA.

Ballada.



Skaczą, piją, pączki jedzą,  
Tańce, hulanka, swawola,  
Dnia spokojnie nie dosiedzą,  
Cha, cha, chi, chi, hejże, hola.

Karnawał im przewodniczy,  
Przystrojony za pierrota.  
„Hulaj dusza, hulaj, — krzyczy,  
Kto poważny, z tym za wrota.“

Młodzieńcowi, co gra pana,  
Dumnie na wszystkich spoziera,  
Rzekł: „kolacja gotowana,  
Już z młodzieńca masz frotera.

Na męzulka, co cichaczem  
Do sakiewki ruble chowa,

Zakwilił małżonki płaczem,  
Jest dla żony suknia nowa.

Wdowczykowi, co na tany  
Chodzi niby zbierać wzorki,  
Zajrzał w kieszeń niepytany,  
I wyciągnął — trzy faworki.

Wtem, gdy te faworki chrupie,  
Coś twardego zębem schwytał.  
„Ot, spotkanie, — myśli, — głupie,  
Po coś kumie tu zawitał?“

Djablik był ukryty w chruście,  
Nie zwyczajna sztuczka kusa,  
Ale djablik w innym guście.  
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z faworka aż na podłogę,  
Pada, rośnie na dwa łokcie,  
Nos sensata, mędrca nogę,  
Filozofa ma paznogie.

„A! Karnawał!... witam bracie,  
Uroczyście rzekł do niego,  
Cóż to? Czyliż mnie nie znacie?  
Jam Rozsądek... jam jest ego.

„Wszak robiliśmy układy,  
Ja cyrograf twój przyjąłem...

Karnawałku, nie ma rady,  
Posypię ci łeb popiołem.“

Karnawał ku drzwiom się kwapił,  
Mamrocząc: „*Ah, je ne t'aime plus!*“  
Rozsądek za kark ułapił:  
„A gdzie podpis twój na stemplu?“

Co tu począć, kusa rada,  
Trza pod popiół oddać głowę!...  
Karnawał na koncept wpada  
I trudności stawia nowe.

„Rozsądeczku, chciej w kontrakcie  
Warunki przejrzyć ponownie...  
Zastrzeżone jest w tym akcie,  
Że gdy będziesz mi mózgownię,

„Chciał spopielić, ja mam prawo  
Raz cię zaprządz do roboty,  
A ty rozkaz szybko, żwawo,  
Musisz spełnić co do joty.

„Nim więc z nami będzie kwita,  
Patrzaj oto jest istota,  
Niepoślednia, znakomita,  
Faworytka ma — Młódź złota.

Na zasadzie więc umowy,  
Mój Rozsądku dobrodzieju,



Wleż na kwadrans do jej głowy,  
I wydobądź gran oleju.

„Jeśli twoje wysilenie  
Z materiału coś wyciśnie,  
To się skłonię uniżenie,  
A jak nic — nasz układ pryśnie.“

Rozsądek doń ćwiartkę ucha  
A trzy ćwierci do drzwi zwraca,  
Niby patrzy, niby słucha,  
Ale myśli: „Próżna praca.“

Gdy mu Karnawał dokucza,  
Od drzwi, od okien odpycha,  
Czmychnąwszy dziurką od klucza,  
Dotąd jak czmychnął tak czmycha.



## WYJĄTEK Z TRAGEDJI FAUST.



(Noc. — *Faust* w szlafroku w piękne kwiaty i w pantofelkach,  
siedzi przy biurku i pisze. *Mefistofeles* siedzi oparty na dłoni).

FAUST (pisząc).

O, ty!... Moja promienna!... Aniele mój jasny!...

MEFISTOFELES.

Ostro się zabierz do niej, bo dom ma swój własny.

FAUST.

Zstąp do mnie o, Cherubie—i utul mnie w smutku

MEFISTOFELES.

Oficyny porządne — altana w ogródku!

FAUST.

Niechaj już twoje serce—przybycia nie zwleka...

MEFISTOFELES.

Czysta, jak cnotę lubię — czysta hipoteka.

FAUST.

Gdy wejdiesz, — jasny płomień ustronie ozłoci.

MEFISTOFELES.

Sama jest; na lekarstwo nie znajdziesz tam cioci.

FAUST.

Pamiętasz Margerito!... Ustami drżącemi...

MEFISTOFELES.

Mało płacą ze sklepów; lecz pogadasz z niemi.

FAUST.

Tajemnicę ci moją odkryłem miłośnie...

MEFISTOFELES.

A plac jest, proszę ciebie, że aż dusza rośnie!...

FAUST.

Nad nami księżyc promień roztoczył swój złoty.

MEFISTOFELES.

Z lokatorami może, to będą kłopoty.

FAUST.

W uściskach tych księżyc, drżały wszystkie  
[kwiatki.

MEFISTOFELES.

Najtrudniej to ci przyjdzie zapłacić podatki.

FAUST.

W twoich oczach, i w tej nocy, utonąłem cały.

MEFISTOFELES.

Ale ponieważ baba ma i kapitały...

FAUST.

Wówczas to moich przysięg słuchały anioły.

MEFISTOFELES.

Ma starego stryjaska... Ale stryjcio goły!

FAUST.

Widzę cię!... Stoisz drżąca, nieśmiała i w bieli...

MEFISTOFELES.

Mieli drugą posesję, ale djabli wzięli!..

FAUST.

Ja wpatruję się w ciebie i w tę nocną ciszę.

MEFISTOFELES.

Jest jeszcze stara babcia, -- może co zapisze!!!

FAUST.

Postać twoja anielska, uciszyła żądze..

MEFISTOFELES.

Możeby nam też zaraz oddała pieniądze!?

FAUST.

O, mój jasny aniele!.. Kocham jak szalony.

MEFISTOFELES.

No, dajże papierosa. Interes skończony.



ODEZWA DO BRZUSZKA, NA PRZEWODNIĄ  
NIEDZIEŁĘ.



O, brzuszku, brzuszku mój ty kochany,  
Ileż wdzięczności jam winien tobie;

Ty dziś zmęczony i spracowany  
Nawet odpocząć nie możesz sobie.  
Dużoś już zrobił, brzuszku poczciwy,  
Lecz kto stosunki, — jak ty posiada,  
Komu jak tobie, — świat jest życzliwy,  
Tego znów czeka praca nielada.  
Porachuj tylko, brzuszku jedyny,  
Ile masz jeszcze domów przed sobą?  
Ile w nich ciasta i wieprzowiny  
Czeka na stołach ciągle za tobą?  
Ty kochasz ludzi, mój dobry brzuchu,  
Ludzie cię także szczerze kochają,  
Więc nie upadaj, proszę, na duchu,  
I pakuj w siebie, — co ci podają.  
U państwa Protów, dnia dzisiejszego  
Ma być półgłówek podobno gotów,  
Ty lubisz główkę z wieprza tłustego;  
Więc złoty brzusi, — pójdziem do Protów.  
U pana Jana, gdzie żonka młoda  
I gdzie gościnność aż nadto znana,  
Węgrzynek stary, jak miód jagoda;  
I cóż ty na to? — Chodźmy do Jana.  
U cioci Łodzi pasztet z truflami,  
Taka potrawa, — zdrowiu nie szkodzi:  
Ty lubisz brzuszku, pasztet czasami,  
Więc wiesz co, serce? — Chodźmy do Łodzi.  
Pani Sędzina, — jaką ruladę  
Robi z prosiaka, — to nie są kpiny!  
Cóż myślisz brzusi? — Czy dasz ty radę?  
Jak masz ochotę, — chodź do Sędziny.

Pan Andrzej prezes, znasz się z nim przecie,  
Takiego dostał koszyk Xeresa,  
Co podróżował po całym świecie:  
Wiesz co brzuszeczkę? — Chodź do prezesa.  
Podobno Edzio, co żyć potrafi,  
Sprowadził sławną szynkę z niedźwiedzia;  
Taki rarytas rzadko się trafi,  
Trzeba skorzystać, — chodźmy do Edzia.  
Doktorzy może wykrzykną razem,  
Że brzuch nasz nie wart będzie i feniał  
Bądźcie spokojni! — Nam przejdzie płazem,  
Nie darmo mamy brzusek z kamienia.



## AKSAMITOMANJA.



Nic w tem dziwnego, że żona bankiera  
Sprawiła sobie z aksamitu jupkę;  
Bankier szalone zewsząd zyski zbiera,  
Więc żonę stroi, jakby jaką pupkę.  
Lecz gdy rzemieślnik swoją magnifikę,  
Na wzór bankiera w aksamit przystroi,  
To chyba musi obdzierać publicę,  
Kiedy się kosztów podobnych nie boi.

Senatorowa, chodząc w aksamicie,  
Nosi stosowne dla siebie odzienie:

Od czegoż zbytek i z komfortem życie,  
Od czegoż moda i męża znaczenie?  
Lecz gdy urzędnik, co ma rubli trzysta,  
Żoneczkę swoją w aksamit ubierze;  
Každy to przyzna, — że sprawa nieczysta  
I że tam chyba łapówka się bierze:

Pannę z baletu nic to nie obchodzi,  
Że dziś aksamit bardzo u nas drogi:  
I zresztą słusznie, co to komu szkodzi?  
Że plecy noszą, co zarobią nogi?  
Lecz kiedy szwacze w głowie się przewróci  
I z aksamitu strój na się przywdzieje,  
Wtenczas, wierzajcie — djabeł się nie smuci,  
Ręce zaciera i w duszy się śmieje.

Pani na dobrach wartości miljona,  
Pysznić się może codzień w aksamicie;  
A w zbytku takim nawet dobra strona,  
Że fabrykanci zarobią na życie.  
Lecz gdy szlachcianka z niewielką wioszcyną,  
Stroić się będzie w kosztowne tiurniury:  
Wtenczas aksamit stanie się przyczyną,  
Że wioska wpadnie w żydowskie pazury.

Nie jedna może piękna córka Ewy,  
Rzuciwszy okiem na nasze wierszydła,  
Powie, że wróbla nie złapie na plewy,  
Ani kobiety na morałów siła.

Czyż więc nie lepiej, że czekać będziemy,  
Póki się złego nie przebierze miarka  
I przyjdą czasy w których zobaczymy,  
Jak się w aksamit ustroi... kucharka.



## SIEDM GRZECHÓW WARSZAWSKICH.



### I.

**Czy się to opłaci?**

Każdy z nas myśli i marzy o złocie,  
Chciałby od razu zdobyć rubli krocie:  
Lecz miernym zyskiem mało kto się cieszy  
I grosz za groszem niepotrzebnie traci.  
Oto grzech pierwszy, którym każdy grzeszy:

*Czy się to opłaci?*

### II.

**Jakoś to tam będzie!**

Myśleć o jutrze próżne umartwienie:  
Wszyscy wierzymy w ślepe przeznaczenie,  
A choć się często wprost przeciwnie zdarza,  
Zaradzić złemu, nikt się nie zdobędzie.  
Oto grzech drugi, każdy wciąż powtarza:

*Jakoś to tam będzie!*



III.

**Czy ja co gorszego?**

Trudno dziś poznać kto z nas jest bogaty,  
Na wszystkich modne, jednakowe szaty,  
Każdy dziś tylko swe zalety głosi  
I pragnie w duszy poniżyć drugiego;  
Oto grzech trzeci, co nazwisko nosi:

*Czy ja co gorszego?*

IV.

**To się jutro zrobił**

Niechaj się zjawi nowość byle jaka,  
Biegniemy wszyscy oglądać biedaka;  
Do zabaw nigdy chęci nie brakuje,  
Lecz chęć do pracy nie bardzo nas zdoła,  
Oto grzech czwarty, co wszystkim smakuje:

*To się jutro zrobi!*

V.

**Ja go nie znam wcale!!!**

Dawny znajomy i przyjaciel z duszy,  
Niech tylko do dna kieszeń swą wysuszy,  
I niech pomocy zażąda od ludzi,  
Każdy odepchnie biedaka zuchwale.  
Oto grzech piąty, co w nas przyjaźń studzi:

*Ja go nie znam wcale!!!*

## VI.

Jakoś nie wypada?!

Kto tylko może ten na kawał bierze,  
Jeszcze się później z nas naśmieję szczerze;  
Nikt się oburzyć nie ma na to męztwa,  
Bo nikt cywilną odwagą nie włada,  
Oto grzech szósty, grzech to niedołęztwa:

*Jakoś nie wypada?!*

## VII.

To mnie nie obchodzi.

Każdy z nas biegle liczyć cyfry umie,  
A jednak tego, mało kto rozumie;  
Że się z jednostki tworzą bimiljony,  
I że niezgoda w dodawaniu szkodzi.  
Oto grzech siódmy, zle przynosi plony:

*To mnie nie obchodzi.*



## KTO W KARTY GRYWA?



Kto bo dziś nie gra w te francuzkie karty,  
Niech się trzech zbierze, wnet się znajdzie czwarty,  
I nic nie mówiąc, jak rabini jacy,  
Biorą się zaraz do mozolnej pracy.

Doktór, aptekarz, sędzia, kancelista;  
W beza, w preferka, lub dawnego wista,  
Gdy tylko skończąienne swe zajęcie,  
Po całych nocach tłuką się zawzięcie.  
Wprawdzie się zdarza, że nazajutrz rano,  
Pan sędzia w sądzie, ma minę zaspaną,  
Albo, że doktor, gdy choremu radzi,  
W uncjach lub w granach, po trochu przesadzi,  
Lub też aptekarz, gdy mikstury waży,  
Zamiast o dozach, o grandszlemie marzy;  
To tam nikomu nie szkodzi na świecie,  
I przez to ludzie nie wyginą przecie.  
A, że, jak jakiś filozof ocenia,  
Człowiek zwierzęciem jest z przyzwyczajenia,  
Więc znów wieczorem, każdy z domu zmyka,  
I jak maszyna, siada do stolika.  
W karty jak w karty, ten co dziś wygrywa,  
Najczęściej jutro, co wygrał, przegrywa.  
Co nam do tego, niechaj gra kto może,  
Różne są gusta, szczęście więc Panie Boże.  
Gorzej daleko, że ci co grywają,  
Za nic a za nic, pieniędzy nie mają:  
Bo co to, panie, żałować tam sobie?  
Co wydam we dnie, wieczorem zarobię.  
I ten co pensji ma rubelków dwieście,  
Gdy wygra w karty, rozbija się w mieście,  
O nic nie pyta, niech co chce kosztuje,  
Wszak to wygrana, nikt jej nie żałuje.  
Dryndziarz, cukiernie i różne handelki,  
Biorą jak swoje wygrane rubelki.

Ale, gdyś przegrał, płacić nieraz trzeba,  
Grosz przeznaczony na kawałek chleba.  
Oj, wtenczas przykro, aż się serce kraje,  
Wtenczas, niestety, każdy to poznaje,  
Że ta wygrana, co mu dała karta,  
Idzie do czarta, jako własność czarta.

. . . . .

Tak czytelnicy, proszę nie na żarty,  
Raz już porzucicie te francuzkie karty.  
Na tem dziś kończę, — czas bowiem ucieka,  
A mnie partyjka *gerylasza* czeka.



## MEDAL NA DWIE STRONY.



### Krakowskie-Przedmieście.

Niechaj tam ludzie płaczą jak bobry,  
I niechaj sobie kto co chce plecie,  
Ten żywot ludzki dalibóg dobry,  
I nie jest jeszcze tak źle na świecie.  
Kto puścił plotkę, że brak pieniędzy,  
Ten grubo skłamał lub był urżnięty!  
Jakoś po ludziach nie znać tej nędzy,  
Nikomu z butów nie wyszły pięty.  
Strojne kobiety aksamit zdobi;  
Paniczów pełno, każdy się śmieje;

Dryndami jeżdżą, aż się szum robi,  
I ciągle mówią, że się źle dzieje.  
W handelkach szampan szumi i puka,  
W cukierniach zawsze gości czereda;  
Każdy gdzie może, rozrywki szuka;  
Gdzież więc, u licha, jest owa bieda?  
Oj, biedy niema, lecz bieda w drodze,  
Bo ten kto nad stan jada i pije,  
Ten, co wydatkom rozpuścił wodze,  
Ten sztucznem życiem, niestety żyje.  
I przyjdzie chwila, w której lamenty  
Będą prawdziwe, że się źle wie dzie,  
A wtenczas powiem: — Nie był urzęnięty,  
Ten, kto rozpuścił plotkę o biedzie.

**Franciszkańska ulica.**

Och, życie ludzkie, to ciężka dola,  
Ciągłe zabiegi do chwili zgonu;  
Życie, — to praca, — to tak jak rola,  
W którą siać trzeba, gdy chcemy plonu.  
Handel i przemysł, jakież to trudy,  
Dzień cały schodzi z łokciem i wagą,  
Zamiast zabawy — nieznośne nudy,  
Nic tu nie wskórasz z światową blagą.  
Tu nikt nie myśli czy suknia zdobi?  
Czy brzuszek będzie zadowolony,  
Ten, co sto procent wkrótce zarobi,  
Ten jest człowiekiem, — ten jest uczony.

Ale, gdyś przegrał, płacić nieraz trzeba,  
Grosz przeznaczony na kawałek chleba.  
Oj, wtenczas przykro, aż się serce kraje,  
Wtenczas, niestety, każdy to poznaje,  
Że ta wygrana, co mu dała karta,  
Idzie do czarta, jako własność czarta.

. . . . .

Tak czytelnicy, proszę nie na żarty,  
Raz już porzućcie te francuzkie karty.  
Na tem dziś kończę, — czas bowiem ucieka,  
A mnie partyjka *gerylasza* czeka.



## MEDAL NA DWIE STRONY.



### Krakowskie-Przedmieście.

Niechaj tam ludzie płaczą jak bobry,  
I niechaj sobie kto co chce plecie,  
Ten żywot ludzki dalibóg dobry,  
I nie jest jeszcze tak źle na świecie.  
Kto puścił plotkę, że brak pieniędzy,  
Ten grubo skłamał lub był urżnięty!  
Jakoś po ludziach nie znać tej nędzy,  
Nikomu z butów nie wyszły pięty.  
Strojne kobiety aksamit zdołbi;  
Paniczów pełno, każdy się śmieje;

Dryndami jeżdżą, aż się szum robi,  
I ciągle mówią, że się źle dzieje.  
W handelkach szampan szumi i puka,  
W cukierniach zawsze gości czereda;  
Každy gdzie może, rozrywki szuka;  
Gdzież więc, u licha, jest owa bieda?  
Oj, biedy niema, lecz bieda w drodze,  
Bo ten kto nad stan jada i pije,  
Ten, co wydatkom rozpuścił wodze,  
Ten sztucznem życiem, niestety żyje.  
I przyjdzie chwila, w której lamenty  
Będą prawdziwe, że się źle wie dzie,  
A wtenczas powiem: — Nie był urżnięty,  
Ten, kto rozpuścił plotkę o biedzie.

Franciszkańska ulica.

Och, życie ludzkie, to ciężka dola,  
Ciągłe zabiegi do chwili zgonu;  
Życie, — to praca, — to tak jak rola,  
W którą siać trzeba, gdy chcemy plonu.  
Handel i przemysł, jakież to trudy,  
Dzień cały schodzi z łokciem i wagą,  
Zamiast zabawy — nieznośne nudy,  
Nic tu nie wskórasz z światową błagą.  
Tu nikt nie myśli czy suknia zdobi?  
Czy brzusek będzie zadowolony,  
Ten, co sto procent wkrótce zarobi,  
Ten jest człowiekiem, — ten jest uczony.

Nikt nie narzeka, że dręczy bieda,  
Każdy na celu ma tylko siebie;  
Bo wie aż nadto, że mu nikt nie da,  
Gdy będzie kiedyś w grosza potrzebie.  
I tak z dnia na dzień, grosz na złotówkę,  
Złotówka w rubla prędko się zmienia,  
Aż się uciła sporą gotówkę,  
Z którą nabiera człowiek znaczenia.  
Wtenczas do góry głowa się wznosi,  
I z myślą w duszy, że świat jest głupi;  
Ten co ma pieniądze, o nic nie prosi,  
Bo za pieniądze dziś wszystko kupi.



RECEPTA NA DOBRY HUMOR W NADCHODZĄCE  
ŚWIĘTA.



Dobre to rzeczy, — w kieszeni pieniądze,  
Człowiek jak ptaszek, wesół i swobodny,  
Choćby najdziksze zaspakaja żądze.  
Pije co zechce i nigdy nie głodny,  
Nie zna co praca, nie myśli o jutrze,  
Butów nie niszczy, bo koni używa,  
Nie dba o mrozy, bo chodzi we futrze;  
Słowem, w rozkoszach, jak pąk w maśle pływa.  
Zdarza się jednak, że pomimo woli,  
Wypiwszy kilka flakoników wina,



Coś tam pod sercem człowieka zaboli,  
I jakaś czarna zjawia się godzina.  
Cóż to u licha, zkąd takie marzenia?  
Przecież masz wszystko co ci tylko trzeba,  
Każdy wypełnia w lot twoje życzenia,  
I gdyby można przychyliłby nieba,  
Bo wie aż nadto, że za dobre chęci,  
Ty sypniesz groszem. Niech zna jeden, drugi,  
I niech hołota zachowa w pamięci,  
Jak to panowie płacą za usługi.  
Zkądże więc, pytam, humor twój nieznośny,  
Nie kontent z siebie i nie kontent z ludzi,  
Przykro cię razi biesiady śmiech głośny,  
I nic nie bawi, bo już wszystko nudzi?  
Może chcesz poznać co to za przyczyna?  
Oto w twem sercu poczułeś czczość życia,  
I ztąd pochodzi twa posepna mina,  
Boś już za nadto zabrął w świat użycia.  
To, co zapłacisz za morskiego raka,  
Lub też za flakon zbytowego trunku,  
Starczy przez tydzień na życie biedaka,  
Dając mu spokój i ulgę w frasunku.  
Co ci więc szkodzi, choćby ze swywoli,  
Poświęć tve jedno wykwintne śniadanie,  
I przyjdź niem w pomoc prawdziwej niedoli;  
Schudnąć — nie schudniesz, mój rozkoszny paniel!  
A jednak warto wspomnieć na to przecie,  
Że gdy w dzień gwiazdki tve stoły zastawią,  
Są oprócz ciebie biedacy na świecie,  
Którzy się suchym, czarnym chlebem dławia,

Pomyśl więc o nich, osłódź im ich trudy,  
Ręczę, że humor wnet ci się naprawi;  
Będzie cel życia i przepadną nudy.  
Kto dobrze czyni, ten się zawsze bawi.



## KULIGOWE KRAKOWIAKI.



W magazynach rwetes, madamy się poca,  
Kosztowna materja na stołach się stroszy,  
A biedne szwaczuchny dosiadają nocą,  
Bo im za dzień płacą aż czterdzieści groszy!

Niejeden ojczulek kurczy się, nieboże,  
Gdy mu przyjdzie płacić za stroje córusi,  
Lecz żadne stękanie nic tu nie pomoże,  
Bo w kuligu udział, córeczka wziąć musi.

Oj, będziez to kulig, — kulig co się zowie!  
Kulig, co roznieci radość niesłychaną,  
Gdy młode panienki i młodzi panowie,  
W krakowskich ubiorach do mazura staną.

Siarczysty starosta, bohater nie lada!  
By się dobrze wydać na kuligu czele,  
Codziennie na próbę lity pas zakłada,  
I z tektury sobie sprawił karabełę.

Panienki też wcale nie żałują trudu,  
I chłopskiej maniery uczą się czas długi,  
Bo śliczne panienki, *przez miłość dla ludu,*  
Chcą mieć na kuligu wiejskich dziewcząt cugi.

Otóż i nareszcie, nadszedł ów dzień błogi,  
Dzień w serduszkach panien pamiętny do zgonu;  
Na przyjęcie gości już gotowe progi,  
Więc krakowskie pary wbiegły do salonu.

Ach, słuchajmy pilnie tej dziarskiej młodzieży,  
Pewnie pierwsza para, do śpiewu gotowa,  
Ojczystym językiem utnie, jak należy,  
Jaką rzewną śpiewkę z okolic Ojcowa?

Gwałtu, co się dzieje? — A to istne czary!  
Toż tam nie ma żadnej Kasi ani Rózi,  
Wszystko to są widać zagraniczne pary,  
Bo ci krakowiaci to sami francuzi.

Od wstążek i blaszek, aż w salonie jasno,  
Młodzież ferezjami okryła swe piersi,  
Ale zamiast mówić swoją mową własną,  
Oni tylko ciągle: *kom si, — kom sa, — merci.*

Siarczysty starosta z tekturową szablą,  
Choć przy rogatywce zatknął pióro czaple,  
Choć pokręca wąsa i ma minę djabła,  
Także jak papuga po francuzku paple.

A to komedyja, — jak poważam cnotę,  
To farsa, z której się można uśmieć bardzo,  
Ubraniem pozują na chłopską hołotę,  
A językiem ojców jednomyślnie gardzą.

Oj, panicze, panny, dobrą jest zabawa,  
Dobry żart wesoły, gdy myśl leży na dnie;  
Podczas karnawału młodość ma swe prawa,  
Lecz drwić sobie z chłopów, to wcale nie ładnie.

Rzućcie więc ferezje i jubki z wstążkami,  
Śmieszna maskarada nie ma dziś waloru,  
Bo wy tak pragniecie zrobić się chłopami,  
Jak ja mam ochotę wstąpić do klasztoru.



LIST OTWARTY DO PANA FABRYKANTA  
GOTLIEBA X.



Panie Gotliebie, pamiętasz pewno,  
Jak będzie temu lat ze trzydzieści,  
Nie mając nawet fenigów stu,  
Z pokorną minką — chudy jak drewno,  
Zebrawszy o nas korzystne wieści,  
Przybyłeś tu.

Podobno wtedy, Warszawkę naszą,  
W której spoczęły strudzone nogi,

Kochałeś szczerze z całych twych sił;  
A kawał kiszki nadzianej kaszą,  
Dla twego brzuszka, Gotliebku drogi  
Marzeniem był.

Dziś, — postać rzeczy uległa zmianie,  
Ty dawniej skromny, masz minę harda,  
Bo cię popsuły miliony twe;  
Więc dziś, niestety, wybredny panie,  
Na wszystko u nas mówisz z pogardą:  
Pfuj Teufel, pfe!

Tutejszą mowę, drwiąc z niej przebrzydłe,  
Zowiesz paskudnym kocim językiem,  
Co cię przenika do samych pięt;  
Nasz chłop dla ciebie — to głupię bydłę,  
Co w dzieciach twoich spojrzeniem dzikiem  
Obudza wstręt.

Potrawy nasze w gardle ci stoją,  
Warszawskie bułki tak zęby kłują,  
Że ich jeść nie chce twój Hausknecht Fryc;  
A ten kto gardzi mądrością twoją,  
Jest bez pardonu ostatnim szuja,  
Co nie wart nic.

W polskim teatrze, — w łoży rozparty,  
Do sceny zwykle plecami swemi  
Zwracasz się jawnie, siedząc jak wał;  
Bo podług ciebie, to istne żarty,

By ktoś zrodzony na naszej ziemi,  
Talencik miał.

Słowem, że ciągle wściekłość cię bierze,  
Ba, — nawet widzisz wielką w tem zbrodnię,  
Gdy się do pracy garnie kraj nasz;  
A jednak u nas porośłeś w pierze,  
I dziś bez troski żyjąc swobodnie,  
Miljony masz.

Powiedz więc proszę, Gotliebku luby,  
Dla czego, gdy się sposobność zdarzy,  
Choć się tu wkradłeś jak głodna mysz,  
Biorąc na sukurs smalone duby,  
Z wielką ironją w twej tłustej twarzy,  
Z nas wszystkich drwisz?



## GŁUPI RZUCA — MĄDRY ZBIERA.

Stare przysłowie wzbogacone nowemi przykładami.



Wielmożny Poraj, z niemałym znojem  
Założył pismo, mówiąc tak sobie:  
Ho, ho, z pewnością na piśmie mojem,  
Zaraz z kopyta majątek zrobię.  
Pierwszy rok przyniósł nieświetne plony,  
A choć początek nic nie stanowi,

Pan Poraj jednak już zniechęcony,  
Pismo za bezcen sprzedał Szmulowi  
I Szmul przetrwawszy ciężki początek,  
Jedząc cebulkę z kawałkiem sera,  
Na piśmie owem zrobił majątek:  
*Bo głupi rzuca, a mądry zbiera.*

Pan Leszczyc Soter, człowiek dostatni,  
Znalazłszy się raz w małym kłopotcie,  
Całe swe mienie, aby wyjść z matni,  
Chciał oddać bratu za dożywocie,  
Braciszek, z gruntu kawałek lenia,  
Bał się, czy z tego nie będzie skwerses?  
Zwlekał, targował aż do znudzenia;  
Więc Soter z Mośkiem zrobił interes.  
I dziś już na wierzch wyszła oliwa,  
Po śmierci bowiem pana Sotera  
Mosiek jest panem co się nazywa:  
*Bo głupi rzuca, a mądry zbiera.*

Bogumił Topór, szlachcic bez dumy,  
I wykształcony na dziś stosownie,  
Chcąc swą mądrością zadziwić tłumy,  
Wziął i postawił piękną cukrownię.  
Fabryka niezły procent dawała,  
Lecz myśląc, że mu współnik się przyda,  
I że się zwiększy produkcja cała,  
Do cichej spółki wezwał Dawida.  
Dziś Dawid wszystko z przed nosa sprząta,  
A Boguś licząc dochód na zera,

Z pierwszego planu poszedł do kąta:  
*Bo głupi rzuca, a mądry zbiera.*

Takich przykładów mamy bez liku;  
A chociaż nikt z nas nie jest idjotą,  
Wszędzie jednakże pełno dziś krzyku,  
Że Mośki, Szmule ciągle nas gniotą.  
Każdy, kto tylko potknie się w biegu,  
Do naszych żydków pretensje rości,  
I na pierwszego lepszego z brzegu,  
Jak jaki furjat rzuca się w złości.  
Żydki, co prawda, chytre gadziny,  
Nie jest to żadna martwa litera,  
Lecz w tem do gniewu nie ma przyczyny:  
*Że głupi rzuca, a mądry zbiera.*



## HONOROWE URZĘDY.



Oj nosy, nosy — niech wam dziurki spuchną,  
Z waszej to łaski, mamy szereg długi  
Urzędów, które jak świecące próchno,  
Nie są przydatne do żadnej usługi,  
Bo gdy się komu zadrze nos do góry,  
I gdy poczuje lekki zawrót głowy,  
Zaraz swym nosem, pragnąc przebić chmury,  
Na gwałt zdobywa urząd honorowy.



Byle komitet tak mu wtenczas pachnie  
I wciąż do niego mizdrzy się tak czule,  
Jak ów Stach z bajki, co kochance Kachnie,  
Dawał na miłość smażoną cebulę.

.....

Rezultat starań, wśród niby sekretu,  
Zwykle jest taki: że Jaś lub Czesławek,  
Zostaje wielkim członkiem komitetu  
Sadzenia drzewek lub zbierania skrawek.  
Co to za mina, mój ty miły Boże!  
Gdy nowa godność na czole zagości,  
Każdy z tych członków sili się jak może  
Przekonać wszystkich o swojej wielkości.  
„A no to dobrze“ pewnie mi powiecie,  
„Sam przyznać musisz, jeśliś nie oszczerca,  
„Że to jest wielka zasługa na świecie,  
„Gdy kto swój urząd bierze tak do serca.“

.....

Ba, w tem sęk właśnie, sęk co kwestję zmienia,  
Bo kto się poznał z tą ambitną zgrają,  
Ten wie, że owi pełni poświęcenia,  
Mając tytuły, o nic już nie dbają.  
Niech sobie drzewka schną jak panny stare,  
Niech intendenci rządzą bez kontroli,  
Niech się tam wszystko odbywa na wiare,  
Nikogo przez to głowa nie zaboli.  
Aha i zaraz, tego tylko trzeba,  
By bez kozery obarczać się pracą

I jak wyrobnik za kawałek chleba,  
Czas tracić na to, za co nic nie płaca,  
Czyż to nie dosyć, gdy taki dygnitarz  
Wśród zwykłych ludzi jaśnieje jak słońce?  
Albo czy nie dość, że gdy się z nim witasz,  
Raczy ci podać swych paluszków końce?  
O resztę mniejsza, po co suszyć głowę,  
Tytulik panie, to główna zasada,  
Wszak za urzędy tylko honorowe,  
Przed nikim zgoła — nikt nie odpowiada.

. . . . .

Bardzo to pięknie, przezacni panowie,  
Lecz szkoda wielka, że idąc tym torem,  
Prędzej czy później świat się o tem dowie,  
Że urząd trochę minął się z honorem.  
A jednak rzecz ta wiadomą jest wszędzie,  
I nikt zaprzeczyć temu nie jest w stanie,  
Że w honorowym bezpłatnym urzędzie,  
Honor powinien być na pierwszym planie.



## WSZYSTKOWIEDZE.



„Bravo, victoria! Już jestem przy żłobie,  
„Nowinki zaraz będę zbierał workiem!“  
Tak z dobrą miną pomyślałem sobie,  
Spotkawszy Władzia idącego z Florkiem.

Podobne szczęście rzadko się spotyka,  
Ci dwaj panowie to są czarodzieje,  
Warto więc od nich zasięgnąć języka,  
Bo oni wiedzą, co się w mieście dzieje.

.....

— „No cóż! — słyszałeś o panu Szczepanie,  
Szepnął mi Władzio, ciągnąc z całej siły,  
„Biedny Szczepanek! A to ci go panie!  
„Ładnie urzędza sąsiadeczek miły.“  
— „Jakto! Nic nie wiesz?“ — Odezwał się Florek,  
Ciągnąc mnie gwałtem od Władka na stronę.  
„A to paradne! — Przecież w przeszły wtorek  
„Sam byłem świadkiem jak Szczepana żonę,...  
— „Ależ zmiłuj się,“ krzyknął Władzio w gniewie,  
„To nie we wtorek, bo to w poniedziałek,  
„Daj mnie więc mówić, kiedy on nic nie wie,  
„Będzie miał z tego przepyszny kawałek.“

.....

Nie wiem jak długo trwał ten spór siarczysty,  
Lecz się nareszcie dowiedziałem o tem,  
Że Szczepanowa bez męża asysty,  
W Saskim ogrodzie rozmawiała z Protym,  
A że Prot mieszka tuż obok Szczepana,  
Więc najwidoczniej ma się oprzeć na czem,  
Ten, co dowodzi, że kobietka szczwana  
Mężulka swego chce zrobić rogaczem.

.....

Oprócz tej wieści, jeszcze innych wiele  
Spisałem rejestr długi i szeroki,  
I rad, że z wami wszystkim się podzielę,  
Już ku domowi zwracałem swe kroki,  
Gdy wtem, Karolek co zna sporo osób,  
Wziąwszy pod rękę, z miną tajemniczą,  
W taki znów do mnie odzywa się sposób:  
— „Czy wiesz to, o czem nawet wróble krzyczą?  
„Piękna historia! — Florka magnifika  
„Z romansu z Kaziem w całym mieście słynie,  
„A Władzia jejmość aż dostała bzika,  
„Tak się znów kocha w jakimś Marsa synie!

.....

I cóż wy na to, moi państwo mili?  
Karolek zawsze wielbi prawdę szczerą,  
On się z pewnością nigdy nie omyli,  
I to co powie nie jest czczą chimera.  
Sensu więc szukać nie trzeba za miedzą,  
Bo każdy pewno z tego się uśmieje,  
Że Florek z Władziem, choć o wszystkim wiedzą,  
Nie wiedzą o tem, co się u nich dzieje.



ŻONIE SIĘ UMIZGAJĄ, A MEŻEM POMIATAJĄ.

(Tegoczesna ballada).



Rzecz się działa w czwartek. W otoczeniu sporem,  
Pozując na pychę wcieloną,

Do cyrkowej łoży o ósmej wieczorem

Wszedł dumny pan Geldhab ze żoną,  
Wszedł jak groźny Jowisz i wydawszy usta,  
W krześle usiadł sztywnie jak lala,  
Bo mu się zdawało, że jego twarz tłusta,  
Wszystkich do szacunku zniewala.

„Patrzcie,“ mówił Geldhab swym baranim wzro-  
[kiem,

„Mam dziś wszystko o czem zamarzę,  
„Poważanie dla mnie wszędzie jest głębokiem,

„Czołem więc przedemną, nędzarze!  
„Patrzcie, ta niewiasta, piękna jak Tamara,

„Co się wkradła w serce Amnona,  
„To moja żoneczka, — o ho, od niej wara!

„Ona jak raz dla mnie stworzona.  
„Pieniądz dla niej wszystkiem, — szalenie go  
[kocha,

„To też wierzę mojej Anielce,  
„Bo ona nie żadna szlachcianeczka płocha,  
„I o honor męża dba wielce.“

.....  
Tłum olśniony blaskiem, podziwiał Geldhaba,  
I niejeden gniotąc swe pięście,  
Szeptał sobie w duszy: — „A, to piękna baba!

„To dopiero szajgec ma szczęście.“  
W tem, do łoży jaśnie pana milionera,  
Wszedł prawdziwie jasny pan z panów,  
I wnet jaśnie państwo, silny wpływ wywiera,  
Tam gdzie czuć się daje Muranów.

Geldhab z miejsca swego zerwał się w zapale  
I stanął jak można najprościej,  
Lecz hrabia czy książę, nie patrząc nań wcale,  
Podał rękę tylko jejmości.  
Jakieś grzeczne słówka szeptał jej uparcie,  
Ona się wdzięczyła aż miło,  
A wspaniały Geldhab za krzesłem na warcie,  
Stał jak głupi hajduk Gawryło.  
I gdy się pan z panów nazalecał pani,  
Znowu ani wiedzieć dla czego,  
Choć przy wyjściu, Geldhab, składał mu hołd  
[w dani,  
On nie spojrzał nawet na niego.

. . . . .  
O, biedny Geldhabie, biedna ty istoto!  
Jesteś niby wzorem szlachcica,  
Za żadne pieniądze nie chcesz żyć z hołotą,  
Tak cię wielkie państwo zachwyca.  
A tymczasem wielcy, prawdziwi panowie,  
Emablując mocno twą żonę,  
Ciebie, choć się do nich łasisz, co się zowie,  
Odpychają wszędzie na stronę.



A PSIK! NA ZDROWIE! — NA ZDROWIE!

(Świeże bajki z odgrzewanym sosem).



Berek przybył do nas cichy, uniżony,  
Szachrował wekslami, w szczęściu nie znał granic,

I dziś gardząc krajem, w którym zbił miljony,  
Gburowaty Berek każdego ma za nic.  
Oj, Berku, grzeczności naucz się czempredzej,  
Gdy rozmawiasz z biednym nie rumień się wsty-  
[dem,

Bo przy twoich fumach, pomimo pieniędzy,  
Zostaniesz do śmierci nieskrobanym... A psik!  
Na zdrowie, — na zdrowie!

W jakimś piśmie stało, że ktoś palnął bąka,  
Lecz nazwisko jego w ukryciu się chowa,  
To też choć świat zwykle w domysłach się błąka,  
Nikt odgadnąć nie mógł o kim była mowa?  
Wtem, pewien jegomość krzycząc na wsze strony,  
Że gniew jego straszny na piśmie się skrupi,  
Przyznał się do winy wcale nieproszony,  
I dziś każdy szepcze: To się złapał... A psik!  
Na zdrowie, — na zdrowie!

Pewnemu mężowi żonka w świat uciekła,  
Bo jejmość pragnęła wieść żywot tułaczy;  
Mąż już myślał sobie, że poszła do piekła  
I że jej w tem życiu nigdy nie zobaczy.  
Tymczasem żoneczka do męża wróciła,  
Wnet go przekonała o uczuciu wzniosłem,  
I wpośród nich znowu kwitnie zgoda miła,  
Och, mąż taki chyba jest ogromnym... A psik!  
Na zdrowie, — na zdrowie!

Przy pewnej mamuli, co ma córki młode,  
Jak w cyrkowej budzie odbywa się heca,

Bo mamie i córkom wielbiącym swobodę,  
Tłum różnych amorków ciągle się zaleca.  
Są tam między nimi i cieńcy i grubi,  
Mama kokieterją rozpala im mózgi,  
Oj, takiej mamuli, co swe córki gubi,  
Bez żadnego sądu warto by dać... A psik!  
Na zdrowie, — na zdrowie!



### DYSTYNGOWANI FAKTORZY.



Na bok Moški, na bok Szmule!  
Faktorowie z dawnych lat,  
Jedźcie w kącie dziś cebule,  
Bo się zmienił świat.

Niech już żaden z was nie liczy,  
Na spryt i zdolności swe,  
Dnie rozkoszy, — dnie słodyczy,  
Już skończyły się.

Snem spokojnym śpi Muranów,  
Już tam niema brudnych hord,  
Bo dziś faktor wielkich panów,  
Wygląda jak lord.

Faktor panów, z wielkim szykiem,  
Strzeże dzisiaj pańskich bram,



I powozem albo gikiem,  
Często jeździ sam.

I powożąc, gdy z za węgła,  
Puści ostro konie w tan,  
Gawieź wtenczas by przysięgła,  
Że to jasny pan.

Zkąd u licha taka zmiana?  
Czy świat gwałtem upaść chce!  
Zkąd dziś faktor z miną pana  
Tak rozbija się?

Ach, to serca, serca czułe,  
Co drwią sobie z panów swych;  
Przerobiły dziś bibułę,  
Na błyszczący szych.

Gdy pan zwróci wzrok łaskawy,  
Na wyrosłą ledwie nać,  
Trudno przecie do tej sprawy,  
Łapserdaka brać.

Trudno by się kwestją serca,  
Którą winien pokryć wstyd,  
Opiekował przeniewierca,  
Zaszargany żyd.

Pan sam nie chce, siebie ceniąc,  
Bawić się w błagalny gest,

Bo mamie i córkom wielbiącym swobodę,  
Tłum różnych amorków ciągle się zaleca.  
Są tam między nimi i cieńcy i grubi,  
Mama kokieteryją rozpala im mózgi,  
Oj, takiej mamuli, co swe córki gubi,  
Bez żadnego sądu warto by dać... A psik!  
Na zdrowie, — na zdrowie!



### DYSTYNGOWANI FAKTORZY.



Na bok Moški, na bok Szmule!  
Faktorowie z dawnych lat,  
Jedźcie w kącie dziś cebulę,  
Bo się zmienił świat.

Niech już żaden z was nie liczy,  
Na spryt i zdolności swe,  
Dnie rozkoszy, — dnie słodczy,  
Już skończyły się.

Snem spokojnym śpi Muranów,  
Już tam niema brudnych hord,  
Bo dziś faktor wielkich panów,  
Wygląda jak lord.

Faktor panów, z wielkim szykiem,  
Strzeże dzisiaj pańskich bram,

I powozem albo gikiem,  
Często jeździ sam.

I powożąc, gdy z za węglą,  
Puści ostro konie w tan,  
Gawieź wtenczas by przysięgła,  
Że to jasny pan.

Zkąd u licha taka zmiana?  
Czy świat gwałtem upaść chce!  
Zkąd dziś faktor z miną pana  
Tak rozbija się?

Ach, to serca, serca czułe,  
Co drwią sobie z panów swych;  
Przerobiły dziś bibułę,  
Na błyszczący szych.

Gdy pan zwróci wzrok łaskawy,  
Na wyrosłą ledwie nać,  
Trudno przecie do tej sprawy,  
Łapserdaka brać.

Trudno by się kwestją serca,  
Którą winien pokryć wstyd,  
Opiekował przeniewierca,  
Zaszargany żyd.

Pan sam nie chce, siebie ceniąc,  
Bawić się w błagalny gest,

O to, co za marny pieniądz,  
Do nabycia jest.

Więc faktora przyjaciela,  
Do pomocy wzywa pan,  
I faktor mu rad udziela,  
Jak ułożyć plan?

Faktor jeździ do bogini,  
Zwija się jak chytry wąż,  
Propozycje różne czyni,  
Chwaląc pana wciąż.

Aż nareszcie zwiędłym kwiatem,  
Robi się kwiat świeży wprzód,  
I pomyślnym rezultatem,  
Faktor wieńczy trud.

Ma się wiedzieć, wielkie pany,  
Zwykle szcudrzy są, że ha!  
To też faktor dobrze szcwany  
Piękne zyski ma.

Z dwojga złego biorąc zatem,  
Lepszy dawny faktor żyd,  
Co sam sobie swym chałatem,  
Robi tylko wstyd.

Lecz, niestety, śpi Muranów,  
Już tam niema brudnych hord,

Bo dziś faktor wielkich panów,  
Wygląda jak lord.



## POKREWIEŃSTWO DUCHA.



A to ci szopka z pokrewieństwem ducha,  
Istna komedja, z łaski której mąż,  
Jak stary wróbel rozumu nie słucha,  
Gdy się na plewy daje łapać wciąż.

Raczie to sami osądzić łaskawie,  
To pokrewieństwo, które skrzypka N.  
Łączy z jejmością, co męża na jawie,  
Wprowadza w dziwny, bezrozumny sen.  
Skrzypek i jejmość, przez całe wieczory,  
Gruchają sobie jak gołąbki dwa,  
A mąż widocznie na umyśle chory,  
Wychodzi z domu, gdy pan skrzypek gra.  
„Niech sobie siedzą“, — mówi safandula,  
„Ta moja żona to artystka jest,  
„Na piękne granie, ona bardzo czuła!  
„Ja im nie wzbraniam tych duchowych *sjest*.  
„Złego tam pewnie nigdy nic nie będzie,  
„Żoneczka moja ma ambicję swą,  
„Więc i ja przecie muszę mieć na względzie,  
„Że oni duchem spokrewieni są“.  
Piękny mi krewny, taki grajek młody,  
Co w całym mieście już opinię ma,

Że korzystając z danej mu swobody,  
Z pewnością wcale nie na skrzypcach gra?

A ten poeta — znany romansista,  
To także musi jakiś krewny być!  
Z którym, — gdy pan mąż gra wieczorem wista,  
Żonka cichaczem snuje marzeń nić.  
Szczęścia tej pary żadna moc nie skruszy,  
Bo mąż w duchowość wierzy z całych sił,  
Oj, dałbym ja im pokrewieństwo duszy,  
Gdybym na miejscu pana męża był.  
Piękna duchowość — piękne mi odczyty!  
Gdy w całym mieście o tem mówią już,  
Że pan poeta to lampart ukryty,  
Co wielbi piękność tylko żywych róż.

Takich pokrewieństw naliczyłbym kopy,  
Żonki na pozór lecą w marzeń świat,  
A w gruncie rzeczy te nie — Penelopy,  
Nie myślą wcale o pruciu swych szat,  
Bo gdy Ulisses gdzieś po mieście pływa,  
Wierząc, że w domu dominuje duch,  
Żoneczka jego jest bardzo szczęśliwa,  
Że ja pociesza jaki krewny zuch.  
Szanowni zatem i zacni mężowie,  
Jeśli stać chcecie — w miejscu, ani rusz!  
Proszę — nie wiercie, — w to co się dziś zowie,  
Duchowem niby pokrewieństwem dusz.



## MAMOWODYRY.



Onego czasu, gdy Kopernik wielki  
Jeszcze nie dowiódł, że ziemia się kręci,  
Każdy się chował za cieniem umbrelki,  
Gdy go do błędów ogarnęły chęci.  
Dziś, postać rzeczy zmieniła się wielce,  
We wszystkim rządzi jawności zasada  
I w obec świata — półświata mamzelce,  
Niejeden śmiało swoje hołdy składa.  
Nic mu nieszkodzi szkodliwość języka,  
Gdy ci i owi różne wnioski czynią,—  
Niech go świat cały palcami wytyka!  
On rznie pod łapkę ze swoją boginią.  
A w drugiej parze — by najmniejsza plama  
Nie spoczywała na niewieścim wstydzie,  
Zwykle dla formy wynajęta mama,  
Także pod rękę z fatygantem idzie.

.....

O tej to właśnie fatygantów rzeszy,  
Chcemy pomówić przy dzisiejszem święcie,  
Mocno to bowiem serca nasze cieszy,  
Że ludziom nowe przybyło zajęcie.  
Za prowadzenie mamy marmuzeli,  
Fatygant zręczny ma korzyści sporo,  
Bo z chlebodawcą złe i dobre dzieli,  
Wędrując sobie po mieście we czworo.

To jeździ dryndą na koszt swego pana,  
To z nim za pan brat chleb przy stole łamie,  
W cukierni pije czekoladę z rana,  
W teatrze, w krzesłach siedzi tuż przy mamie.  
Słowem, mu nie brak ni chleba — ni piwa,  
A z łaski pana świat go darzy mirem,  
I jak ten pączek ciągle w maśle pływa,  
Gdy przywoitym jest *mamowodyrem*,

.....

No, cóż łaskawcy! Wszak już teraz wiecie,  
Co to za jedni są panicze owi?  
Którym dziś służba przy starej kobiecie,  
Pewną pozycję i dochód stanowi.  
Ho! Ho! Ja dawno w tę maksymę wierzę  
I wciąż to samo będę głosił wszędzie:  
Że gdy kto tylko chce pracować szczerze,  
Ten sobie u nas łatwo chleb zdobędzie.  
Mniejsza tam o to, że tu w mieście mamy  
Dziwaków takich, co patrzą złowrogo  
Na prowadzenie wynajętej mamy;  
Uczciwa praca nie hańbi nikogo.  
Niechaj więc inni widzą stronę czarną,  
A ja się cieszę przy dzisiejszem święcie,  
Że tym, co chętnie do pracy się garną,  
Przybyło nowe, korzystne zajęcie.





## CHŁOPCY NA SPRZEDAŻ.



Losie, mój losie, do nóg ci padam  
I błogosławię cię, duszko,  
Żem się nie skusił jak ojciec Adam,  
Na smaczne rajskie jabłuszko.  
Piękny interes być teraz papką  
I mieć córeczkę do wzięcia,  
Przez wzgląd na którą, chlebem i czapką,  
Trzeba się starać o zięcia.

Za chłopca wprowadzie, wiele dziś nie dasz,  
Bo spadły w cenie chłopaki,  
Ale to wszystko co jest na sprzedaż,  
Nie warto niucha tabaki.  
Každy z tej z dzielnej bladej młodzieży,  
Zająć się pracą nie głupi,  
Ba jaknajmocniej, każdy w to wierzy,  
Że go nareszcie kto kupi.  
Gdy więc już wyrósł na gentlemana,  
Jak młody wróbel w stodole,  
Białe paznogie czyści od rana,  
I robi grzywkę na czole.  
I ustroiwszy się przyzwoicie,  
Nie mając żadnych kłopotów,  
Przy każdej, nawet pierwszej wizycie,  
Już do sprzedaży jest gotów.  
Kupiec się znajdzie wśród ojców rzeszy,  
Co ma córeczek do licha!

Bo dobry papa zwykle się cieszy,  
Gdy z domu córkę wypycha.  
Czego ma czekać? — Chłopiec jak świeca!  
Papeczce kłania się nisko,  
Zresztą i to go także zaleca,  
Że ma porządne nazwisko.  
A że choć trochę pusto w kieszeni,  
Roboty żadnej nie ruszy,  
To nic nie znaczy, — gdy się ożeni,  
Będzie miał pracy po uszy.

W kilka lat potem, chłopiec kupiony,  
Gdy posag żony uleci,  
Dawszy drapaka w dalekie strony,  
Zostawia żonę i dzieci.  
A papa gromiąc płocze kobiety,  
Przeklina także swój zapał,  
Bo choć przypóźnie — widzi niestety!  
Że się na kupnie załapał.  
Losie, więc losie, do nóg ci padam  
I błogosławię cię, duszko,  
Żem się nie skusił jak ojciec Adam,  
Na smaczne rajskie jabłuszko.



A CÓŻ U LICHA, CIĄGLE KLAP I KLAP!



To złości biorą, jak was kocham szczerze,  
Wszelkie pewniki już nie warte nic,

Bo teraz codzień, w jaknajlepszej wierze,  
Człowiek się łapie, jak ten młody fryc.  
Powiadam państwu, — ani nawet wiecie?  
Z jakim szacunkiem spoglądałem wciąż,  
Na pana Iksa, co w handlowym świecie,  
Słyszał od dawna jako dzielny mąż.  
O jego firmie fabuła szeroka,  
Głosiła wszędzie tę ideę fix!  
Że to prawdziwa z granitu opoka,  
W której jak wryty stoi sobie Iks.  
„Co to za spokój na tej zacnej twarzy!  
„A jaka pewność wielkich bogactw swych;  
„To nie geszeftsman, który tylko marzy,  
„Jak dać za złoto farbowany szych“.  
Takim to dymem od rana do nocy,  
Podkadzał Iksa każdy goły cap,  
A tu tymczasem — niby kamień z procy,  
Wieść wylatuje, że Iks zrobił klap!  
„Gwałtu, to bajka“ — krzyknęli kuzyni,  
Lecz świat, niestety, nie chce wierzyć w to,  
I dziś już każdy obrachunek czyni,  
Ile wypadnie za okrągłe sto?  
Teraz dopiero wszyscy głośno krzyczą,  
Że Iks to nie był żaden wielki pan,  
Że chociaż gonił za wielką zdobyczą,  
Interes jednak prowadził nad stan!  
Bo urządziwszy wielki dom paradnie,  
By otumanić wierzycieli swych,  
Pocziwy Iksio, widząc przepaść na dnie,  
Dawał za złoto farbowany szych.

. . . . .

A to skaranie z tą bankrutów zgrają!  
Po Iksie pójdzie jaki N. lub Q.  
I takich, co nam finfy w nos puszczają,  
W miasteczku naszym znajdzie się ze stu.  
A myśmy wszyscy w naiwności ducha,  
Myśleli, że to miljonerzy są,  
Których świat cały jak wyroczeni słuca,  
Niosąc im w hołdzie czołobitność swą.  
Ha — tak być musi, — skoro każdy raczy,  
Na blichtr i błagę ciągle łapać nas,  
Lecz po tych kiksach tych naszych bogaczy,  
Nauczka chyba już nie pójdzie w las.  
Bo dziś już wiemy, że te magazyny,  
Błyszczące zdala od złocistych kap,  
Z byle okazji, dla byle przyczyny,  
Lada dzień także, — mogą zrobić klap!!!



### SALONOWE MEKLERKI.



Aż mnie złość w jakąś dziką furję zmienia!  
Tak bym chciał oblać atramentu studnią,  
Owe jejmoście, co bez pozwolenia,  
W pięknych salonach meklerką się trudnią.

O zysk tym damom bynajmniej nie chodzi,  
Gdyż to są zwykle podżyłe Najady,

Co schodząc z pola, cieszą się, gdy młodzi  
Porwani szalem wstępują w ich ślady.

Każda z nich dawniej, zdobna wdzięków siłą,  
Z pustkami w sercu i pustkami w głowie,  
Goniąc z dnia na dzień za rozkoszą miłą,  
Pod boki męża żyła co się zowie.

Dziś, — świetna młodość wśród wielbicieli,  
Jest już zaledwie elegijną chryją,—  
Ułudne wdzięki wszyscy djabli wzięli,  
I zacne damy wspomnieniami żyją.

Gdy więc z nich która iskierkę gdzie zoczy,  
Wnet jak ta w piekle zrodzona poczwara,  
Iskrę, co ledwie dostrzedz mogły oczy,  
W potężny płomień rozniecić się stara.

W ich to salonach najuczciwsze żony,  
(Gdy mężulkowie biegają po mieście),  
Pod okiem niby uczciwej matrony,  
Tracą powoli cnoty swe niewieście.

Meklerki bowiem, li tylko dla sztuki,  
Na polu intryg pracują jak mrówki  
I jak drapieżne wygłodniałe kruki,  
Łapią w swe szpony rozmarzone główki.

I póty siłą swej zręcznej wymowy,  
Pokątną miłość zdobią w barwne kwiatki,

Aż wreszcie byle trefniś salonowy,  
Zdobywa serce uczciwej mężatki.

Meklererek takich, wprawdzie jest nie wiele,  
Na szczęście są to wyjątkowe panie;  
Lecz jedna owca, co ma coś na ciele,  
Całą gromadę zeszpecić jest w stanie.

Niech więc mężowie, którym honor drogi,  
W życiu małżeńskim dostrzegłszy już zmianę,  
Wiedzą przynajmniej, w jakie nieraz progi,  
Wstępują żonki samopas puszczone.

Ja zaś z mej strony, by opadła maska,  
Każdemu, chociaż nie jest wcale hrabią,  
Gdy tylko wrzuci do puszki co łaska,  
Powiem jak owe meklerki się wabią.



## Z POWINSZOWANIEM NOWEGO ROKU.



Wszyscy pewnie są ciekawi  
Jak się dziś „Świąteczny“ sprawi,  
I czego też przy kolendzie  
Czytelnikom życzyć będzie?  
Boć nie może organ taki  
Dać oracji byle jakiej,

Tylko jak przeszłemi laty,  
Przystrojony w rym bogaty,  
Szczodra garścią życzeń sypnie  
I wymownie i dowcipnie.  
Kiedy inni szczęścia wróża,  
Życząc wszystkim złota dużo,  
Wieszcząc długoletnie zdrowie  
On nam coś nowego powie.  
Ha, gdy taką mam renomę.  
To choć mógłbym czuć oskome  
W innych dzisiaj wstąpić ślady  
I dać jaki frazes blady,  
Trzeba zadość czynić sławie,  
I prowincji i w Warszawie,  
Miastu, wsi, pałacom, chatkom,  
Pannom córom, paniom matkom,  
Ojcom, synom, wnukom, dziadkom,  
Powinszować w sposób nowy,  
Choćby przyszło wszystek z głowy  
Olej, co jest jej okrasą,  
Nadzwyczajną wygnieść prasą,  
Więc zaczynam... czyja łaska  
Niechaj słucha i niech klaska.

.....

W Nowego Roku uroczystej chwili  
Życzę wam tedy czytelnicy mili:  
Żebyście mieli troski i kłopoty...

Gdzie mieścić złoto, gdzie chować banknoty;  
I żeby pożar zniszczył wam ze szczętem..  
Dawniejsze długi z zaległym piocentem;

By was ścigali złośliwemi szepty...  
Doktorzy — żeście zdrowi bez recepty;  
Byście rok cały nudzili się sami...  
Bez komorników i woźnych z pozwami;  
By wasza niwa nie była obfita...  
W chwasty, lecz w kłosa pszenicy i żyta;  
By wam rzadkością byli przyjaciele...  
Fałszywi, — innych miejcie zawsze wiele;  
By żaden nie był z was przy apetycie...  
Na umartwienia, które trują życie;  
Ale żebyście byli wciąż spragnieni...  
Śmiechu, czem służę wam najuniżeniej.



## PRZYWITANIE MAJA.



Maj w piecu pal,  
Bydłu daj  
A sam za piec  
Uciekaj.

Jak się masz Maju, Muz ulubieńcze,  
Jużeś się zjawił, stary psotniku,  
I wystrojony w barwy młodzieńcze,  
Będziesz znów płatał figle bez liku.  
Jeżeli myślisz, pachnący panku,  
Że ja cię także szumnie pochwałę,  
Toś się omylił grubo, kochanku,  
Dali pan, tego nie zrobię wcale.  
Twego słowika miłosne tryle,  
Skromnej turkawki jęcząca skarga,



Pączki na drzewach, kwiatki, motyle,  
To wszystko tylko porządek targa.  
Każdy do góry podnosi oczy,  
Szukając czegoś w niebios błękiecie,  
Jakaś tęsknota serce mu tłoczy,  
Choć się rozkosznem wydaje życie.  
Stary pan sędzia na Trybunale,  
Sprawy nie słucha, spać ma ochotę  
I choć już kochać nie myślał wcale,  
Maj mu wypłacił miłosną psotę.  
Doktór pomyłki w receptach płodzi,  
Wszystko mu jedno co chory pije,  
Bo doktór myśli, czy go nie zwodzi,  
Panienka, którą przed światem kryje.  
Student, młodzieniec pełen nadziei,  
Mądrych prelekcji wcale nie słucha;  
W alei westchnień przy Dulcynei,  
W miłosnym szale jak gołąb grucha.  
Cyrulik gołąc, brzytwą zarzyna,  
Na brodzie włosów zostawia strzępę,  
Bo cyrulika, wabi dziewczyna  
By z nią wędrował na Saską Kępę.  
Szewc ostrych sztyftów nie zbija młotem,  
Kto buty kupi, niech nogę złamie,  
Szewc nie ma czasu pomyśleć o tem,  
Bo szewca czeka Marysia w bramie.  
I któż to winien temu wszystkiemu?  
Jeśli nie twoje, mój Maju, psoty;  
Czyż się więc możesz dziwować temu,  
Że chwalić ciebie nie mam ochoty.

## NA SPACERZE I W DOMU.



### I.

Jakaż to piękna i zgrabna pani,  
W głównej alei w Saskim ogrodzie;  
Wszystko tak świeże, aż błyszczy na niej,  
Każda kokardka hołduje modzie.  
A ileż wdzięku w jej drobnym kroku?  
Och, gdybyż ujrzeć ją mógł poeta,  
Gdybyż się przejrzał w jej cudnem oku?  
Rzekłby, to wieszczka, a nie kobieta.  
Jakiż to obraz cnotliwej żony?  
Gdy idąc obok męża i pana,  
Rzuca na niego wzrok rozczulony,  
Widać, że kocha i jest kochana.  
Co tam dobroci i łagodności?  
Jakiś nieznany czar ją osłania,  
Gdy spotka kogo ze znajomości,  
Jakże się grzecznie i mile kłania.  
A co za matka, to anioł z nieba,  
Jak ona pieści swe dziatki szczerze:  
Takich to kobiet, takich nam trzeba!  
Taką jest każda — gdy na spacerze.

### II.

Czepek na bakier, włos rozpuszczony,  
Negliż ze śniegiem walczyć nie w stanie,

Gdzie rzucić okiem na wszystkie strony,  
Znać nieporządek i zaniedbanie.  
Chód zamaszysty jak u dragona,  
Głos podniesiony o dwie oktawy,  
Taką to zwykle jest pani żona,  
Kiedy rozbiera domowe sprawy.  
Mąż siedzi w kącie jakby był struty,  
Czując, że w walce tej nic nie wskóra,  
Patrzy na zegar liczy minuty,  
By się czemprowadzej wymknąć do biura.  
Pani z kucharką klnie na sąsiady,  
Za sznur z bielizną chytrze przecięty,  
Trudna zapomnieć tak niecnej zdrady,  
Więc knują planik zemsty zawziętej.  
Dzieciaki krzyczą, aż trzeszczy głowa,  
Bo uspokoić nie ma ich komu;  
Od takiej baby, niech Bóg zachowa!  
Takich jest wiele, — gdy siedzą w domu.



### BĄDŹMI SAMI SOBĄ.



Kiedy Francuzi pełni niby sławy,  
Wzbudzali podziw w mieszkańcach Warszawy;  
Jakiś facetus żart niewczesny spłodził,  
Że się z nas każdy Francuzem urodził.  
Myśmy wierzyli w naiwnej prostocie,  
Bo nam nie brakło nigdy na ochocie,

Całemu światu dowieść tego w czynie,  
Że krew francuzka w naszych żyłach płynie.  
Małpować Paryż, — mieliśmy zadanie:  
Każdy o ile było w jego mocy,  
Chciał podtrzymywać pochlebne mniemanie,  
Żeśmy nie darmo, — Francuzi północy.  
I wielka u nas zmiana nastąpiła,  
Jakby na wieszczki wszechwładne skinienie,  
Paryzka moda, cuda urządziła,  
Które w nas samych wzbudzały zdziwienie.  
Świetne wystawy, — modne fatalaszki  
Błyszczące cacka i przeróżne fraszki,  
A wszędzie, wszędzie, niesłychana blaga;  
Tak bowiem moda paryzka wymaga.  
Mąż żonę zwodzi, żona mu odpłaca,  
I dług mężowi z procentami zwraca:  
Przyjaciel domu zbiera z tego zyski,  
Wszystko to było na sposób paryzki.  
Syn wspólnie z ojcem używają świata,  
Jak dwaj koledzy spijają szampana,  
Przepadł szacunek, — za nic stare lata,  
Ojczulek z synkiem tańczą kankana.  
Kochanek mamy z córeczką się żeni,  
Tak robił Paryż, — taka u nas moda,  
A pani mama, bardzo modę cenil..  
Niech żyje miłość i małżeńska zgoda.  
Wiwat wesołość, w kął nauka, praca,  
Nudne kazanie wcale nie popłaca,  
Wszak Paryż nigdy nie dbał o morały,  
Więc się i dla nas, na nic też nie zdały.

.....

Tak było dawniej, — dziś pomyśleć trzeba,  
Że małpowanie nie przysporzy chleba;  
I że człowieka największą ozdobą,  
Pamiętać o tem, — aby był sam sobą.



### PRZED TRZECIM KWARTAŁEM.

70

Z chustką, zroszoną rzewnemi łzami,  
Wyznając błędy i żal swój jawny,  
Świąteczny dzisiaj staje przed wami,  
Jako przed ojcem syn marnotrawny.  
Jeżelim zgrzeszył, — to mimo woli,  
Mam bowiem czyste jak szkło sumienie;  
Lecz, że zawziętość wasza mnie boli,  
Więc błagam wszystkich o przebaczenie!  
Jeżelim dotknął czyje przywary,  
Niechaj zapomnieć raczy wspaniale.  
Wszak prawdę mówić, — to zwyczaj stary,  
Więc się go zrzekam w trzecim kwartale.  
Będę was wielbił na waszą chwałę,  
Bo ze mnie ciche, potulne dziecię,  
Że białe czarne, — a czarne białe,  
Przyznam wam zawsze jeżeli chcecie.  
O, zobaczycie, jak się poprawię,  
Nikt mnie nie pozna, tak się odmienię,

Będę pochlebiał całej Warszawie,  
Bo przedewszystkiem, — dziesiątki cenię.  
Róbcie co chcecie, — ja przymknę oczy;  
Baw się wesoło, przezacna młodzi,  
Że cię tam kiedyś bieda zaskoczy,  
Ciekawym bardzo, — co mi to szkodzi?  
Každy, kto goły, morały prawi,  
Lecz niech mu tylko zmieni się karta,  
Moralność pewno w kącie zostawi,  
I moralistów pośle do czarta.  
Stróście się damy w modne atłasy,  
Już was dalibóg nie będę nudził;  
Próżnobył krzyczał, że ciężkie czasy,  
I próżno tylko siebie bym trudził.  
O znam was teraz, znam doskonale!  
Wiem, jaką ma być humorystyka:  
Satyry dzisiaj nie płacą wcale,  
Bo wam potrzeba śmiechu Stańczyka.



## LUDZIE ZASŁUŻENI.



Wiek dziewiętnasty, to wiek poświęcenia,  
Nikt dziś nie myśli o swym dobrobycie,  
Interes nie ma żadnego znaczenia,  
Každy dla drugich poświęca swe życie.  
Dawniej, co prawda, mniej zasługi było,  
Widać nie każdy był do niej stworzony,

Dzisiaj z postępem wszystko się zmieniło,  
Dziś, pierwszy lepszy, to człek zasłużony,  
Jest tu redaktor, co wciąż wszystko chwali,  
A nawet czasem świetną mówkę utnie,  
To też w nagrodę wszyscy mu przyznali,  
Że się ten człowiek zasłużył okrutnie.  
Jest pewien bankier, który w interesie  
Szalony procent klientom odtrąca;  
Świat go uwielbia, bankier w górę pnie się,  
To się nazywa zasługa brzęcząca.  
Jest pewien kupiec, co w pomoc przychodzi,  
Całej ludzkości, bielizną gotową,  
Wprawdzie zleżała, jednak to nie szkodzi,  
Że się ten człowiek zasłużył łokciowo.  
Jest pewien patron, co używa sławy,  
Że za pieniądze, całe swe zdolności  
Poświęcić gotów dla najgorszej sprawy,  
Byle się tylko zasłużył ludzkości.  
Jest i literat, tak się sam mianuje,  
Lecz że mu zbrzydła praca umysłowa,  
Więc czerniąc drugich na życie pracuje;  
To się nazywa zasługa żółciowa.  
Jest także młodzian z wąsami jak szpilki,  
Choć bez urzędu, wznosi nos do góry,  
Żyje z funduszków Julki, czy Emilki;  
To też zasługa, zasługa figury.  
Jest tu i szuler, co głupich obdziera,  
O przyszłość, nigdy go nie boli głowa,  
Bo zawsze znajdzie jakiegoś frajera;  
To się nazywa zasługa pikowa.

Jak pewien panicz, co się ciągle bawi;  
Nie zna zupełnie co potrzeby ducha,  
Śpi doskonale, jeszcze lepiej trawi,  
Ten człowiek także ma zasługę brzucha.  
Słowem gdzie spojrzysz, gdzie się ruszysz krokiem,  
Spotkasz człowieka, co się wielce ceni,  
I drugich z góry mierzy dumnym wzrokiem,  
Bo dziś są wszyscy ludzie zasłużeni.



### OSTROŻNIE Z PRÓCHNEM!



O tak, ostrożnie! — miłe babuleńki,  
Dla was to bowiem na zapustne dnie,  
Wystosowałem artykuł maleńki  
W którym niejedna może przejrzeć się.  
Uwagi moje płyną z dobrej chęci,  
Więc jako człowiek co szanuje was,  
Chciałbym by każda, choć ją taniec nęci,  
Stłumiła zapał, póki jeszcze czas.

. . . . .  
Dawniej tak było, że gdy chłopiec młody  
Pokochał szczerze (z czego teraz drwią)  
Chcąc dać swej pannie miłości dowody,  
Na każdym balu zwykle tańczył z nią.  
Dziś, trudno walczyć już miłością samą,  
Dziś, młodzież mamom składa hołdy swe



I zamiast z panną, trzeba tańczyć z mamą,  
Bo każda mama dziś tańcować chce.  
To też najczęściej młodziutkie dzierlatki,  
Po kątach siedzą mając w oczkach łzy,  
A stare babcie i podżyłe matki,  
Trambłują sobie aż posadzka drży.

. . . . .

No, moje panie, na co się to zdało?  
Czyż to nie szkoda przykrótkiego tchu?  
Wy, jak jaskółki, chcecie bujać śmiało,  
A stare kości ciągle krzyczą prrru!  
Ma się rozumieć, że tańcząca dama,  
Chociażby nawet miała kopę lat,  
Musi wziąć suknię otwartą jak brama,  
Bo tak chce moda, którą wielbi świat.  
Toż to dopiero widoczek jest miły  
Gdy taka babcia zapuści się w tan!  
Biedactwo tańcząc, pragnie z całej siły  
W korzystnym świetle okazać swój stan,  
A tu tymczasem, mimo toalety  
Zdjętej wprost z igły od *a* aż do *zet*,  
Każdego ciarki przechodzą niestety!  
I każdy od niej daje nura wnet.

. . . . .

To trudna rada! — wiek ma swoje prawa,  
A ciężkie działa na to przecie są,  
By gdy fortecom grozi wojna krwawa,  
Broniły wałów doniosłością swą.

Wy do dział ciężkich liczyć się możecie  
Z młodości waszej został tylko ..... dym,  
Więc gdy się wszystko starzeje na świecie,  
Ustąpcie miejsca młodym córkom swym.  
I zamiast tańca, co się z trudem szłapie  
Chociaż was szarpią jak przy drodze groch  
Siedźcie matrony na miękkiej kanapie,  
Bo jeszcze która rozsypie się w proch.



#### TYLKO NIE BIERZCIE ZNÓW TEGO DO SIEBIE.



Jest pewne miasto, w środku ma ulice,  
Wygodnym brukiem pięknie brukowane;  
Pyszne pałace, wielkie kamienice  
I modne sklepy, bogato przybrane.  
Tymczasem na bok ledwie ujdiesz staje  
Z wyboi w bruku, koń się nie wygrzebie,  
I wszędzie brudno, jakby inne kraje;  
Tylko nie bierzcie znów tego do siebie.  
Jest pewien ojciec, ba, nawet już dziadek,  
Co synka swego okrutnie strofuje,  
Za to, że lubi zjeść smaczny obiadek  
I że z *dmimondem* ciągle romansuje.  
Tymczasem tatko, choć ma spore wnuki,  
Synka prześciga w miłosnej potrzebie,  
To też synalek korzysta z nauki;  
Tylko nie bierzcie znów tego do siebie.

Jest pewien lekarz, co zdrowia pilnuje,  
I niby zwraca baczość swą ku temu,  
Że gdy szarlatan głupich oszukuje,  
Trzeba natychmiast zapobiegać złemu.  
Tymczasem zewsząd biegną szarlatany,  
Tam gdzie im plaży, jakby w siódmym niebie,  
I już niejeden przez nich oszukany;  
Tylko nie bierzcie znów tego do siebie.

Jest pewien *rymarz*, co poezje robi,  
Pełne liryzmu i miłości cnoty;  
Każdą myśl swoją w szczytne słowa zdobi,  
Krzyząc na rubla, że to cielec złoty.  
Tymczasem *rymarz* blaguje wierszami,  
I myśląc naprzód o powszednim chlebie;  
Za rubla pisze jakie chcesz reklamy;  
Tylko nie bierzcie znów tego do siebie.

Słowem na zewnątrz wszystko patrzy ładnie,  
Warto doprawdy, żyć i kochać ludzi,  
Wszędzie aż miło tak to jakoś składnie,  
Bo nikt swej czystej powłoki nie zbrudzi.  
Tymczasem wewnątrz nie zaglądamy wcale,  
Niech lepiej pozór zadawala ciebie,  
Gdyż znajdziesz zawsze w każdej rzeczy *ale*;  
Tylko nie bierzcie znów tego do siebie.



ARYSTOKRATYCZNA ZABAWA U PAŃSTWA  
BOMBELMANÓW.



Zaimponować swym braciom po kasie,  
Bombelman pragnął urządzając bal!  
Więc rzekł do syna, co z panami zna się;  
Sprowadź tancerzy z pierwszych w mieście sal.  
Niech Fische, Katze, co dziś patrzą dumnie,  
Bo u nich bywa wielki bankier Chwas,  
Poznają, widząc tych paniczów u mnie,  
Jaka z panami przyjaźń łączy nas!  
— Ojcze, syn na to,—jak chcesz tak się stanie,  
Lecz kilka setek chciej mi dać co tchu,  
Gdyż muszę świetne wyprawić śniadanie,  
By tych paniczów przyprowadzić tu...

. . . . .  
Bombelman stary podrapał się w głowę,  
Jako nadzwyczaj rachunkowy mąż,  
Lecz dwa papierki dobył storublowe,  
Tak w nim ambicja nurtowała wciąż...

. . . . .  
No i nareszcie odbył się w niedzielę  
U Bombelmanów bardzo świetny bal!  
Na który przyszli, urzędnicy jak Bele,  
Owi tancerze z pierwszych w mieście sal.  
Synalek bowiem pana Bombelmana,  
Nie chcąc by zamiar obrócił się w dym,

Złapawszy panków na śniadanie z rana,  
Jeszcze kolację musiał sprawić im!  
I dzisiaj Fische i Katze się cieszą,  
Wciąż Bombelmana wyśmiewając szął,  
Który wgardziwszy braci swoich rzeszą,  
Arystokracją imponować chciał.  
A sens moralny z całej opowieści,  
Która dziś służy plotkarzom na żer,  
W tych kilku słowach niechaj się pomieści:  
Że każdy winien trzymać się swych sfer!



### ZADOWOLENI KONKURENCI.



Niechaj zarobek tylko błysnie,  
Jak w końcu wiosny smaczne wiśnie,  
Których skosztować każdy chce.  
Zaraz jak w nocy nietoperze,  
Brudna intryga górę bierze  
I swoi za łby łapią się!  
Jeden drugiemu buty szyje,  
Na konkurenta głosi chryję  
I tak obdziera wciąż ze czci.  
Że świat naiwny, jak go znacie,  
Musi powiedzieć w rezultacie:  
«Może w tych słowach prawda tkwi?»  
Tymczasem zjawił się ktoś obcy,  
Który spostrzegłszy jak się chłopcy  
Pomiędzy sobą ciągle żrą.

Rzekł sam do siebie: — Sprawa gładka,  
Z której być może dla mnie gratka,  
    Bylebym zręcznie złapał ją.  
I tak się obcy wziął do sprawy,  
Tak mu dopomógł los łaskawy,  
    Że gdy miał przytem dźwięczny głos,  
Wnet konkurentom, co się gryzą,  
Niby dwaj zbóje nad walizą,  
    Jak tym smarkaczom—utarł nos.  
Dziś, gdy intrygi się przebrały,  
Dzielni rycerze, syci chwały,  
    O którą u nas każdy dba,  
Cieszą się, jak ten motyl z róży.  
Mówiąc: «zarobku, choć był duży»,  
    Ty mieć nie będziesz, ani ja.



### ZAGADKOWE PYTANIE.



Pod sekretem powiem wam,  
Że niektóre z naszych dam,  
(O czem szepnął mi Mefisto)  
Jak Syrena, pani ta,  
Co ogonek rybi ma,  
Chcą naturę mieć dwoistą.  
Wszystko zatem robią wciąż,  
A co powie której mąż,

To rzucone na wiatr słówko  
I tak snują życia nić,  
By w połowie damą być,  
A w połowie *dmimondówką*.—  
Każda z nich się stroi tak,  
Jak ów rajski piękny ptak,  
A gdzie ludzi jest gromada,  
Każda kręci się, jak wąż,  
I oczkując chłopców wciąż,  
Jak papuga głupstwa gada.  
Skandaliki z tego są,  
Chłopcy na lep łatwo lgną,  
A mężowie, jeśli butni,  
By obronić swoją cześć,  
Takich szopek nie chcąc znieść,  
Wciąż szukają wszędzie kłótni.  
Morał zatem taki stąd,  
Że Syrena choć ma błąd,  
Jako ryba do pół ciała,  
Rybą jednak pani ta,  
Co ogonek rybi ma,  
Nie zostanie nigdy cała.  
Lecz, czy dama, która chce,  
Jak kokotka wdzięki swe  
Afiszować w każdej porze,  
Za podobnie płochą grę  
Nie zamieni w całość się,  
Tego wiedzieć nikt nie może?



## OFIARA CIĘŻKICH CZASOW.

(Szkie z natury).



Pani Oszczędnowska, z domu Dawnozbycka,  
Umie być kobietą rozsądną na czasie,  
Mąż jej nie pożycza pieniędzy od Icka,  
Bo ma swoich sporo w ogniotrwalej kasie.

Dom tych państwa słynął z tego w naszym mieście,  
Że mu były obce ciężkie życia chwile;  
Na pisma corocznie szło rubli aż dwieście,  
Na dobre uczynki ze trzy razy tyle.

Nie było zabawy na korzyść niedoli,  
Ani też koncertu choćby na gitarze,  
Aby zacna dama, sama z własnej woli,  
Nie wzięła biletu, jak powinność każe.

Wszystko jednak musi skończyć się na świecie,  
Więc mimo przymiotów szlachetnej kobiety,  
Dziś, gdy cały ogół ciężka bieda gniecie,  
Dom, o którym mowa, zmienił się niestety!

Z dwustu rubli rocznie na prenumeratę,  
Została zaledwie piąta część — czterdzieści,  
Ubodzy ponieśli także wielką stratę,  
Bo się wsparcie dla nich w budżecie nie mieści.



Na koncert, chociażby nawet na basetli,  
Już dziś ani grosza nie znajdzie się w dani,  
A lokaje zaraz grajka by wymietli,  
Gdyby chciał biletem służyć jasnej pani.

Słowem, dom ów sławny, dawny blask swój traci,  
I na tej redukcji cierpią wszystkie klasy,  
Bo państwo choć zawsze równie są bogaci,  
Muszą się oszczędzać na te ciężkie czasy.

Ha, cóż robić na to? — Niech tam stęka nędza,  
Już jej dziś nie wesprze ta rozumna dama,  
Co pewnie na strojach także się oszczędza  
I przez ciężkie czasy cierpi na tem sama.

Ba, w tem sęk jest właśnie, i to sęk nie lada,  
Gdyż z dobrego źródła wiadomości mamy,  
Że zbytek w tym względzie dawną moc posiada  
I nie zaszła zmiana w stojach zacnej damy.

Magazynom rękę zawsze chętnie poda,  
Tak samo kupuje kosztowne atłasy,  
Stroi się sumiennie jak wymaga moda,  
Lecz ciągle narzeka na te ciężkie czasy.



NIECH SIĘ KURY  
NIE MIĘSZAJĄ DO INDYKÓW.

(Medytacja postna).



I coraz gorzej na tym bożym świecie!  
Wszyscy stękają, aż się ziemia wstrząsa,  
Szlachcic już przestał dziś pokręcać wąsa,  
Nawet pachciarza nieraz bieda gniecie,  
I brat na brata o rubla się dąsa,  
A pyszny bankier, pokorny jak dziecię.

Co z tego będzie? — Każdy się wciąż pyta,  
Dokąd idziemy tą ciernistą drogą?  
Ci, co nie mają, wydawać nie mogą,  
A ci co mają pieniądze do syta,  
Czując w powietrzu panikę złowrogą,  
Mówią: że grosza nie dadzą... i kwita,

A tu żyć trzeba i żyć dobrze trzeba,  
Pozycja nasza żyć źle nie pozwala,  
Każdy ubrany musi być jak lala  
I patrząc czy mu co nie spadnie z nieba,  
Nie widzi, że się już przeważa szala  
Może zabraknie powszedniego chleba.

«Jakoś to będzie» — mówi Kajtuś sobie,  
Jeszcze bankructwa nie nadeszła chwila,

Niech się napróżno mój mózg nie wysila,  
Wszak dziś golizna wszędzie jest na dobie.  
I biegnie kłusem na obiad do Brühla,  
Gdy z wielkim trudem rubelka wyskrobie.

W ślady Kajtusia, wstępuje Ksawery  
Co tysiąc rubli dochodu posiada,  
Lecz pragnąc dowieść, że jest pan nie lada  
Co żyć nie może wpośród niższej sfery,  
Jak jaki baron w pierwszym rzędzie siada,  
Na przedstawieniu każdziutkiej premjery.

By spuścić z tonu nikt o tem nie marzy,  
Tak żyłem dotąd,—tak dalej żyć muszę,  
Bo przecież człowiek ma ambitną duszę,  
Trzeba wesołość piastować na twarzy,  
A choć dziś kieszeń choruje na suszę,  
Może się wreszcie chwila szczęścia zdarzy.

I coraz dalej brniemy aż po uszy,  
Kura — indykiem chce być gwałtem wszędzie,  
Smutnej przyszłości nikt nie ma na względzie,  
Nikt sobie nawet głowy dziś nie suszy  
O to, co z tego w rezultacie będzie,  
Bo troska nie jest cechą wielkiej duszy.

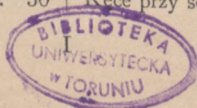
A tu tymczasem, zbierają się chmury,  
Bieda każdego coraz silniej gniecie,

Kajtuś i Ksawcio wzdychają w sekrecie,  
Pomoc im jakoś nie chce zlecieć z góry,  
Bo tak być musi na tym bożym świecie,  
Gdy do indyków mieszają się kury.



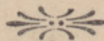
## SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Włodzimierz Płaskowski . . . . .	V	Już tego więcej nie zrobię.	33
Powinszowanie . . . . .	1	Inaczej się mówi—inaczej	
Wymyślajmy sobie . . . . .	3	się pisze . . . . .	35
Nie kładź palca między		Pan kochany i Pan nieko-	
drzwi . . . . .	4	chany . . . . .	37
Każdy ruble wywozi, a nikt		Pan . . . . .	41
ich nie przywozi . . . . .	6	Gruboskórni . . . . .	44
Gdzie są i które są najpię-		Nasze wnuki . . . . .	47
kniejsze kobiety . . . . .	7	Głową... kuzynów nie prze-	
Skąd powstały akcje i róż-		bije . . . . .	49
żne towarzystwa akcyj-		Bonbonierki . . . . .	52
ne . . . . .	9	Handlarze nad handlarza-	
Nie chcą się dziś zenić:		mi! . . . . .	55
Nie wiem dla czego? . . . . .	11	Zdobywcy serc zdobytych.	58
Oj! wiem dla czego!!! . . . . .	12	Nerwowi . . . . .	60
Gdzie się podziła średnia		Chodzące ruiny . . . . .	62
klasa ludzi? . . . . .	13	Korespondencja prywatna	
My, czy oni? . . . . .	14	niepodejrzanej wcale tre-	
Tolerowani złodzieje . . . . .	15	ści: On do niej . . . . .	64
Gospodarstwo leśne. . . . .	17	Ona do niego . . . . .	65
Najnowsza proporcja mate-		Zielsko w kwiatach . . . . .	65
metyczna . . . . .	18	I bądź tu mądrym! . . . . .	67
Cztery fazy małżeństwa pa-		Dwie pociechy . . . . .	70
na Prota: I. Żona się		Warszawski Janus: W do-	
cieszy . . . . .	20	mu . . . . .	72
II. Żona płacze . . . . .	20	Na mieście . . . . .	73
III. Żonie wszystko jedno	21	? . . . . .	74
IV. Żona znowu się cieszy	21	Fin de siècleowe motyle . . . . .	75
W obronie naszej punktu-		Byle nie w pośród swoich!	77
alności . . . . .	22	Logika gołych . . . . .	79
Pan Ambitnicki . . . . .	25	Poskromiony serwituciarz . . . . .	81
Dzicy ludzie . . . . .	26	Jedno z dwojga . . . . .	82
Myśl i forma . . . . .	28	Jeden z wielu, czyli syn	
Icuś i Henryczek . . . . .	30	bogatego pana. . . . .	84
„Jakże zdrowie“ . . . . .	30	Rece przy sobie . . . . .	85



	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Z ostatniej chwili . . . . .	87	Pan i pan . . . . .	159
Trjumfatorowie . . . . .	88	Handel starzyzną . . . . .	161
Do niejednego . . . . .	89	Nie co—lecz kto . . . . .	164
Powinszowanie na próbę . . . . .	91	Estetyczki . . . . .	166
Niedowiarek . . . . .	92	Eksport i import . . . . .	168
Grzech śmiertelny . . . . .	94	Chude panny na tłustych sztukach . . . . .	170
Naganiacze dudków . . . . .	96	Tysiąc pięćsetny pierwszy.	172
Małe bajeczki dla dużych dzieci: I. Praktyczna ma- ma . . . . .	98	Wyżły salonowe. . . . .	174
II. Niebezpieczna gra to- warzyska . . . . .	99	To Kiernozia — nie War- szawa! . . . . .	176
III. Mądry Gabrys . . . . .	99	Nasi prorocy . . . . .	178
Dla czego? . . . . .	100	Ja was nauczę, jak chodzić trzeba . . . . .	180
Podpórka babska . . . . .	103	Łokieć zasady . . . . .	182
Kartka z podróży do celu.	105	Mąż, który wziął na oszczę- dność . . . . .	184
Dumny Dawidek . . . . .	106	O różnych forsowaniach słów kilka . . . . .	187
Głowa i nogi . . . . .	108	Stary cygan . . . . .	189
Żonożercy . . . . .	110	Gdyby to dało zrobić się krzykiem . . . . .	191
Czasowo urlopowani . . . . .	112	Serca w podróży. . . . .	193
Wszędzie dobrze, ale w do- mu najlepiej . . . . .	114	Nasza ambicja . . . . .	195
Zagrzebani żywcem . . . . .	116	Kuzyn i kuzyn . . . . .	196
Z czego oni tacy dumni? . . . . .	118	Teorja w praktyce . . . . .	198
Ofiary idei . . . . .	120	Reklamowane panny . . . . .	201
W imię prawdy i sprawie- dliwości. . . . .	122	Czekaj babko latka! . . . . .	203
Warszawska agentomanja . . . . .	124	Lukratywne drzemki . . . . .	205
Jaśnie Wielmożne panny Wierzgalskie . . . . .	126	Kropka nad i . . . . .	207
Ozdoby kokocich salonów.	128	Kareciane pary . . . . .	209
Żony intratne. . . . .	130	Nasi—nie nasi . . . . .	211
Panowie Dygalscy . . . . .	132	Panowie nienarażalscy . . . . .	214
Nózkowabki . . . . .	134	Ambitni . . . . .	216
Dwunożne hjeny. . . . .	136	Rozpylacz . . . . .	219
W powozie żony . . . . .	138	Dla jednego cala. . . . .	221
Oj! nie tacy byli, a djabli ich wzięli . . . . .	140	Drobniejemy . . . . .	223
Hrabiowie samozwańscy . . . . .	142	Z matematyki moralnej . . . . .	225
Żywi wisielcy . . . . .	144	Zatłuszczone serca . . . . .	227
Nieczasowi mężowie . . . . .	146	Uniwersalni . . . . .	230
Panie pozwalajskie . . . . .	148	Buta została, ale butów nie ma . . . . .	232
Niezawodne leki. . . . .	150	Małżeńska indemnizacja . . . . .	234
Na boku . . . . .	154	List otwarty Szmula Ru- belmachera. . . . .	236
Nasi poczcwi . . . . .	157		

	<i>Str.</i>		<i>Str.</i>
Nasi jurgieltnicy . . . . .	238	List otwarty do pana fa-	
Farbowane motyle . . . . .	241	brykanta Gotlieba X. . . . .	274
Żywe pożyczki premjowe . . . . .	243	Głupi rzuca—mądry zbiera . . . . .	276
Pojedynek szlachejnych . . . . .	245	Honorowe urzędy . . . . .	278
Panu Bogu świeczkę, a dja-		Wszystkowiedze. . . . .	280
błu ogarek . . . . .	246	Żonie się umizgają, a męż-	
Honorowi kuchmistrze . . . . .	248	żem pomiatają. . . . .	282
Szopka . . . . .	250	A psik! Na zdrowie! —	
G. M. B. . . . .	252	Na zdrowie! . . . . .	284
Pani młódź—złota . . . . .	254	Dystyngowani faktorzy . . . . .	286
Wyjątek z tragedji Faust . . . . .	257	Pokrewieństwo ducha . . . . .	289
Odezwa do brzuszka, na		Mamowodyry. . . . .	291
Przewodnią niedzielę . . . . .	260	Chłopcy na sprzedaż . . . . .	293
Aksamitomanja . . . . .	262	A coś u licha, ciągle klap	
Siedm grzechów warszaw-		i klap! . . . . .	294
skich: I. Czy się to opła-		Salonowe meklerki . . . . .	296
ci? . . . . .	264	Z powinszowaniem Nowe-	
II. Jakóż to tam będzie! . . . . .	264	go Roku . . . . .	298
III. Czy ja co gorszego? . . . . .	265	Przywitanie maja . . . . .	300
IV. To się jutro zrobi! . . . . .	265	Na spacerze i w domu. . . . .	302
V. Ja go nie znam wcale!!! . . . . .	265	Bądźmy sami sobą . . . . .	303
VI. Jakóż nie wypada? . . . . .	266	Przed trzecim kwartałem . . . . .	305
VII. To mnie nie obcho-		Ludzie zasłużeni. . . . .	306
dzi . . . . .	266	Ostrożnie z próchnem! . . . . .	308
Kto w karty grywa? . . . . .	266	Tylko nie bierzcie znów te-	
Medal na dwie strony:		go do siebie . . . . .	310
Krakowskie-Przedmie-		Arystokratyczna zabawa u	
ście . . . . .	268	państwa Bombelmanów . . . . .	312
Franciszkańska ulica . . . . .	269	Zadowoleni konkurenci . . . . .	313
Recepta na dobry humor		Zagadkowe pytanie . . . . .	314
w nadchodzące święta . . . . .	270	Oflara ciężkich czasów . . . . .	316
Kuligowe krakowiaki . . . . .		Niech się kury nie mięsza-	
		ją do indyków . . . . .	318



45-

ms/018211